ISBN-978-83-87317-74-4

KULTURA KOSZALIŃSKA almanach 2010

6

KULTURA KOSZALIŃSKA
almanach 2010

KULTURA KOSZALIŃSKA

almanach

2010

Koszalin 2011

„Kultura Koszalińska. Almanach 2010"
Wydany z inicjatywy Rady Kultury
przy Prezydencie Koszalina

Kolegium Redakcyjne:
Jupi Podlaszewski – przewodniczący
członkowie:
Jadwiga Koprowska
Anna Marcinek-Drozdalska
Maria Słowik-Tworke
Andrzej Ciesielski

Małgorzata Kołowska – redaktor prowadzący

Wydawca:
Koszalińska Biblioteka Publiczna
Koszalin
plac Polonii 1
tel. 94 348 15 61
e-mail: malgorzata.kolowska@biblioteka.koszalin.pl
oraz
Go Koncept
Andrzej Adamczak
ul. Jantarowa 27
75-256 Koszalin
tel./fax 94 343 80 83
www.gokoncept.pl

Kolegium Redakcyjne dziękuje koszalińskim
instytucjom kultury za udostępnienie fotografii
z zasobów archiwalnych

Projekt okładki:
Arkadiusz Docz

ISBN-978-83-87317-74-4

Szanowni Państwo,

Jest mi niezwykle miło, że Almanach „Kultura Koszalińska" po raz kolejny ujrzał światło dzienne. Założenia, które sześć lat temu przyświecały jego tworzeniu, są wciąż aktualne. Koszalińska kultura jest niezwykle ważnym elementem życia miasta i jego mieszkańców, na tyle dużo się w niej dzieje, wiele nowych talentów się rodzi, a jednocześnie jest na tyle ulotna, że warto przypominać jej osiągnięcia, by nie pokryła ich mgła zapomnienia.

W minionym roku do propozycji kulturalnych dopisać możemy jeszcze dwie udane imprezy. Sam fakt uznania „Nocy w Bibliotece" za Wydarzenie Kulturalne Roku świadczy o jej udanej organizacji i ciekawym pomyśle na realizację. Za drugą można uznać natomiast I Konfrontacje m-Teatr, które swoim klimatem urzekły zarówno widzów, jak i jurorów. Na rynku coraz lepiej radzi sobie Teatr Muza Variete, który obchodził swoje pierwsze urodziny. Z drugiej strony 10-lecie istnienia uczciły Muzealne Spotkania z Fotografią, od 40 lat w Koszalinie rozbrzmiewa polonijne śpiewanie, a Związek Polskich Artystów Plastyków podkreślał, że na Pomorzu Środkowym działa już od 55 lat.

Wprawdzie minął Rok Chopinowski, który miał świetne odzwierciedlenie w Radiu Koszalin, ale melomani nie mogą narzekać. Prace budowlane nad nową siedzibą Filharmonii Koszalińskiej już się rozpoczęły, a na dniach wmurowany będzie kamień węgielny pod tę inwestycję. Pierwszy koncert planowany jest w 2013 r. A jeśli o inwestycjach mowa – zmienia się otoczenie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Już wkrótce osoby spragnione duchowej strawy pod auspicjami Melpomeny czy Talii w oczekiwaniu na spektakl będą mogły spocząć na gustownych ławeczkach, by podziwiać nową zieleń i wsłuchiwać się w szum wody w fontannach.

Kultura jest tą dziedziną, która w sposób widoczny promuje nasze miasto. Jeśli ktoś ma co do tego wątpliwości, powinien przeczytać ten Almanach. Ewentualne obiekcje na pewno wówczas znikną. Krótko mówiąc: tak trzymać! Czego Państwu i sobie z całego serca życzę.

Piotr Jedliński
Prezydent Koszalina

Bezgraniczne oddanie, nieobliczone na zysk. Zaangażowanie okupione ciężką pracą, ale i nierzadko poświęceniem. Trwanie w wysiłku by poruszyć wrażliwość; by zaspokoić potrzeby nie tylko ciała, ale i ducha; by sprowokować do refleksji, lub chociażby dodać szarej codzienności koloru. Jednym słowem - pasja. To ona, niezależnie od wszechobecnych różnic poglądów, łączy wszystkich przedstawicieli życia kulturalnego Koszalina. Zwana przewodnikiem do największych tajemnic, pozwala złożyć na Państwa ręce szósty Almanach „Kultura Koszalińska", niczym drogowskaz w barwnej krainie kultury, jaką Koszalin niewątpliwie jest.

Tu bowiem realizuje się pasja Krzysztofa Rećko Rapsy, który maluje, bo żyje. Tu obchodzi 50-lecie pracy artystycznej Andrzej Zborowski, który przyznaje, że opera jest mu w życiu najbliższa, a muzykę uważa za najlepsze lekarstwo, azyl i tratwę ratunkową pośród burz życia. Nigdzie indziej, lecz w Koszalinie dziesiąty jubileusz świętuje pismo społeczno-kulturalne pod przewodnictwem Marii i Ryszarda Ulickich, którzy na kanwie tęsknot, marzeń i ambicji z każdym kolejnym wydaniem „Miesięcznika", wraz z całym zespołem, spełniają się w poczuciu obywatelskiego obowiązku wobec Polski i kultury.

Był to także 55. rok istnienia Związku Polskich Artystów Plastyków na Pomorzu Środkowym, 40-lecie pracy twórczej Bożeny Giedych, dziesiątych Muzealnych Spotkań z Fotografią i rok pierwszego nocnego spotkania w Bibliotece Publicznej, wyróżnionej Nagrodą Prezydenta Miasta za to Wydarzenie Kulturalne 2010.

W kalendarzu tych wydarzeń należy wspomnieć także o Galerii Bezdomnej - odważnej już w samym zamyśle, imponującej zapałem organizatorów i liczbą uczestników, a przede wszystkim odbiorców. Spontanicznej, nieskrępowanej formalnymi ograniczeniami i utartymi normami, nieograniczonej tematyką i - za sprawą tej całkowitej dowolności - inspirującej. Przełamującej stereotypy i naginającej sztywne ramy postrzegania. Niezapomnianej, bo niepowtarzalnej.

Miniony rok to także XII Międzynarodowy Przegląd Fotografii „ZŁOTA MUSZLA", po trzyletniej przerwie reaktywowany przez Bałtyckie Towarzystwo Fotograficzne wespół z Bałtycką Szkołą Fotografii. Nie jest to określenie nazbyt śmiałe, tym bardziej, że obligującym była choćby świetność minionych przeglądów. Nie będzie także ryzykownym stwierdzenie, że kilkuletnia nieobecność nie zaważyła na randze konkursu. Wręcz przeciwnie, zaowocowała świeżością, a co więcej zaskoczyła odwagą spojrzenia, różnorodnością autorskiego przesłania oraz ekspresją uchwyconych w kadrze sekund ulotnych emocji, którymi na powrót zachwycać się będziemy wraz z kolejnymi przeglądami.

Żadne słowa nie uczczą tych, których przyszło nam pożegnać. W obliczu śmierci żadne słowa nie oddadzą bowiem zasług dla koszalińskiej kultury Katarzyny Sobczyk, Ryszarda Majora i Romana Wojcieszaka. Ale jak mówił klasyk kina, Federico Fellini „Nie ma końca. Nie ma początku. Jest tylko niezaspokojona pasja życia". Poprzez wspomnienia, które tej pasji zawdzięczają, będą żyć w naszej pamięci. Zawsze.

Tymczasem: magii mijających dni, niezliczonych możliwości, zachwytu w ulotności chwil, po prostu pasji życia – Twórcom i Odbiorcom...

Edward Grzegorz Funke
przewodniczący Rady Kultury

MUZYKA

Kazimierz Rozbicki

Filharmonia u progu normalności

Rok 2010 upłynął pod znakiem Roku Chopinowskiego oraz budowy fundamentów Filharmonii; królowała muzyka romantyzmu

Czekając na ukończenie budowy i otwarcie własnej sali, instytucja spokojnie i rytmicznie kontynuuje swoją działalność. Nadal czuwa nad nią duet: Robert Wasilewski – dyrektor naczelny i Ruben Silva – dyrektor artystyczny. Zmienił się nieco skład orkiestry, jako skutek nieodwracalnego biegu czasu: pojawiło się kilka młodych twarzy. Powodzenie koncertów jest nadal ogromne, na sali także pojawiają się nowe twarze. Zdarzające się zaś ataki na Filharmonię jawią się jako nie tyle bezsensowne, ile rozpaczliwe.

Rok 2010 rozpoczęła Filharmonia jak zwykle cyklem koncertów karnawałowych, w sumie odbyło się ich trzynaście. Trzeci z programów (22 stycznia**)** przemienił estradę w scenę – i po raz kolejny ze znakomitym skutkiem. Tym razem wybór padł na jedną z najpiękniejszych klasycznych operetek: *Księżniczkę czardasza*, budapeszteńsko-wiedeński konglomerat urzekających melodii, melodramatycznych perypetii, arystokratycznych kłopotów sercowych surrealistycznie splecionych z konwenansem. Dziś anachronicznych. I tu pokazuje swe niezwykłe możliwości muzyka, uwierzytelniając ów „boski idiotyzm" (Gombrowicz o operetce) – zwłaszcza muzyka tak piękna, jak w przypadku tej operetki: prawdziwego klejnotu inwencji Imre (Emmericha) Kálmána i w ogóle wybitnego produktu muzycznej kultury c.k. monarchii. Filharmonia sprawiła swym słuchaczom wielką ucztę, wystawiając (bo tak trzeba to nazwać) dzieło Kálmána w bardzo zgrabnym skrócie, niejako kondensującym najpiękniejsze melodie tej operetki, powierzone świetnym wykonawcom (a nie jest to łatwy genre). **Gabriela Silva** i **Monika Rajewska** (soprany) oraz **Witold Wrona** i **Tomasz Madej** (tenory), wcieleni w role protagonistów tej sztuki, brawurowymi interpretacjami tak wokalnymi jak aktorskimi ożywili partyturę i dodali akcji ludzką prawdę. A nade wszystko czarowali przepięknymi melodiami, jakie, pod węgierskim piórem (!) – stały się niemal wizytówką, synonimem wiedeńskiej operetki – i operetki w ogóle.

Pomysłowe i doskonałe były także pozostałe elementy realizacji. Rozwiązania sceniczne: orkiestra z tyłu estrady za zasłoną z tiulu, przed nią artyści rozgrywający swe namiętności i sytuacje bardzo pomysłowo – na tak małym skrawku przestrzeni, pośród stylowych mebli – oraz orkiestra grająca świetnie. **Ruben Silva** prowadził muzyczny tok przedstawienia jak po sznurku. Natomiast objaśnianie nurtu romansowego należało tym razem do **Pawła Garbary**, który przy stoliku, na uboczu estrady, kulturalnym i pełnym erudycji słowem wiążąc nieco pogmatwaną personalnie i tytularnie akcję, pomagał rozeznać się w perypetiach sercowych bohaterów. Jednak asystujący całej akcji komentator, choć użyteczny i kompetentny, wydawał

się niejako obcym ciałem w cudownym, bajecznym świecie melodii i umowności. Sala wypełniona do ostatniego miejsca przez zachwyconą publiczność wytrwale oklaskującą wykonawców – nagrodziła jakże zasłużenie wszystkich twórców i wykonawców tego naprawdę znakomitego wieczoru.

Po pięciu tygodniach karnawałowej rozrywki (poza *Księżniczką Czardasza,* cztery powtarzane programy wiedeńsko-retro-piosenkarskie) powróciła do filharmonii normalność: muzyka poważna. Jakże to jednak mylące pojęcie: poważna – w odniesieniu do pierwszego, po karnawałowej rozpuście, koncertu symfonicznego (19 lutego). Grano same arcydzieła: Mozarta uwerturę do opery *Cosi fan tutte* oraz *Koncert skrzypcowy G-dur*, i *I symfonię* Beethovena – to przecież najczystszej wody rozrywka. Na estradzie orkiestra w skromnym, klasycznym składzie, jej brzmienie jasne, przejrzyste, żadnego epatowania siłą i blaskiem pełnego symfonicznego zespołu. Ale z tym większą wyrazistością ujawniła się cecha nie tak często towarzysząca koncertom: piękno; piękno muzyki, brzmienia, interpretacji. Wyzwoliła je magiczna sztuka znanego już w Koszalinie dyrygenta, **Eugene'a Tzigane** (dyrygował w grudniu 2008). Zazwyczaj na pierwszym koncercie po-karnawałowym ujawnia się pewien rodzaj stępienia wrażliwości zespołu (naturalnego po pięciu tygodniach grania full forte), tym razem młody dyrygent dokonał cudu: orkiestra rzadko grała z taką dbałością o estetykę brzmienia, barwę, precyzję, bogatą gamę dynamiki; wszystko w najpiękniejszym klasycznym reżimie. Pierwsze akordy uwertury ujawniały jeszcze owo stępienie, były dość typowo chropawe, ale już krotochwilne biegniki w Presto urzekały musującą lekkością, radością i humorem. Wykonawczy klejnocik- koncert skrzypcowy należał do amerykańskiej artystki, **JoAnny Ferrer** (tak się pisze) – zazwyczaj grany z dziarską wirtuozerią tym razem znalazł wykonawczynię subtelną, odkrywającą w klasycznej konstrukcji całe pokłady urody, wdzięku i – pięknego dźwięku, nic przy tym nie zaniedbując koncertowych i koncertujących serwitutów. Była to gra czysta jak diament, korzystająca ze świetnego wtóru dyrygenta i niemal bosko grającej orkiestry. Równie dobra była „pierwsza" Beethovena, Eugene Tzigan przedstawił ją w kształcie nieskalanym, absolutnie wiernym partyturze; prawdziwy majstersztyk dyrygenta wielkiego formatu i talentu. Orkiestra grała bardzo dobrze, przekraczając zwykłe koncertowe doświadczenia – pozostał smak, wzór i świadomość, że można.

David Handel, wybitny amerykański dyrygent, dwukrotnie już dał poznać w Koszalinie swój wielki talent, także jego kolejny występ **(26 lutego)** pozostanie dla słuchaczy przeżyciem pamiętnym. Program zawierał dzieła Rossiniego, Mozarta i Brahmsa, prezentował więc trzy różne oblicza muzyki europejskiej; różne, ale równie wspaniałe. Rozpoczynała Rossiniego operowa uwertura do *Sroki złodziejki*. Zwykle uwertury na estradach koncertowych pełnią rolę otwarcia, wstępu do symfonicznego przeżycia i na ogół ulatują w niepamięć, ale tym razem Rossini swą barwną, efektowną muzyką od razu zawładnął wrażliwością słuchaczy. Wykonanie świetne, pełne blasku, wigoru i precyzji w oszałamiających biegnikach smyczków oraz „drzewa"; wprawdzie instrumenty dęte blaszane niezbyt fortunnie włączały się do tej bachicznej gry, ale na szczęście fragmenty takie, zazwyczaj w kulminacjach, były nieliczne. Solistką w *Koncercie fortepianowym d-moll* Mozarta była **Jolanta Reszelska**. Świetna, pełna swady i temperamentu pianistka, grała tę nasyconą dramatem muzykę może nadto śmiało, ze szkodą dla zróżnicowań dynamicznych, a właściwie całkiem z nich rezygnując, pozostawała cały czas w forte. To duże zubożenie tej kompozycji, gdyż ekspresja jej oparta jest na kontrastach: pianoforte, zaś dynamika *piano* to 3/4 jej przebiegu. Dotyczy to także II części Romancy – delikatnej, czułej, śpiewnej; była zaś – dźwiękowo – zbyt dziarska i konkretna. Słuchaliśmy zatem pianistyki efektownej i żywiołowej, ale śmiało wykraczającej poza emocjonalne „zapotrzebowanie"

w klasycznych ryzach utrzymanej kompozycji. Dyrygent i orkiestra lojalnie brali udział w tej „nawałnicy" ekspresji, grali świetnie – i pozostawali w nienagannie mozartowskiej stylistyce.

Po przerwie *IV symfonia* Brahmsa. Dzieło wielkiego artystycznego formatu, trudne i wymagające wobec dyrygenta i orkiestry. Od amerykańskiego dyrygenta oczekiwałem jakiegoś zaskakującego ujęcia, ale David Handel prowadził je w przypisanym stylu, na wskroś europejskim, nawiązując silnie do niemieckich tradycji brahmsowskich. Szlachetna ekspresja, nasycone brzmienie, wyważone tempa, naturalny przebieg, wyrazista, logiczna narracja – był to piękny Brahms i ogromny sukces dyrygenta – owoc pracy, talentu, wrażliwości. Zdobył także uznanie i szacunek orkiestry, co się czuło i słyszało w jej doskonałej grze. Powiało wielką sztuką.

JoAnna Ferrer. fot. archiwum FK

Koncert z okazji 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina (5 marca) uświetniał okazję niezwykłą, jednak jego program okazał się bardzo zwykły, nawet wykonanie na nim *Koncertu f-moll* Fryderyka utrzymywało się w owym zwykłym charakterze. Arcydzieło 20-letniego twórcy zawisło między błahą uwerturą Kurpińskiego („*Dwie chatki*") i przeładowaną jałową retoryką *III symfonią* Czajkowskiego. Właściwie o niezwykłej wadze tej okazji mówiły jedynie piękny afisz i wielkie czcionki w książeczce programowej. Chopinowi owo obramowanie nie zaszkodziło, *Koncert f-moll* błyszczy w każdym sąsiedztwie, pozostaje zachwycającym wyrazem natchnienia i twórczego geniuszu dwudziestoletniego kompozytora. Niestety, na tym wieczorze nie błyszczał, gdyż solistka, **Karolina Nadolska**, świetna pianistka zresztą, zaprezentowała szczególną koncepcję interpretacji, zapewne bardzo osobistą: gry niesłychanie stonowanej, wysubtelnionej, zwłaszcza w II, „romansowej" części – ze szkodą dla naturalnego frazowania, rysowania i rozwijania muzycznych myśli. Obraz kompozycji Chopina jawił się jak oglądany przez muślinowa zasłonę (dużo, zbyt dużo lewego pedału...). Uleciały młodzieńcza werwa tego utworu, miłe dla ucha i serca błyskotliwe brillant, rozkołysane, namiętne uczucia – i ludowa dosadność w finale. W czasach dominacji pianistyki „siłowej" była to propozycja interpretacyjna bardzo ujmująca, ale ujęła przy okazji bardzo wiele walorów wyrazowych tej kompozycji. **Ruben Silva**, świetny akompaniator, prowadził wtór *Koncertu* bardzo czujnie, w pełnej zgodzie z tą szczególną koncepcją solistki, także ładnie rysował staroświecki wdzięk Kurpińskiego – i dzielnie walczył wraz z orkiestrą z uporczywą retoryką *III symfonii* Czajkowskiego (retoryką nawet w finałowym polonezie, gdzie owo

alla polacca nie miało najmniejszego związku z polskością). Słuchając nudnych, niekończących się sekwencji, trudno by uwierzyć, że twórca ten trzy lata później podbił świat fascynującą symfonią czwartą, nie mówiąc o dalszych.

Na kolejnym wieczorze sakramentalnej triady programowej (19 marca) pojawiła się rzadko wykonywana *Uwertura akademicka* Brahmsa – utwór okazjonalny, ewokujący nastroje życia akademickiego. Stąd pogodny charakter i bardzo bogata orkiestracja. **Jacek Kraszewski**, dzierżący tego wieczora batutę, pozostawił, zdało się, interpretowanie zapisu nutowego samej orkiestrze, ograniczając się jedynie do koordynowania przebiegu – co przy swym doświadczeniu robił zresztą doskonale. Orkiestra też. Repertuar koncertowy w ogóle lubi kontrasty, a takim kontrastem, bardzo wyrazistym, było wykonanie, po gęstym, rubasznym utworze Brahmsa, *II koncertu skrzypcowego h-moll* Paganiniego. Utwór rzadko wykonywany, a wcale nie bezwartościowy, zwłaszcza jeśli trafi w ręce świetnego skrzypka. Na tym wieczorze trafił – solistką była **Katarzyna Duda**, skrzypaczka o wielkich predyspozycjach technicznych. Wirtuozowskie utwory Paganiniego czują się dobrze w środowisku stylistyki klasycznej, jej wyrazistego rysunku – bez czego ich techniczne powaby mogą zdominować dość ubogą warstwę muzyczną kompozycji. Zdominowały, ale solistka rekompensowała to swą znakomitą techniką, bardzo subtelnie, z nadzwyczajną lekkością i barwnie zarazem prowadząc tę pełną karkołomnych trudności narrację. I z wielkim wdziękiem. Sławne finałowe rondo *Koncertu h-moll*, „La Campanella", było prawdziwym majstersztykiem wykorzystania muzyki w służbie estradowego efektu i zmysłowego czaru. Brawurowe wykonanie na bis *Kaprysu polskiego* Grażyny Bacewicz świetnie dopełniło obraz estradowej maestrii artystki i absolutnie zawojowało zachwyconą publiczność. Po przerwie szlagier Schuberta *VIII symfonia h-moll* „Niedokończona", został odegrany bez wdzięku, poezji, romantycznego kolorytu, a nade wszystko brakowało płynności przebiegu; że użyję porównania: była to raczej skandowanie, a nie liryczna wypowiedź. Nastrój psuło każde „tutti", w dodatku wykraczające brakiem zestrojenia poza wszelkie dopuszczalne – nawet w okropnej akustyce tej sali – granice. Oczywiście orkiestra grała w dobrej synchronizacji, ale to daleko za mało, aby przekazać ogromne bogactwo niuansów i urody tej niesłychanie melodyjnej, pełnej romantycznego wyrazu kompozycji.

Niecodziennym był koncert filharmoniczny 9 kwietnia: chóry operowe w wykonaniu chóru bydgoskiej **Opery Nova**; niecodzienny także z tej racji, że od wielu lat muzyka chóralna rozbrzmiewa w Filharmonii Koszalińskiej niezwykle rzadko. Koszalin nie posiada bowiem chóru zdolnego do podjęcia artystycznych zadań wykonywania wielkiego repertuaru oratoryjnego – co zawsze jest muzycznym wydarzeniem i ozdobą życia koncertowego.

Występ chóru bydgoskiej Opery Nova obudził zatem tęsknotę za dźwiękową ucztą brzmienia chóru z orkiestrą symfoniczną. A był to występ świetny, wypełniony chóralnymi fragmentami oper. Zespół zawodowy, pracujący pod kierownictwem artystycznym **Henryka Wierzchonia**, śpiewał znakomicie w pełnej, bogatej gamie ekspresji rodem z oper Bizeta, Pucciniego, Verdiego, Mozarta, Boito, Moniuszki i, w naddatku, Haendla. Ruben Silva za pulpitem dyrygenckim był w swoim żywiole, prowadził śpiewy pewnie i w doskonałych tempach, dobrze wyważając brzmienia głosów i instrumentów. We fragmentach z „Mefistofelesa" Arrigo Boito świetnie pokazał swą sztukę dyrygencką Henryk Wierzchoń. Fragmenty te oraz Mazur ze „Strasznego dworu" Moniuszki zabrzmiały najbardziej wyraziście i były nadzwyczaj efektownymi kreacjami obu dyrygentów, chóru i orkiestry – która grała znakomicie. Recenzję po tym pięknym koncercie zakończyłem tak: *niekończące się brawa traktować należy jako wołanie zrazem do filharmonii i do kulturalnych władz miasta*: ***chcemy chóru!!!*** Otóż w kwietniu 2011 roku mogę z satysfakcją poinformować: **mamy chór!!!**

Ostatni piątek kwietnia (23 kwietnia) rozbrzmiewał jeszcze echami karnawału, dano bowiem koncert, jakiemu przyświecała czysta muzyczna rozrywka powierzona orkiestrze, **Katarzynie** i **Natanowi Dondalskim** – rodzeństwu muzyków doskonale znanych koszalińskiej publiczności od najlepszej strony, oraz dyrygentowi **Tomaszowi Tokarczykowi**. Natomiast zupełnie nieznana była muzyczna materia tego koncertu, złożona z utworów jednego tylko kompozytora niemieckiego – Franza Grothego, żyjącego w latach 1908-1982, w Niemczech bardzo popularnego – wybitnego przedstawiciela muzyki rozrywkowej i filmowej, działającego tam od lat dwudziestych do samej śmierci. Twórcy niezwykle płodnego w dziedzinie piosenki, operetki, musicalu, a nade wszystko muzyki do filmów, bijącego tu wszelkie rekordy liczbą filmów ozdobionych przezeń muzyką: 170.

Znakomici soliści koncertu, świetny dyrygent i świetnie grająca orkiestra dali bardzo atrakcyjny obraz sympatycznej sztuki Franza Grothego, choć początkowo narzucały się w niej jakieś echa, resztki z dokonań Straussów, Lehára, Kálmána, dość zręcznie, acz bezosobowo skompilowane i nudnawe. Ale tyczyło to kompozycji nielicznych, większość z nich zaś – już z pewnymi symptomami wpływów muzyki amerykańskiej – przy wielkim talencie, doskonałym warsztacie i kolorystycznej wyobraźni Grothego, brzmiała świetnie, dając powabną szatę dźwiękową jego bogatej inwencji melodycznej. To jedna strona walorów tego wieczoru, drugą była strona wykonawcza. Błyszczała tu **Katarzyna Dondalska**, dysponująca wspaniałym sopranem koloraturowym. W znakomicie śpiewanych piosenkach, ozdabianych wycieczkami w najwyższe regiony koloratury (aż do „a" trzykreślnego!), czarowała słuchaczy swym wielkiej urody głosem. Równie znakomicie grał na skrzypcach rozbudowane partie solowe jej brat **Natan**, koncertmistrz naszej orkiestry. Artystyczne walory sztuki wszystkich wykonawców jednoczył Tomasz Tokarczyk – dyrygent znakomity. Mimo bardzo gęstej faktury i bardzo bogatej instrumentacji Grothego, orkiestra brzmiała przejrzyście dzięki dobremu wyważeniu proporcji jej grup, grała z wyraźną przyjemnością i polotem. Dyrygent scalał komponenty utworów – a miał co, gdyż wszyscy byli świetni, „drzewo", wiolonczele, harfa – wspaniali, zaś przebieg całego koncertu scalał równie znakomicie swym słowem wiążącym **Andrzej Zborowski**, celnie wyłuskując rzeczy i problemy istotne dla odbioru wykonywanych „kawałków". Melodyjne kompozycje, barwna, efektowna instrumentacja, wirtuozowskie popisy solowe – podbiły słuchaczy, koncert w stylu bardzo retro przyjęto entuzjastycznie, z długimi owacjami na stojąco – i bisami. Poznaliśmy ciekawy obszar kulturalnej, wysmakowanej rozrywki muzycznej.

Sytuacja, kiedy dyrektor artystyczny filharmonii wychowany jest w kręgu kultury iberyjskiej – jak w Koszalinie Ruben Silva – gwarantuje, że w repertuarze koncertowym przynajmniej raz w sezonie pojawi się program z muzyką tego kręgu. Taki też program przygotowała filharmonia na piątek 7 maja – a był to koncert niezwykły, poprzedziło go bowiem wydarzenie historyczne dla filharmonii i dla miasta: podpisanie umowy między Marszałkiem Województwa **Władysławem Husejką,** a wiceprezydentem Koszalina **Andrzejem Jakubowskim** – w obecności prezydenta **Mirosława Mikietyńskiego** – na finansowanie budowy gmachu filharmonii. Wstępne prace już trwały. Kilka ujęć wizualizacji projektu pokazano na ekranie. Jest piękny. To nagroda za tak długie oczekiwanie. Powstaje obiekt nobilitujący miasto, region, jego mieszkańców, a nade wszystko orkiestrę, która, w warunkach dla pracy i dla muzyki fatalnych, przez ponad pół wieku darzyła koszalińską publiczność tworami najwyższych lotów ludzkiego ducha.

Warstwa muzyczna tego koncertu należała do **Tomasza Tokarczyka**, dyrygenta znanego już z poprzedniego występu w Koszalinie. Program (*Muzyka hiszpańska*) rozpoczął *Kaprys hiszpański* Rimskiego-Korsakowa – muzyka bar-

dzo misternie i barwnie tkana przez rosyjskiego mistrza instrumentacji. Dyrygent i orkiestra świetnie ożywiali jej gorący nurt, obrazy przebiegały jak w kalejdoskopie, ale temperatura i emocje były właściwe raczej etiudzie orkiestrowej, niż namiętnym frazom hiszpańskich tańców. Dyrygent bowiem szybkimi tempami ograniczał możliwości ekspozycji wyrazowej kompozycji, zaś orkiestra dbała przede wszystkim o zsynchronizowane granie swych partii, zresztą z powodzeniem. Wiele obiecywał utwór Joaquina Rodrigo *Concierto de Aranjuez* na gitarę i orkiestrę – szlagier symfoniczny ostatnich dziesiątków lat, w Koszalinie grany wielokrotnie – obiecywał, i nie sprawił zawodu. Satysfakcja artystyczna była pełna dzięki perfekcyjnej grze solisty **Adama Wocha**, wybitnego już artysty, choć dopiero tegorocznego dyplomanta koszalińskiej szkoły muzycznej. Tak doskonale granego dzieła Rodriga jeszcze nie słyszałem, ale była to gra chyba zbyt introwertyczna, kameralna. Wysmakowana, wypieszczona, pozostawała zimną – w zetknięciu z dużą salą o fatalnej akustyce. Sala koncertowa ma swoje wymogi akustyczne, delikatny instrument trzeba dostatecznie wzmacniać. Owe akustyczne braki wynagradzała zadziwiająco mistrzowska gra młodego artysty – dostatecznie jednak słyszalna. Walorem wykonania był także bardzo dobry, subtelny akompaniament niewielkiej w tym utworze orkiestry. Po przerwie popisywała się orkiestra i dyrygent – skłonny do temp bardzo szybkich – w suicie tańców z *Carmen* Bizeta, a zwłaszcza w brawurowo granym *Kaprysie włoskim* Czajkowskiego. Krwista muzyka Południa, w ujęciu drugiego wielkiego Rosjanina, świetnie wpisała się w hiszpański nurt wieczoru i była jego olśniewającym zakończeniem. Ostatni człon utworu bisowano.

Koncert 4 czerwca poświęcony był głównie twórczości Roberta Schumanna, kompozytora trzy miesiące młodszego od Chopina. Cały kulturalny świat świętował dwusetną rocznicę ich urodzin, choć w Filharmonii Koszalińskiej nie znalazło to szczególnego wyrazu – ani odnośnie Chopina, ani Schumanna. Dwa jego dzieła, jakie na ten koncert wybrał sobie Ruben Silva, jakoś sytuację ratowały. Rozpoczął wieczór uwerturą z muzyki Schumanna do dramatu Byrona *Manfred*. Owo poetyckie arcydzieło romantyzmu było bardzo inspirujące, Schuman napisał doń muzykę piękną, na pewno najlepszą w swym symfonicznym dorobku. Wykonanie dobrze trafiało w romantyczny klimat dzieła, jaki sugestywnie udzielił się muzykom – grali z wielką starannością i polotem, **Ruben Silva** świetnie, z właściwym sobie umiarem rysował jego przebieg i szlachetną ekspresję. Tym większym kontrastem z tą uwerturą było wykonanie drugiego dzieła Schumanna: *I symfonii B-dur*. Dzieło powstało dziesięć lat przed uwerturą, dla młodego twórcy było pierwszą twórczą przygodą z formą symfonii – stąd jego artystyczna materia nie jest tak doskonała, jak w uwerturze, co zrozumiałe, ale rekompensuje to pogodnymi nastrojami, urozmaiconym przebiegiem i świetnymi pomysłami instrumentacyjnymi; ujmująca muzyczna emanacja szczęścia, jakie było udziałem kompozytora w okresie pracy nad symfonią. Natomiast w omawianym wykonaniu trudno było owe nastroje odczuć. Wstęp nie bardzo się kleił w sensie wyrazowym, robił wrażenie rozgrywania się orkiestry: ot, po prostu pracowite i staranne łączenie różnej wysokości i wartości nut. Dalszy przebieg symfonii niewiele zyskał na płynności i wyrazie.

W obramowaniu utworów Schumanna wystąpiła **Agata Szymczewska**, grając innego wielkiego romantyka – zresztą zaprzyjaźnionego z Schumannem: Mendelssohna *Koncert skrzypcowy*. Było to wykonanie doskonałe, nieskazitelne i artystycznie powabne pod każdym względem, także dźwiękowym: artystka grała na instrumencie Stradivariusa. Grała *Koncert* na wskroś romantyczny i bardzo męski w swym charakterze – nawet w owym elfowo-scherzowym finale, stąd wydaje się, że jakaś ostrzejsza artykulacja, bardziej dynamiczne frazowanie, podkreślanie wirtuozerii – nie wyszłyby tej muzyce na złe. Ale to takie osobiste wrażenia re-

cenzenta, w niczym nie ujmujące piękna tego absolutnie zachwycającego wykonania.

La Traviata, liryczne operowe arcydzieło Verdiego, była czwartą już operową realizacją w koszalińskim amfiteatrze (25 czerwca). Poprzednie trzy były nadzwyczaj udane, ale w tym przypadku otrzymaliśmy spektakl wyjątkowo harmonijny we wszystkich swych elementach. Przede wszystkim wyniosła go w bardzo wysokie rejony sztuki operowej **Gabriela Silva** – w roli Violetty, tytułowej Traviaty. Stworzyła kreację żywą, poruszającą prawdą wyrazu w dramatycznym splocie uczuć, wyrażanych śpiewem mistrzowskim i aktorstwem znakomitym. To artystka wielkiej miary, wielkich możliwości. Jeśli dodamy do jej roli świetną liczną obsadę ról pozostałych, a zwłaszcza rolę jej romansowego partnera, Alfreda, brawurowo graną i śpiewaną przez **Adama Sobierajskiego**, oraz rolę Germonta (**Leszek Skrla**) – otrzymamy wynik zachwycający. Ale przecież opera to także wystawność: chóry, tańce, kostiumy, sceny zespołowe, oprawa scenograficzna – elementy, jakich Verdii nie poskąpił w tym kameralnym przecież dramacie. Otóż i tu koszalińska realizacja przyniosła, bez żadnej taryfy ulgowej, pełnię wrażeń. Zapewniły ją, obok obsady solowej, doskonałe zespoły chóru i baletu **Opery Nova** w Bydgoszczy przygotowane przez **Henryka Wierzchonia**. Piękne kostiumy, świetny ruch sceniczny, efektowne sceny zespołowe, pełne blasku brzmienie chóru – wspaniale ozdabiały i kontrastowały miłosny dramat protagonistów dzieła. W pełni dorównywały im koszalińskie składniki tego wydarzenia, przede wszystkim orkiestra grająca i brzmiąca jak rasowy zespół operowy. Niewątpliwa to zasługa dyrygenta, **Rubena Silvy**, który operę ma we krwi. Prowadził spektakl znakomicie, w idealnych tempach. Trudną rolę miał zespół techniczny filharmonii: niewielki, ale dokonywał cudów, aby wszystko biegło gładko. Zmiany dekoracji (bez kurtyny!) były błyskawiczne i niezauważalne (w ciemnościach). Rodzimym także wkładem była scenografia, dzieło **Wandy Vogelsinger**, która wyczarowała z użyczonych elementów świetny entourage akcji, organizujący miejsce i tworzący jej sugestywny klimat.

Wielka, blisko czterotysięczna publiczność miała komfortową pomoc w pełnym odbiorze opery: kompletną polską treść libretta wyświetlano nad sceną; dzieło **Adama Paczkowskiego**, niezwykle trudne i stresujące: rzutowanie ponad tysiąca slajdów z tekstem, w ścisłej synchronizacji ze śpiewem! Tym trudniejsze, że artyści śpiewali po włosku. Spektakl byłby w jakimś stopniu ułomny bez słowa wiążącego **Andrzeja Zborowskiego**: kulturalnego, kompetentnego, z piękną dykcją i polszczyzną. Muzyczna zaś materia zależała od głośników i czarnoksiężnika przy konsolecie nagłaśniającej – Jerzego Sochala, który dał tu akustyczny przekaz znakomity. To wszystko złożyło się na fakt niezwykły: pełny spektakl operowego arcydzieła w pięknym kształcie, w Koszalinie. Przyjęte zostało entuzjastycznie.

*

La Traviata zakończyła sezon artystyczny Filharmonii Koszalińskiej, a już 2 lipca rozpoczął się **44. Międzynarodowy Festiwal Organowy w Koszalinie**; impreza organizowana przez Filharmonię Koszalińską i z udziałem jej orkiestry; trwała do 27 sierpnia. Koncerty Festiwalu odbywały się także w siedmiu okolicznych kościołach miast Ziemi Koszalińskiej (Białogard, Darłowo, Drawsko Pomorskie, Dźwirzyno, Karlino, Sarbinowo, Ustronie Morskie). Impreza, będąca drugim nurtem repertuarowym Filharmonii, ogromna, z wielkim rozmachem programowana przez jej dyrektora artystycznego, wybitnego organistę, **Bogdana Narlocha –** to owoc jego niespożytej energii, całorocznej pracy, znajomości i kontaktów z europejskim światem organistyki i chóralistyki, i to nie tylko europejskim. Oferuje niezwykle bogaty repertuar i zestaw wykonawców, umożliwia promieniowanie filharmonii na niemal całe środkowe Pomorze, wykorzystując jego piękne kościoły, corocznie dołącza nowe. Koncerty z programa-

mi łączącymi muzykę organową z kameralną i chóralną cieszą się zadziwiająco wielkim powodzeniem. Wszystkim koncertom Festiwalu towarzyszy słowo o muzyce **Andrzeja Zborowskiego** – istotna percepcyjna pomoc dla bardzo różnych słuchaczy. 44. Festiwal pobił dotychczasowe rekordy jego zasięgu, artystycznego bogactwa – i frekwencji. Obok dziewięciu cotygodniowych koncertów w katedrze koszalińskiej odbyło się 26 koncertów w ościennych miejscowościach z kościołami dysponującymi dobrymi organami. W sumie, w Koszalinie i poza nim, występowało 17 wybitnych organistów (8 zagranicznych, 9 polskich), orkiestra Filharmonii Koszalińskiej, 3 chóry, soliści, zespoły kameralne.

Lato roku 2010 było zatem nasycone muzyką, miało także swoją wyjątkową kulminację; wieczorem, w sobotę **24 lipca** w koszalińskim amfiteatrze wykonano sławną kantatę, *cantiones profanae,* Carla Orffa: **Carmina Burana**. Na czele koszalińskich filharmoników, trójki znakomitych solistów (**Olga Kseniczy** sopran**, Piotr Łykowski** kontratenor, **Tadeusz Milewski** baryton), 150-osobowego chóru mieszanego z Berlina, wspomaganego przez chór Ziemi Chełmskiej i chór „Dominanta" z Mścic – stanął **Karol Borsuk,** polski dyrygent mieszkający i pracujący w Berlinie. Prowadził wielkie dzieło znakomicie, miał wielką, skomplikowaną w przebiegu kompozycję w małym palcu. Akurat tego wieczora była fatalna pogoda, zimno, wietrznie i deszczowo, mimo to jędrnej tematycznie kompozycji, napisanej do świeckich tekstów średniowiecznych, ewokującej w genialnej stylizacji ówczesny klimat i obyczajowość, wysłuchało 2.000 osób, dzielnie znosząc sztormowe odgłosy i powiewy. Także chóry, muzycy i soliści

La Traviata.

fot. archiwum FK

znosili te warunki prawdziwie bohatersko, narażeni na zimne aerozole. Nie miało to wpływu na wykonanie, muzyka, zachwycająca i ekscytująca oczarowała wszystkich, owacje były entuzjastyczne i długotrwałe. Wielkie wydarzenie repertuarowe i wykonawcze, a także organizacyjne. Chóry, soliści, orkiestra – byli znakomici. Świetne nagłośnienie **Jerzego Sochala**.

*

Z otwarciem **55. sezonu artystycznego filharmonii** czekano dość długo, ale nie czekano bezczynnie. We wrześniu orkiestra – pod batutą Rubena Silvy – zamykała 44. Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku (17 września), towarzysząc doskonale solistom w *Koncercie fortepianowym C-dur* Franciszka Lessla (Zbigniew Raubo) oraz w *Koncercie f-moll* Fryderyka Chopina (Radosław Sobczak), występowała także poza Koszalinem w repertuarze operetkowym. Inauguracja sezonu odbyła się dopiero 7 października, program wypełniła całkowicie muzyka Chopina: młodzieńcze dzieła z orkiestrą: *Andante spianato i Wielki polonez Es-dur* oraz *Fantazja na tematy polskie*, grane świetnie przez **Edwarda Wolanina**, oraz bogaty zestaw utworów solowych instrumentowanych na orkiestrę symfoniczną przez Igora Strawińskiego, Zygmunta Noskowskiego, Zdzisława Szostaka, Andrzeja Koszewskiego i Aleksandra Głazunowa – tego ostatniego instrumentacja czterech utworów z suity *Chopiniana*, wykorzystywanej często w balecie *Sylfidy*. Niestety, wszystkie owe instrumentowane utwory utwierdzały w przekonaniu, że zamysł, kształt, faktura i ekspresja utworów Chopina zbyt ściśle wynikają z ducha i możliwości fortepianu, aby przełożyć je z powodzeniem na język orkiestry. Ze wszystkich wykonanych instrumentacji obronną ręką wyszła jedynie praca Zygmunta Noskowskiego: *Etiuda E-dur op. 10*, ale też jej melodia zalśni nawet grana na organkach. Zatem sam w sobie interesujący zamysł pokazania artystycznych idei Chopina w orkiestrowym powiększeniu okazał się jedyną wartością tego koncertu; oczywiście poza dobrym występem Edwarda Wolanina w młodzieńczych dziełach z orkiestrą. Dyrygował **Ruben Silva**.

Na drugim koncercie abonamentowym (15 października) filharmonia dała kolejny wieczór z Chopinem – zabrzmiało największe z jego dzieł symfonicznych, *Koncert fortepianowy e-moll*; wyzwanie dla każdego pianisty: wysmakowana wirtuozeria najwyższej próby, styl brillant, ludowa żywiołowość i rubaszność – łączące się z subtelną kantyleną i romantycznej próby liryzmem. To wszystko znalazło swój wyraz w dojrzałej, klasycznie doskonałej interpretacji **Beaty Bilińskiej**, dającej żywy, nieskazitelny obraz artystycznej wizji Chopina. Wielka artystka. Tym bardziej odpowiedzialne zadanie miała orkiestra, ale tu także Chopin miał szczęście: dyrygował **Wojciech Rodek** (po raz pierwszy w Koszalinie) świetnie partnerujący solistce i rozumiany przez dobrze grającą orkiestrę. Było to wykonanie *Koncertu e-moll* świetne, może najlepsze z dziesiątków poprzednich. Wieczór tradycyjnie rozpoczęła uwertura – rzecz zwykła, ale niezwykła była owa uwertura: *Leonora I* Beethovena, prototyp *Leonory III*, błyszczącej w repertuarze symfonicznym. Właściwie ta pierwsza próbna wersja robiła wrażenie szkicu, przeważały w niej partie unisono, wysmakowane i sugestywne, świetnie i czysto grane, także fragmenty bogatsze brzmiały doskonale; utwór miał sugestywny klimat, czuło się rękę Beethovena – i kompetentną rękę dyrygenta. Koncert zamykała *VIII symfonia* Dworzaka, dzieło niesłychanie bogate muzycznie, wielkiej dźwiękowej urody, emanujące ludowym klimatem. Niełatwe dla orkiestry – ze swą bogatą fakturą; rozedrgane, rozśpiewane, mnóstwo tu solówek i czarującej harmoniki. Wojciech Rodek rozśpiewany ten przebieg prowadził znakomicie, udała mu się przy tym rzecz w koszalińskim zespole i w akustyce jego sali niezwykła: doskonale zróżnicował, rozjaśnił role: która grupa orkiestry, bądź partie instrumentów, są ważne lub mniej ważne. Uzyskał czytelny, barwny przebieg, uwypuklił partie solowe (świetne flety

Małgorzaty Kobylarz-Wasilewskiej i **Urszuli Grąbczewskiej –** bardzo tu eksponowane). Poznaliśmy świetnego dyrygenta oraz smak satysfakcji z bardzo dobrego koncertu.

Kolejny piątek (29 października) należał do młodych artystek: dyrygentka **Ewa Strusińska** oraz pianistka **Joanna Marcinkowska** nadzwyczaj celnie i wrażliwie kształtowały artystyczny wyraz programu złożonego z dzieł trójki przyjaciół: Liszta, Chopina i Mendelssohna. Dawno publiczność koszalińska nie widziała czynu dyrygenckiego tak znakomitego, wyrażającego się w świetnie prowadzonych próbach, zaś na estradzie – w skromnych, miękkich, celnych i niezwykle skutecznych ruchach, o jakich mówi się: brzmiące. Orkiestra grała jak w transie, przebieg muzyki był naturalny, harmonijnie eksponujący wątki, dynamikę, artykulację i wyraz kompozytorskiej wypowiedzi. Pięknie zabrzmiał niemal zapomniany już (w Koszalinie) poemat symfoniczny Liszta *Preludia,* w interpretacji Ewy Strusińskiej, słusznie pozbawiony pewnej dozy powierzchownej pompatyczności; czarowała swą energią *I symfonia* 15-letniego Felixa Mendelssohna; dzieło ubogie jeszcze w bardziej wyraziste i głębsze nuty, ale pełne młodzieńczego wigoru wiele zyskiwało lekko rysowane subtelną ręką dyrygentki. Wątek chopinowski tego wieczoru reprezentowało ostatnie wielkie dzieło Fryderyka: *Sonata wiolonczelowa*, poddane transformacji na orkiestrę symfoniczną i fortepian, dokonanej przez Kazimierza Rozbickiego, autora niniejszych słów; utwór znany koszalińskiej publiczności z kilkakrotnych wykonań. Partię fortepianu – niezmienioną, oryginalną partię Chopina z *Sonaty* – grała wspaniale Joanna Marcinkowska (po raz drugi w Koszalinie), jedna z najlepszych polskich pianistek naszej doby. Dzieło prowadziła znakomicie Ewa Strusińska, orkiestra grała i brzmiała doskonale. Autorowi transformacji pozostała wielka satysfakcja oraz podziw i wdzięczność dla obu artystek i orkiestry; i wiara, że Chopin, gdzieś z wyżyn nieba muzyki, z aprobatą słuchał swego podniesionego do rangi symfonicznej dzieła, oddanego w ich wspaniałe ręce.

Filharmonia Koszalińska, tak jak cała Polska, od swego pierwszego koncertu w **1956 roku**, podjęła nie z własnej woli listopadowe serwituty patriotyzmu – bynajmniej nie polskiego. Wówczas znajdowały one wyraz w programach koncertów sąsiadujących z rocznicą Rewolucji Październikowej (7 listopada 1917)). Programy owe wypełniały dzieła kompozytorów rosyjskich i radzieckich – na ogół dobre i bardzo dobre, nie był to zatem serwitut obniżający jakość życia muzycznego w Polsce. Jeszcze 7 listopada 1986 roku Fred Wojtan prowadził w Koszalinie koncert fortepianowy b-moll i V symfonię Czajkowskiego. Może dzięki owej lekcji patriotyzmu narzuconego przeszliśmy w muzyce na patriotyzm rodzimy. A historia chciała, że daty ważne dla obu sąsiadujących narodów dzielą tylko 4 dni. Mamy własne dzieła znakomite i takie znalazły się w programie koncertu 12 listopada**.** Dwa z nich polskie w każdej nucie to *Mała suita* Lutosławskiego i *Koncert fortepianowy f-moll* Chopina, trzecie zaś, poemat Karłowicza *Odwieczne pieśni*, odwołuje się do wartości uniwersalnych i osobistych, do przeżyć związanych z pięknem gór: ukochanych przezeń Tatr (w trzy lata po napisaniu poematu oddał im swe życie pod lawiną na stokach Małego Kościelca).

Koncert prowadził **Tomasz Bugaj** – znakomicie. Prawdziwym majstersztykiem było zarysowanie kapryśnego przebiegu *Małej suity*: dyrygent nadał jej wielkiej lekkości, ludowej bezpośredniości, a zarazem wydobył wszelkie przekorne niuanse tej pełnej humoru kompozytorskiej zabawy. Orkiestra ochoczo i starannie brała udział w tej wcale niełatwej zabawie. Majstersztykiem był także akompaniament w *Koncercie* Chopina – doskonały w synchronizacji, ale także w wyrazie, w chwytaniu w lot intencji solistki. A miał solistkę znakomitą: Francuzkę **Hélène Tysman**, wyróżnioną finalistkę tylko co ukończonego Konkursu Chopinowskiego. Artystka grała przepięknie, oddając sugestywnie uczuciowy, poetycki klimat młodzieńczego zauroczenia muzyką – i kobietą. Prowadziła narra-

cję naturalnie, wielkiej urody dźwiękiem, nieskazitelnie technicznie. Interpretacja subtelna, wirtuozeria delikatna, cudowne brillant, pełnia życia i temperamentu w tanecznym finale. Przyjęcie było entuzjastyczne, na bis artystka wykonała Chopina *Mazurek b-moll*, czwarty z opusu 24, wspaniale oddając głębię jego cudownych splotów harmonicznych. Po przerwie zaś zabrzmiały *Odwieczne pieśni,* owo wielkie i piękne dzieło polskiej symfoniki – hołd oddany Tatrom, w partyturze stawiającej wykonawców przed nader trudnym zadaniem. Dzieło w intencji Karłowicza programowe, napisane na wielką orkiestrę, operuje ogromną gamą barw i gęstą fakturą – dużo w nim zdwojeń i, przede wszystkim, przebogata harmonika. Tomasz Bugaj prowadził je świetnie, wydobył czytelnie wyrazowe intencje kompozycji, jej emocjonalną temperaturę, refleksyjność, introspekcyjny charakter. Nie można było jednak nie odczuć pewnego niedopracowania przebiegu i niedostatków zestrojenia. W każdym razie dyrygencki czyn był bez zarzutu, zaś w Lutosławskim i Chopinie – znakomity.

Kolejny koncert symfoniczny (19 listopada), który odbył się pod hasłem: *Z muzyką polską przez wieki*, zaczynał się muzyką Stanisława Moniuszki. Przed orkiestrą stanął **Jan Miłosz Zarzycki** – skrzypek i dyrygent, kontynuujący aktywność zawodową w tej drugiej dziedzinie. Otrzymał na początek kąsek smakowity: Moniuszki uwerturę do opery *Paria* – najlepszą z uwertur autora Halki. Muzykę zwartą, eksponującą dwa wyraziste, kontrastujące ze sobą tematy, pierwszy dramatyczny, drugi liryczny. To wielki jej walor. Niestety w ujęciu dyrygenta ów walor został zatracony na skutek monstrualnego rozciągnięcia owego drugiego, lirycznego tematu. Moniuszko chce tu „quasi allegro" – (niemal wesoło), tymczasem słuchaliśmy powolnego, rozwlekłego nucenia (i nudzenia). To spowodowało rozwodnienie wątku, kontrastów, ekspresji – i zainteresowania. Początek wieczoru był zatem niezbyt fortunny, natomiast w kolejnej pozycji programu dyrygent świetnie towarzyszył soliście w *Koncercie fortepianowym C-dur* Franciszka Lessla; to jedyny w naszej muzyce utwór w pełni i w całej swej urodzie klasyczny (powstał w 1815 roku). Słychać w nim mistrzowską rękę nauczyciela kompozytora: Lessel był uczniem Józefa Haydna. Solista, **Zbigniew Raubo**, pianista operujący wspaniałą, lekką techniką, grał *Koncert* ze smakiem – i w bardzo szybkich tempach; trudno było nadążyć za wszystkimi jego walorami, ale ogólny efekt był znakomity; także dzięki doskonałemu towarzyszeniu dyrygenta i orkiestry.

Druga część wieczoru była już całkowicie popisem dyrygenta – i wielkiej orkiestry. Na estradzie przez ponad godzinę koszalińscy muzycy rozwijali orkiestrowe misterium transformacji wizji malarskich na wizje dźwiękowe. Przedmiotem ich było pięć obrazów wielkiego malarza niemieckiego romantyzmu, Caspara Davida Friedricha, jakie urzekły **Piotra Mossa**, wybitnego polskiego kompozytora dzielącego swą aktywność twórczą na Warszawę, Paryż i Berlin; znanego już zresztą koszalińskiej publiczności. Stworzył dzieło niezwykłe, pozbawione tradycyjnej narracji muzycznej, operujące motywami i barwami w tkance niesłychanie ruchliwej i zatomizowanej, zupełnie niekonwencjonalnej – dzieło stawiające dyrygentowi i orkiestrze zadania niezwykle trudne. Mankamentem odbioru mogłaby być nieznajomość dzieł Friedricha, ich niezwykle sugestywnej ekspresji, ale dzięki sugestywnej muzyce nieznajomość owych inspirujących obrazów w niczym nie zubożyła siły oddziaływania samych muzycznych wizji Piotra Mossa, ewokowanych językiem bardzo nowoczesnym, ale nie uciekającym się do chwytów para-dźwiękowych i para-muzycznych: wszystko dzieje się przy użyciu bardzo bogatej, ale tradycyjnej palety dźwiękowej. Zasłużyła także na podziw orkiestra i zasłużył dyrygent, który z trudnego zadania wywiązał się znakomicie; i zasłużyła publiczność, która owacyjnie przyjęła trudne w percepcji dzieło.

Ostatni listopadowy koncert symfoniczny (26 listopada) prowadził **Rafał Delekta**, muzyk

z dużym dyrygenckim doświadczeniem na niwie symfonicznej, operowej i oratoryjnej. Program rozpoczynała uwertura do komedii Mozarta *Dyrektor teatru*, napisanej na zamówienie wiedeńskiego dworu. Jednoaktowa komedyjka otrzymała świetną muzykę, wizytówką jej jest skrząca się humorem i wdziękiem uwertura. Rafał Delekta potraktował ją chyba zbyt serio, racząc słuchaczy klasyczną wstrzemięźliwością; po prostu muzyka ta była o włos za wolna, zabrakło elementu zabawy, humoru, pozostała poprawność.

Po Mozarcie z roku 1786 nastąpił ogromny przeskok stylistyczny: koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku i muzyka Henryka Wieniawskiego w jego reprezentacyjnym dziele: *Koncercie skrzypcowym d-moll*; reprezentacyjnym i bardzo w Polsce popularnym.

Nie przepadam za tym dziełem Wieniawskiego, a już zwłaszcza umieszczonym obok Mozarta, przeskok jest bolesny. Frazy demolla rozwijają się w innym świecie, pozbawionym muzycznego esprit klasyków, a jeszcze nie obdarzonym żarem fraz romantyków. Partia solowa *Koncertu d-moll* należała do **Łukasza Błaszczyka**, który miał okazję do przydania muzyce Wieniawskiego owych szlachetnych, romantycznych powabów. Niestety, ograniczył się do pogoni za efektowną wirtuozerią. Kulminacją tego był zdecydowanie zagoniony finał, *á la Zingara* – na sposób cygański; Wieniawski bał się niewątpliwie – i słusznie – sprowadzania tego pomysłu do wyścigowej motoryki i dlatego przypisał mu tempo: *Allegro moderato*, umiarkowanie wesoło. Oczywiście większość skrzypków tego nie rozumie i nie respektuje, lub nie chce respektować. Łukasz Błaszczyk także do nich należy – grał *Finał* w tempie skrajnie zagonionym. Przedtem zaś była *Romanca*, która przebiegała jak coś dla solisty mało istotnego. Dla słuchaczy także... Dyrygent i orkiestra, w tym niemal na pamięć znanym Koncercie, rolę swą wypełniali sumiennie.

Druga część wieczoru należała całkowicie do Rafała Delekty, który świetnie poprowadził

Marcel Markowski. fot. Adam Żyworonek

IV symfonię Roberta Schumanna, wyraziście kształtując jej potężne proporcje, nasiloną ekspresję, bogactwo wyrazu – może nawet zbyt solennie, jeśli nie nieco ciężko. Była to wypowiedź bardzo zajmująca, romantyka z najwyższej półki. Orkiestra grała i brzmiała dobrze, nagłośnienie trafne – wszystko sprzyjało przeżywaniu jednego z najpiękniejszych i najgłębszych misteriów symfoniki. Dzieło święciło swe pierwsze wykonanie w roku 1853, w marcu 1856 Schuman umiera w ośrodku dla obłąkanych. Geniusz wystawia czasami niezwykle wysokie rachunki swym ulubieńcom.

W grudniu filharmonia dała tylko jeden (10 grudnia), ale za to dziwny koncert muzyki angielskiej: uwertura trwająca niespełna dwie

minuty, koncert wiolonczelowy wypreparowany z jakichkolwiek emocji, symfonia nazwana (bardzo trafnie) po prostu *prostą*, (simple); i jedynym dziełem, jakie oferowało przyzwoity symfoniczny format, była dobrze przyrządzona suita melodii ludowych. Nie wiem, czy program taki został skrojony na miarę dyrygenta, czy też skroił go dyrygent na miarę Koszalina, w każdym razie publiczność koszalińska nie opuszczała sali filharmonii w stanie wskazującym na wielkie przeżycie artystyczne. Choć same nazwiska angielskie były wielkie: Purcell, i uwertura do arcydzieła operowego *Dydona i Eneasz*; Elgar, i urokliwy *Koncert wiolonczelowy e-moll*, oryginalny w stosunku do tego typu literatury I-ej połowy XX wieku; Britten, i *Symfonia „simple"* twórcy dwunastoletniego – prosta rzeczywiście i oczywiście, rodzaj dziecięcego żartu muzycznego; oraz na zakończenie *Suita angielskich melodii* przyrządzona przez miłośnika angielskiego folkloru, a zarazem wybitnego kompozytora, Ralpha Vaughana Williamsa: jego świetna robota kończyła omawiany wieczór wreszcie prawdziwie symfonicznym akcentem, który właściwie ten program uratował.

Uratował go także **Paweł Kotla**, dyrygent sprawny i energiczny (szkoda, że nie wykonał któregoś ze świetnych marszy wojskowych Elgara). Zaś *Koncert wiolonczelowy* Elgara grał abiturient średniego zakresu nauki, **Marcel Markowski**; grał niełatwy utwór pewnie, dokładnie, czysto, ładnym dźwiękiem, unikając jednak zarazem wszelkich emocjonalnych odcieni – dyrygent lojalnie współuczestniczył w tym dziwnym, ascetycznym kreowaniu bardzo przecież bogatej wyrazowo muzyki Elgara. Emocje i uczuciowość albo wydają się przeżytkiem, albo są rejonem sztuki pewnym artystom niedostępnym. Młody wiolonczelista staje dopiero przed etapem muzycznej dojrzałości, sam warsztat ma już – jak na swój wiek – bardzo dobry, pozostaje zatem nadzieja, że z czasem pociągną go uroki wielkich wyrazowych możliwości wiolonczeli. Orkiestrę pociągały melodie angielskie świetnie przez Wiliamsa przyrządzone. Cały zaś program piątkowego wieczoru choć dość dziwny, był przecież miły, zapisał się także bardzo dobrą grą orkiestry.

Publiczności opuszczającej salę Kryterium pozostały trzy tygodnie na przygotowanie się do karnawałowej rozpusty muzycznej – już w roku 2011, jeszcze w kinie *Kryterium*.

Maria Słowik-Tworke

Na salonach i falach eteru

Rok Chopinowski w Radiu Koszalin

Rok 2010, w którym obchodziliśmy dwusetną rocznicę urodzin Fryderyka Chopina, to dar historii, czas uprzywilejowany dla nas wszystkich. Chopin jest przecież w muzyce najwyższą wartością, jaką mamy. Minęły prawie dwa wieki, a jego twórczość wciąż stanowi niewyczerpane źródło wzruszeń dla ludzi na całym świecie, niezależnie od odmienności i poziomu kultury i tradycji muzycznych. Z jego osiągnięć czerpali i czerpią twórcy muzyki poważnej, jazzowej i rozrywkowej. W swojej epoce był modnym i podziwianym kompozytorem i pianistą. Wciąż przyciąga nowe rzesze słuchaczy, rośnie jego popularność, powstają towarzystwa jego imienia, rozsiane na całym świecie (obecnie w 25 krajach działają 42 towarzystwa chopinowskie).

Dzieło Fryderyka Chopina – pisał Karol Szymanowski – *ze wszystkimi osobliwościami stylu, stanowiące najszlachetniejsze do dziś osiągnięcie muzyki polskiej, bynajmniej nie zamyka się w ciasnych ramach uczuć jednego narodu nie wychodzących poza granice etniczne – przeciwnie, ta muzyka polska osiągnęła swym szczytnym wysiłkiem poziom najwyższy sztuki międzynarodowej. Potrafiła z rzadką intensywnością wlać się w uczuciowość wszystkich, potrafiła zaimponować nieznaną i zadziwiającą koncepcją ówczesnego „Modernizmu", piękna muzycznego, które nie straciło nic ze swego czaru, tworząc w ten sposób tajemne więzy pomiędzy nami a całą ludzkością.*

Rok Chopinowski był szczególnym wyzwaniem dla Radia Koszalin. Bardzo starannie został opracowany roczny projekt audycji i koncertów w Salonie Muzycznym (również w terenie), z udziałem wybitnych artystów, a także utalentowanych młodych muzyków, mających na swoim koncie laury na różnych konkursach. Niestety, nie wszystkie projekty zostały zrealizowane ze względu na brak funduszy. Aby godnie uhonorować genialnego kompozytora epoki romantyzmu, staraliśmy się rzetelnie przekazywać wiedzę o jego muzyce i życiu. W naszych audycjach i koncertach prezentowaliśmy Chopina nie tylko jako fenomenalnego artystę muzyka, ale mówiliśmy także o jego fascynującej osobowości, poczuciu humoru, darze wnikliwej obserwacji, talencie aktorskim, literackim, rysowniczym, wykwintnych manierach, a także o epoce, w której żył i tworzył. Pragnęliśmy bowiem, aby ta niezwykła postać każdemu Polakowi stała się bliska, byśmy w pełni potrafili docenić (i nauczyli się prawdziwie cenić) to, co artysta wniósł do ogólnoludzkiej kultury.

Rok Chopinowski w Radiu Koszalin zainaugurowany został 28 stycznia, uroczystym koncertem, w „Salonie Muzycznym". Z recitalem wystąpił wówczas młody, utalentowany pianista **Łukasz Jankowski**, absolwent gdańskiej Akademii Muzycznej, laureat Estrady Młodych 42. Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku i nagrody Radia Koszalin. Artysta zaprezentował utwory: Jana Sebastiana Bacha – Partitę c- moll BWV 826, Fryderyka Chopina – Nokturn c – moll op.posth. i Balladę f – moll op.52 oraz Sergiusza Rachmaninowa – Dwie Etiudy Obrazy op.39. Aby stworzyć szczególnie uroczysty klimat wieczoru, przybliżający epokę Chopina, na prośbę organizatorów pianista przywdział długą czarną

pelerynę, cylinder, białe rękawiczki; z laseczką w ręku szarmancko wszedł na estradę. Również będący wśród publiczności studenci Politechniki Koszalińskiej zostali ubrani w stylowe stroje z epoki. Natomiast na estradzie obok fortepianu, na sztaludze został wyeksponowany portret Chopina, a kwiaciarnia „Akant" przyozdobiła studio koncertowe pięknymi kwiatami. Występ Łukasza Jankowskiego, a także jego opowieści m.in. o muzyce dawnej i różnorodnych – także pozamuzycznych - zainteresowaniach, publiczność przyjęła bardzo serdecznie.

Kolejny koncert w „Salonie Muzycznym" odbył się 18 marca. Wieczór wypełnił recital gitarowy **Adama Wocha**, wówczas maturzysty – obecnie już absolwenta Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych z klasy prof. Zbigniewa Dubielli. Młodziutki gitarzysta, laureat wielu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów, grał jak zawsze świetnie. Jego recital wypełniły utwory: Jana Sebastiana Bacha – Preludium, fuga i allegro BWV 998, Fryderyka Chopina - Walc e – moll (w oryginale a – moll op.34 nr.2), Witolda Lutosławskiego - 3 piosenki ludowe, Joaquina Rodriga - Sonata giocosa i - na bis - Francisco Tarregi – Mazurek. Na szczególne uznanie zasługuje jego mistrzowska interpretacja Sonaty J.Rodriga, a także Walca Chopina, którego właściwie nie chciał włączyć do swego repertuaru, ale z okazji Roku Chopinowskiego...! Podczas wywiadu Adam Woch bardzo interesująco opowiadał o swoich pasjach, przyjaźniach oraz występach i laurach zdobytych na prestiżowych konkursach m.in. w Hiszpanii, Austrii i Polsce. Bardzo się cieszyliśmy, że mogliśmy przedstawić koszalińskim melomanom wybitnie utalentowanego gitarzystę, jeszcze przed jego wyjazdem na studia do Warszawy.

Czerwcowy „Salon Muzyczny" (17 czerwca) uświetnił swoim występem **Grzegorz Niemczuk,** absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach, laureat m.in. Estrady Młodych 43. Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku i nagrody Radia Koszalin. Pianista na swój radiowy występ przygotował: Josepha Haydna Sonatę As-dur Hob. XVI 46, Franciszka Schuberta Impromptu B-dur op. 142 Nr 3, oraz Fryderyka Chopina Mazurek cis-moll op. 41 nr 4 i Scherzo b-moll op. 31. Ten obdarzony niewątpliwą charyzmą młody pianista potrafił skupić na swojej wirtuozowskiej grze uwagę słuchaczy, którzy zgotowali mu owację na stojąco. Zachęcony tak gorącym przyjęciem, brawurowo, z młodzieńczą świeżością i fantazją zagrał na bis Etiudę z op.10 „Rewolucyjną" i Poloneza As-dur op.53 Chopina.

Także podczas dopełniającego każdy koncert w „Salonie Muzycznym" wywiadu pianista zaciekawił słuchaczy opowieściami o koncertowych wojażach po Australii, Francji, Finlandii, Belgii i Włoszech , a także o niezwykłym pobycie w Żelazowej Woli.

Ukoronowaniem koncertów w „Salonie Muzycznym" w Roku Chopinowskim był rewelacyjny recital **Wojciecha Świtały**, który wystąpił 9 grudnia. Wirtuoz klawiatury zaprezentował utwory Fryderyka Chopina: 2 Nokturny op.48, 4 Mazurki op. 67, Balladę As-dur op. 47, Scherzo b-moll op. 31 oraz na bis Mazurka g – moll op.24 nr 1.

Wojciech Świtała swoimi mistrzowskimi interpretacjami całkowicie podbił serca melomanów. Zachwycił pięknym prowadzeniem narracji muzycznej, subtelnym, natchnionym, lirycznym piano, błyskotliwą wirtuozowską techniką, finezją - jednym słowem wszystkim, co w muzyce najpiękniejsze. To były najwyższe rejony sztuki. Wojciech Świtała przybył do Koszalina niemal bezpośrednio z Singapuru, a więc na gorąco podzielił się swoimi wrażeniami z egzotycznej podróży. Bardzo interesujące były także jego spostrzeżenia i doświadczenia związane z grą na historycznych instrumentach Erarda i Playela, czy też wrażenia z ostatniego XVI Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie. Artysta dał się poznać publiczności jako niezwykle bezpośredni i skromny człowiek, pełen dystansu i krytycznego stosunku do własnych, wspaniałych przecież, sukcesów.

„Salony Muzyczne" z udziałem publiczności

to odświętny nurt pracy dziennikarskiej. Podstawą jest, oczywiście, codzienny całodobowy program. Tu także było bogato i, mam nadzieję, interesująco. W marcu (z okazji rocznicy urodzin Chopina przypadającej 1 marca) oraz w listopadzie, nadaliśmy cykle „Kącików melomana" pod hasłem „Perły polskiej literatury muzycznej", w których prezentowane były miniatury Chopina w interpretacjach największych mistrzów klawiatury, m.in. Artura Rubinsteina, Marty Argerich, Krzysztofa Jabłońskiego, Haliny Czerny – Stefańskiej, Piotra Palecznego, Ewy Pobłockiej, Wojciecha Świtały, Rafała Blechacza, Garicka Ohlssona, Piotra Anderszewskiego i innych równie znakomitych Chopinistów.

W blisko godzinnych wieczornych audycjach słowno – muzycznych zatytułowanych „Radiowy Klub Muzyki", nadaliśmy m.in.: „Mistrzowskie interpretacje utworów Chopina" Krystiana Zimermana, „Śladami Fryderyka" cz. I – wędrówki polskim szlakiem, gdzie spędził szczęśliwe dzieciństwo i młodzieńcze lata, cz. II wędrówki po Europie (Austria, Niemcy, Czechy, Francja, Italia, Hiszpania, Anglia i Szkocja), „Chopin

Adam Woch wystąpił zarówno w Filharmonii Koszalińskiej, jak i Radiu Koszalin – tu zaprezentował gitarową transkrypcję Walca e-moll Chopina.

fot. archiwum Adama Wocha

w wielkim świecie salonów francuskiej arystokracji", „Kobiety w życiu F. Chopina", „Chopin i jego przyjaciele", „Ostatni rok w życiu kompozytora".

Wyemitowaliśmy także cykl wywiadów pt. „Chopin w życiu polskich pianistów". Rozmawialiśmy m.in. z Edwardem Wolaninem, Karoliną Nadolską, Filipem Wojciechowskim, Krzysztofem Jabłońskim, Ewą Pobłocką, Beatą Bilińską, Joanną Marcinkowską, Zbigniewem Raubo, Andrzejem Tatarskim, Radosławem Sobczakiem, Filipem Wojciechowskim, Bogdanem Kułakowskim, Bartłomiejem Kominkiem, Grzegorzem Niemczukiem, Joanną Ławrynowicz.

We wrześniu prezentowaliśmy uczestników polskiej ekipy na XVI Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Były to wywiady z: Marcinem Brachą, Marcinem Koziakiem, Gracjanem Szymczakiem, Joanną Różewską. Radiosłuchacze usłyszeli też utwory Chopina w ich wykonaniu. O blaskach i cieniach XVI Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie na antenie Radia Koszalin rozmawialiśmy z Janem Popisem, wybitnym muzykologiem, obserwatorem wszystkich etapów.

W poniedziałkowych „Przeglądach Muzycznych" wiele uwagi poświęciliśmy także wydarzeniom związanym z Rokiem Chopinowskim w naszym regionie, m.in.: wieczorom festiwalowym w Kołobrzegu, Koszalinie i w Słupsku, a także koncertom w Filharmonii Koszalińskiej i Słupskiej. Ze szczególnym uznaniem mówiliśmy o obchodach Roku Chopinowskiego w Kołobrzegu, gdzie wiele bardzo interesujących imprez odbywało się w różnych nietypowych miejscach, jak np. koncert na dworcu PKP, happening „Na ulicy Chopina", w parku, na dziedzińcu ratusza, wystawa plenerowa „Muzyką malowane", „Chopin w uzdrowisku" czy „Noc z Chopinem" z udziałem pianistów i baletu.

Z radością odnotowaliśmy także twórcze działania z udziałem młodzieży szkolnej: koncerty w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie, także imprezy w Słupsku: konkurs - wystawę „Chopin – impresje plastyczne, przedstawienie „Chopin i Mickiewicz – wygnańcy czasu", które odbyło się w Miejskiej Bibliotece Publicznej, a także wystawę w Muzeum Pomorza Środkowego, na której wyeksponowane były m.in. archiwalia Słupskiego Towarzystwa Społeczno Kulturalnego oraz kopie rękopisów Chopina ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

W miarę naszych możliwości staramy się wpływać na edukację muzyczną, na kreowanie życia kulturalnego na Pomorzu środkowym, stwarzamy słuchaczom okazje, by rozsmakowywali się w muzyce Chopina. Za każdym bowiem razem gdy słucha się jego utworów dostrzega się coś nowego, frapującego... Z tego nie można się wyzwolić, bo jak napisał muzykolog amerykański Archibald Davison: ... *z każdym utworem Fryderyka Chopina wkracza się w jakiś kraj cudowny, nietknięty jeszcze stopą ludzką, jakby natrafiała na ścieżkę, którą dotąd nikt prócz nas nie przeszedł.*

VI Hanza Jazz Festiwal

w obiektywie Marka Jastrzębskiego

Od 20 do 23 października w Koszalinie królował jazz, któremu już po raz szósty poświecono koncerty, jam sessions oraz warsztaty dla młodzieży z Polski i Niemiec.

Koszaliński festiwal spod znaku Hanzy dorobił się niezmiennej od kilku lat formuły, co najważniejsze, stałego grona pedagogicznego, złożonego z tak znakomitych muzyków, jak Adam Wendt, Krzysztof Puma Piasecki czy Krystyna Prońko, od ubiegłego roku w klasie wokalnej wspierana przez Danutę Błażejczyk. Tym razem odnotowujemy Hanza Jazz festiwal za pomocą obiektywu Marka Jastrzębskiego.

By zadość uczynić obowiązkowi dokumentowania najważniejszych wydarzeń, odnotujmy najważniejsze wydarzenia festiwalowe:

20 października
Kino Kryterium
koncert z udziałem Artura Dutkiewicza („Mazurki") i zespołu „Walkaway"

21 października
koncerty uczestników w pubach koszalińskich
Klub Rezerwat
koncert formacji Artur Lesicki Trio

22 października
koncerty uczestników w pubach koszalińskich
CK 105
koncert Miśkiewicz/ Majewski play Komeda

23 października
Kino Kryterium
uroczyste zakończenie warsztatów i koncert galowy uczestników wraz z wykładowcami

Hanza Jazz Festiwal. Koncert mistrzów i jazzowej młodzieży. fot. Marek Jastrzębski/ archiwum CK105

Krystyna Prońko na Hanza Jazz Festiwal.

fot. Marek Jastrzębski/ archiwum CK105

Warsztaty wokalne zdominowały dziewczyny z jazzowym feelingiem.

fot. Marek Jastrzębski/ archiwum CK105

TEATR

Paweł Sztarbowski

Nowa fala barbarzyńców

Im więcej czasu mija od pierwszych Koszalińskich Konfrontacji Młodych „m-teatr", tym bardziej uświadamiam sobie, jak bardzo taki festiwal był potrzebny; głównie po to, by poznać siły i środki najmłodszego pokolenia twórców teatralnych, porównać różnorodne estetyki, w jakich się poruszają. Ale też po to, by przestać na tych artystów patrzeć wedle utartych schematów i nigdy więcej nie określać już ich dokonań za pomocą paru wyświechtanych i niewiele znaczących słownych wytrychów. Bo ileż to już razy słyszeliśmy o pokoleniu barbarzyńców, ojcobójców, młodych niezadowolonych. Określanie młodych artystów za pomocą słowa „bunt" nic nie wnosi do dyskusji i niczego tak naprawdę nie nazywa. Bo każdy z nich buntuje się na swój sposób.

W odróżnieniu od artystów o pokolenie starszych, reżyserów, których spektakle zostały zaprezentowane w Koszalinie, cechuje jednak nieufność wobec języka teatralnego i teatru w ogóle. Wszyscy każą patrzeć na teatr jak na niezbadane pole minowe, gdzie każdy postawiony krok grozi katastrofą. Ale też każdy krok musi być postawiony z największą odpowiedzialnością i jest wyzwaniem ostatecznym. Może stąd bierze się tendencja do całkowitego wręcz ignorowania tak zwanego warsztatu reżyserskiego i ostentacyjne odchodzenie od sprawnego montowania poszczególnych scen i budowania spójnego widowiska. Wynika to oczywiście ze strategii ciągłego igrania z cierpliwością widza i z jego przyzwyczajeniami. Właściwie każdy festiwalowy spektakl próbował wytrącić publiczność z norm odbioru dzieła teatralnego. Stąd zapewne fakt, że właściwie każdy spektakl powodował mniej lub bardziej ostentacyjne opuszczanie sali przez widzów. Ze zwycięskiego spektaklu – *Odysei* w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego z Teatru im. Kochanowskiego w Opolu – wyszło chyba więcej niż połowa publiczności, a w czasie jego trwania znaleźli się i tacy, którzy głośno wyrażali swoją dezaprobatę. Podobno w Opolu sytuacja wygląda podobnie.

No właśnie. A jednak ten właśnie spektakl wygrał. Dlaczego? Jako juror festiwalu czuję się w obowiązku wytłumaczyć się zarówno z tej decyzji, jak i towarzyszącego jej poczucia, że reżyser *Odysei*, jeśli tylko dostanie szansę rozwoju swojego talentu, stanie się już niebawem zupełnie osobnym zjawiskiem artystycznym, świecącym wśród gwiazd polskiej kultury. Bo jego opolski spektakl może irytować, może nużyć, może nawet ociera się momentami o grafomanię. Ale też właściwie w każdej scenie widać, że stoi za nim niezwykła osobowość artystyczna. Świadczy o tym niebanalność i bogactwo skojarzeń, a także dogłębna próba opisu poprzez teatr świata w jego pełni, na wielu płaszczyznach, od człowieka w jego pokracznej cielesności aż po rejony metafizycznej tajemnicy. Garbaczewski nie ułatwia, nie dopowiada, pozostawia widza w nieustannym niedosycie sensów, a kiedy to tylko możliwe – mnoży pytania, zamiast je rozwikływać. Z antycznej opowieści o wędrówce bohatera do rodzinnego miasta wydobywa wieloznaczne obrazy kobiet, mimo że brakuje ich w pierwotnym materiale. To właśnie jest jego największym osiągnięciem – nie zdecydował się na nachalne i upraszczające uwspółcześnienie eposu Homera i nie pozostawił go w naiwnej manierze muzealnego wystawiania klasyki, ale znalazł współczesne środki dla zmierzenia się

z odwiecznymi problemami zapisanymi w *Odysei*, próbując dotknąć tajemnicy tego tekstu, a nie tylko odgrywając jego poszczególne wątki fabularne. Główną inspiracją stał się tu zapewne Jean-Luc Godard i jego film *Pogarda*, gdzie tematem jest mierzenie się wybitnego reżysera Fritza Langa z dziedzictwem antyku. Jedyną drogą jest działanie wbrew łatwym chwytom i szlakom już przetartym, wyeksploatowanym. Dokładnie tak samo działa reżyser opolskiego spektaklu. Wraz z dramaturgiem Marcinem Cecką i scenografką Anną Marią Kaczmarską tworzą świat wielowarstwowy i wielobarwny. Antyczne toposy wędrówki Odysa, czekającej wiernie Penelopy czy mierzącego się z mitem ojca Telemacha, służą im do opowieści o dramatach i dążeniach współczesnych ludzi. Całość przypomina skakanie po krótkich filmikach na YouTube, narracja jest kapryśna, nieprzewidywalna, ale też zaskakująco dobrze oddaje zagubienie i samotność współczesnego człowieka, zmagającego się z tą samą co antyczni przodkowie nieumiejętnością wzięcia pełnej odpowiedzialności za własne życie.

Właśnie owo nieułatwianie sobie zadania w poszukiwaniu nowych form teatralnych, które byłyby jednocześnie współczesne, ale w sposób niebanalny, było cechą wszystkich właściwie spektakli zaprezentowanych podczas Koszalińskich Konfrontacji Młodych. Zupełnie jakby najmłodszemu pokoleniu reżyserów, w przeciwieństwie do ich trochę starszych kolegów, nie zależało na efektowności, komunikatywności przekazu, czy nawet szokowaniu mieszczańskiego widza podejmowanymi tematami. Chodzi raczej o znalezienie języka i estetyki, które działałyby poza czasowymi ograniczeniami. Podobni są w tym właśnie do Godarda i innych twórców francuskiej nowej fali, którzy również poszukiwali języka, wolnego od banału codziennych zachowań i ponad dosłownością sensów. Dziwność i tajemnica, a nie komunikatywność i zwyczajność są dla tych twórców wyznacznikiem artystycznego przeżycia. Tym, co organizuje to przeżycie, nie jest już właściwie przywiązanie do literatury, czy tym bardziej wierne przenoszenie literackiej materii na deski sceniczne. Nie jest to też łączenie wielości sztuk w jeden spójny system znaków. To raczej nieustanne poszukiwanie „tego, co teatralne", wydobywanie performatywności ludzkich zachowań, obnażanie ciągłych gier międzyludzkich, zachodzących na wszelkich płaszczyznach wzajemnego obcowania.

Stąd częste sięganie do sztuk wizualnych, jak w *Zemście* Weroniki Szczawińskiej z Teatru im. Szaniawskiego w Wałbrzychu, gdzie całość od-

fot. archiwum BTD

„Zemsta" zrealizowana w Teatrze w Wałbrzychu przyniosła reżyserce Weronice Szczawińskiej zaproszenie do pracy w BTD. W sezonie 2010/2011 nie doczekaliśmy się jednak jej spektaklu.

bywa się w dziwnej galerii dawnych konwencji i obyczajów, które podlegają nieustannej obróbce i kompromitującym je stylizacjom czy w *Księdzu H. lub aniołach w Amsterdamie*, gdzie sposobem bycia wszystkich postaci jest nieustanne odgrywanie przed sobą performansów i sprawdzanie w ten sposób własnej siły i umiejętności oddziaływania na innych lub do środków znanych z koncertów, jak w *Samotności pól bawełnianych* w reżyserii Radosława Rychcika z Teatru im. Żeromskiego w Kielcach, gdzie słowa są skandowane i wykrzykiwane, a grający na żywo ostrą rockową muzykę zespół podbija moc ich oddziaływania, czy w spektaklu *Z twarzą przy ścianie* w reżyserii Iwo Vedrala z Teatru im. Jaracza w Olsztynie, gdzie muzyczna struktura wydobywana jest dużo delikatniej, poprzez rytmiczność dialogów. Stąd też odchodzenie od linearności opowiadania, poszukiwanie nowych sposobów organizacji spektakli oraz inspiracji dla scenariusza, czego najdobitniejszym przykładem był na koszalińskim festiwalu powstały na bazie różnego rodzaju instrukcji obsługi spektakl z Teatru Współczesnego w Szczecinie *Życie – instrukcja obsługi* w reżyserii Mateusza Przyłęckiego. Młodzi reżyserzy nie chcą mizdrzyć się do widza i, nawet za cenę niezrozumiałości czy odrzucenia, nie ułatwiają mu zadania, działając bardziej obrazami, przebłyskami sensów niż znaczeniami pozwalającymi się zamknąć w spójnej interpretacji. To również wyjaśnia zdezorientowanie, a czasem wręcz niechęć koszalińskiej publiczności, która niekiedy grupowo wychodziła z prezentowanych spektakli. Zdaje się, że o taką prowokację twórcom tych spektakli chodziło – o sprawdzenie możliwości percepcyjnych widza, zirytowanie go, może nawet znużenie, by przeniósł się w inny, niż nastawiony na dawkowanie kolejnych atrakcji, sposób postrzegania i odczuwania.

Wiąże się z tym wspomniana już nieufność wobec tradycyjnego języka teatralnego. Bo przecież w codziennym życiu osaczani jesteśmy przez ciąg nieustannych dramatyzacji i teatralizacji, które mają na celu wzbudzenie łatwych emocji i przewidywalnych reakcji. Całość życia społecznego określana bywa coraz częściej za pomocą terminologii teatralnej. Co więc w tym przypadku może zrobić teatr? Jak zareagować? By skutecznie działać, nie może ukrywać środków własnego oddziaływania, ale powinien je odsłonić, pokazać jak są skonstruowane, jakie triki za nimi stoją. Dzięki takim zabiegom może skutecznie demaskować kody symboliczne współczesności, oparte często na manipulacji treścią i szantażu emocjonalnym. Osiągane to jest często prostymi, prostackimi wręcz środkami. I właśnie dlatego młodzi reżyserzy chcą od nich uciekać.

*

Jedno jest pewne. Koszalińskie Konfrontacje Młodych „m-teatr" ruszyły i od razu stały się dla młodych reżyserów miejscem ważnym. Jeśli festiwal zadomowi się w tym mieście, to jest szansa, że dorocznie wyłaniała się będzie z niego paleta najciekawszych, najbardziej płodnych zjawisk teatralnych. Pytanie tylko, czy pozwoli na to dostateczna liczba ciekawych debiutów? Zdaje się, że jest ich mniej niż jeszcze przed kilku laty i że najmłodsi twórcy niechętnie szukają własnego języka i wolą iść tropem szlaków przetartych przez starszych kolegów. Trzeba mieć jednak nadzieję, że to chwilowy zastój. Może właśnie dzięki koszalińskiemu festiwalowi wśród najmłodszych reżyserów pojawi się prawdziwa potrzeba konfrontacji, a dla dyrektorów teatrów będzie to zachęta do podejmowania ryzyka i umożliwiania debiutów. Jeśli tak się stanie, to kulturotwórcza wartość tego czerwcowego tygodnia będzie nie do przecenienia. I skorzystają na tym nie tylko młodzi artyści.

Ewa Julianna Kwidzińska

Ten teatr się dzieje

I Koszalińskie Konfrontacje Młodych *m-teatr*

Koszalin nie jest silnym ośrodkiem na mapie teatralnej Polski – to fakt, który nie podlega dyskusji, który nie jest próbą deprecjacji kulturowych ambicji miasta; termin konfrontacja - nie kojarzy się z niczym, co mogłoby nieść element zaskoczenia choćby poprzez nową formułę, jakiej dotąd nie doświadczyliśmy na festiwalach; młodzi twórcy zaś niekoniecznie, nie zawsze kojarzą się z profesjonalną sztuką. Wytarte i puste dziś pojęcia teatru alternatywnego, czy offowego - nie do końca w uprawniony sposób łączone z młodą sceną w językowym uzusie (tudzież w półświadomości użytkowników języka, jakimi są komentatorzy życia teatralnego) - nie sprzyjają przychylnemu spojrzeniu na tę właśnie „młodą sztukę". Powyższą garść epigońskich argumentów, przytakujących niemiłosiernie obecnym w naszym myśleniu stereotypom, unieważnił jednak pierwszy (zawsze przecież najtrudniejszy) festiwal „Konfrontacje Młodych m-teatr". Tym samym – mam wrażenie – Koszalin wygrał drogi bon na wyszukaną strawę, jaką teatralny zjadacz chleba w tym mieście bez tego nowego konkursu nie ma możliwości na co dzień się raczyć.

O owe smakołyki postarał się dyrektor artystyczny festiwalu, reżyser Piotr Ratajczak - związany z różnymi scenami w Polsce, również z deskami Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie - przy współpracy z tymże właśnie teatrem. Głównym zamysłem inicjatorów i organizatorów Konfrontacji Młodego Teatru jest przedstawienie koszalińskiej publiczności jak najszerszego *spectrum* działania młodych polskich reżyserów; to oni przecież już za chwilę przemierzać będą ścieżki, którym kierunki wyznaczą nowe trendy i postawy w teatrze w naszym kraju. By zapewnić tę świeżość, organizatorzy festiwalu zdecydowali się w jego ramach zaprezentować tylko te spektakle, których reżyserzy mają w swoim *curriculum vitae* nie więcej niż cztery przedstawienia zrealizowane na profesjonalnych scenach.

Widzowie okazali się być naprawdę głodnymi teatralnych wrażeń i – chyba przede wszystkim – otwartymi na odbiór sztuki odbiegającej od formuły przedstawień teatru repertuarowego, jakie proponuje Bałtycki Teatr Dramatyczny (zatem: do jakich są przyzwyczajeni). Niezwykłe, że chętni obcować z najnowszym teatrem byli nie tylko widzowie bliscy wiekiem jego twórcom, ale także ci naprawdę młodzi (którzy – bardzo możliwe – swoje pierwsze teatralne kroki stawiali niepewnie w budynku BTD właśnie podczas Koszalińskich Konfrontacji Młodych), ale także ci o wiele starsi, którzy pamiętają spektakle z lat sześćdziesiątych, ba! może nawet pięćdziesiątych. Ta autentycznie wzruszająca i nadzieją napawająca mieszanka niezmanierowanego nadmiarem teatralnych propozycji towarzystwa wypełniała po brzegi obie widownie - tak dużej jak i małej sceny - każdego festiwalowego wieczoru, co jest rzadkością podczas debiutu tego rodzaju imprez. Odbiorcy pojawiali się licznie także na dyskusjach, prowadzonych przez wymienionego wyżej Piotra Ratajczaka po spektaklach. W minibrowarze *Kowal*, gdzie mieściła się baza festiwalowa, młodzi widzowie

spotykali się z twórcami, by konfrontować swoje emocje, odczucia, reakcje na obejrzaną kilka chwil wcześniej sztukę, pytać, słuchać odpowiedzi i dzielić się refleksjami.

Publiczność miała również wpływ na decyzję w kwestii przyznania nagród. To widzowie zdecydowali, kto otrzyma Nagrodę Publiczności dla Najlepszej Aktorki i Najlepszego Aktora. Po pięciu festiwalowych wieczorach, podczas których obejrzano siedem konkursowych spektakli, nagrody te otrzymali równorzędnie największą liczbą głosów: doskonale znana koszalinianom Katarzyna Ulicka-Pyda (odtwórczyni roli Kobiety w spektaklu pt.: *Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku* w reżyserii Anny McCracken/Bałtycki Teatr Dramatyczny w Koszalinie) oraz Tomasz Nosiński (odtwórca roli Klienta w spektaklu *Samotność pól bawełnianych* w reżyserii Radosława Rychcika/Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach).

Konkursowe przedstawienia oceniało trzyosobowe jury w składzie: Paweł Łysak (dyrektor Teatru Polskiego w Bydgoszczy), Paweł Sztarbowski (kierownik Działu Promocji w Instytucie Teatralnym im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie) i Zdzisław Derebecki (dyrektor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie). Ich decyzją miał być przyznany tytuł Najlepszego Reżysera, a wraz z nim możliwość realizacji spektaklu na scenie BTD w sezonie artystycznym 2010/2011. Pośród siedmiu nazwisk młodych reżyserów (**Radosław Rychcik** – *Samotność pól bawełnianych* Bernarda-Marie Koltesa z Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, **Anna McCracken** – *Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku* Doroty Masłowskiej z Bałtyckiego Teatru Dramatycznego im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie, **Weronika Szczawińska** – *Zemsta* Aleksandra Fredry z Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, **Iwo Vedral** – *Twarzą do ściany* Martina Crimpa z Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, **Bartosz Frąckowiak** – *Ksiądz H., czyli anioły w Amsterdamie* wg *Księdza Heleny* i *Ostatniego zlotu aniołów* Mariana Pankowskiego z Teatru Wybrzeże w Gdańsku, **Krzysztof Garbaczewski** – *Odyseja* wg Homera z Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, **Mateusz Przyłęcki** – *Życie/Instrukcja obsługi* wg własnego scenariusza z Teatru Współczesnego w Szczecinie) jury zdecydowało się wybrać dwa. I tak Nagrodę Główną otrzymał Krzysztof Garbaczewski. Drugą natomiast nagrodę w postaci możliwości wyreżyserowania spektaklu w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Koszalinie otrzymała Weronika Szczawińska.

Decyzja jury wzbudziła duże kontrowersje wśród festiwalowej publiczności (widać, nastąpiła konfrontacja sposobów odbioru i oczekiwań praktyków i teoretyków teatralnych z wizją publiczności *dobrego teatru*), a to przede wszystkim ze względu na nazwisko Garbaczewskiego i wystawioną przez niego trzygodzinną *Odyseję,* podczas której pełna początkowo widownia w ciągu kilkudziesięciu minut prawie cała została manifestacyjnie opuszczona przez widzów.

Faktem jest, że trudny to spektakl w odbiorze, zupełnie nieegalitarny, wprowadzający widza do sterylnego laboratorium teatralnego, w którym w pełnym skupieniu rozbierany jest tekst światowej klasyki literatury, po derridowsku dekonstruowany i w ramach sytuacji niekończącej się *work in progress* konsekwentnie i brutalnie dekodowany na scenie. Wydaje się, że to zderzenie oczekiwań widza wobec tytułu z tym, co otrzymał od Garbaczewskiego i świetnie kreujących swoje postaci aktorów Teatru im. Kochanowskiego z Opola, stało się zalążkiem burzy, która – *notabene* – wiele wniosła do dyskusji o kształcie i potrzebach młodego polskiego teatru i jego odbiorców. Garbaczewski zrobił z *Odyseją* - tą literacką pozycją definitywnie ateatralną i buchającą epickością - rzecz praktycznie za każdym razem niemożliwą do uchwycenia. Głównym bohaterem jest nie Odys, a jego syn (oczywiście bezsprzecznie należy uznać, że pierwszym bohaterem jest sam tekst dzieła). A właściwie bezradność Telemacha, jego samotność wymieszana z usilną potrzebą poszukiwania tożsamości, dojrzewania i budowa-

nia relacji, opisaną w jakimś wziętym w ogromny cudzysłów eseju literackim o luźnych zasadach konstruowania. Telemach nie jest w stanie poradzić sobie z mitem, w który jest uwikłany, a w którego realność nie wierzy. Przytłacza go ciężar bagażu dziedzictwa kulturowego, który staje się dla niego głazem syzyfowym, niezasłużonym, bo przeczuwa podskórnie, że dziś *nic w nim nie ma z niego samego*.

Garbaczewski zatem, miast opowiadać alegoryczne przygody bohaterów *Odysei,* które znamy wszyscy, funduje widzom nadmiar przypisów do tegoż dzieła i wolnych skojarzeń. Odbiorcy pozostają całkowicie bezradni wobec sceny, atakowani są dziwnego rodzaju zdeformowanym zapożyczeniem, cytatem, nadmiarem znaczeń, które krzyczą zewsząd, pozornie ukryte w każdym słowie, geście, nadbudowanej relacji, ruchu scenicznym, elemencie scenografii. Wydawałoby się, że nawet pojęcie postmodernizmu nie jest w stanie udźwignąć tego swoistego palimpsestu uwypuklającego hipertekstualność, która chyba jako jedyna jest dziś środkiem pozwalającym zdekodować mity, totalitarnie narzucone/narzucane przez wieki zbiorowej świadomości.

Zmęczony tą – dość poważną – zabawą ale wytrwały widz mógł przeczuwać, że *w tym szaleństwie jest metoda*; przerażająco analitycznie konsekwentne sceny, w pełni domknięte z każdej możliwej strony, jednak przejmują, wzruszają i przerażają.

Spektakl Weroniki Szczawińskiej, uhonorowanej drugą nagrodą i zaproszeniem do zrealizowania spektaklu w BTD - *Zemsta* Aleksandra Fredry - spotkała się z kolei z dużą sympatią publiczności, mimo że także i w tym przodku reżyserka użyła ostrego skalpela, by rozciąć materię tym razem polskiej klasyki teatralnej. Zrobiła to jednak odrobinę wdzięczniej i delikatniej, fundując widzowi dużą dawkę śmiechu, czym – naturalne – wywalczyła sobie (niekoniecznie zamierzenie) sympatię ogółu.

Nocne dyskusje o teatrze w minibrowarze „Kowal" prowadził Piotr Ratajczak. fot. archiwum BTD

W rzeczywistości Szczawińska przenosi dzieło Fredry na scenę, by prosto z niej powiedzieć, że tak naprawdę przenieść *Zemsty* już dziś niepodobna. Równie radykalną (ale nie anarchistyczną) dekonstrukcją tekstu rozprawia się z permanentną dziś odpornością na tak zwaną sztukę uniwersalną. Uznając, że tekst znają wszyscy odbiorcy, pozwala sobie na jego przetasowanie, zamazanie wątków „znanych i lubianych" na rzecz uwypuklenia tych zwykle niezauważalnych; dekomizuje komizm, odziera z patosu uznane mądrości. Jest w samym zamyśle Szczawińskiej dużo kategoryzmu, ale przekaz i poetyka, na którą się decyduje, są zbyt mało radykalne, by usłyszeć, co tak naprawdę reżyserka chce powiedzieć o Fredrze – czy go potępia, traktuje z pobłażliwością, a może wręcz przeciwnie – odkrywając go z sentymentem darzy szczerą sympatią. Poza tym, że widz bawi się naprawdę dobrze – nie bardzo poznaje cel tego śmiechu. W końcówce spektaklu, kiedy już gasną światła, w idealnych warunkach powinno być słychać z *offu* głos – jest on jednocześnie konkluzją całego działania scenicznego reżyserki - który wyraża nadzieję, że spektakl udowodnił, iż dziś nie ma sensu wystawiać Fredry i tym samym będzie to nareszcie ostatnia *Zemsta* wystawiona w polskim teatrze. W Koszalinie gromkie brawa nagradzające – świetnych *notabene* aktorów z Teatru Dramatycznego im. Szaniawskiego z Wałbrzycha - nie pozwoliły usłyszeć wyżej opisanego głosu i tym samym nie pozwoliły – chociaż „po wszystkim" – nakierować widzów na główną myśl, jaka przeprowadziła Szczawińską.

Konfrontacje pomogły uświadomić, jak odmienny w poetykach, językach i tematach jest najmłodszy teatr polski; że to teatr słowa (Iwo Vedral, *Twarzą do ściany)*, dekonstrukcji (Weronika Szczawińska, *Zemsta,* a także Krzysztof Garbaczewski, *Odyseja*), nieprzezroczystości, improwizacji, histerii **(**Radosław Rychcik i *Samotność pól bawełnianych*), wciąż gagowego komizmu (Anna McCracken, *Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku*), ale i - w kontrapunkcie - grzecznie skrojonych, jasnych w przekazie spektakli (Mateusz Przyłęcki, *Życie/Instrukcja obsługi*) i ważnych pytań (Bartosz Frąckowiak, *Ksiądz H., czyli anioły w Amsterdamie)*; że wszystko to, co składa się dziś na całe zjawisko młodego teatru przenika się ze sobą, a jednocześnie - jednostkowo - niewiele ma ze sobą nawzajem wspólnego.

Koszalińska widownia nie miała wcześniej możliwości tak wyraźnej konfrontacji (świetnie dobrane dla tego przeglądu określenie!) z teatrem prezentowanym na instytucjonalnych scenach w całej Polsce, tak intensywnego kontaktu z uznanymi już (mimo młodego wieku i niewielu scenicznych realizacji) reżyserami. Frekwencja podczas festiwalu podszepnęła, jak bardzo to miasto potrzebowało takiego zastrzyku twórczej energii i intelektualnego fermentu. Formuła festiwalu (wieczorne spektakle i dyskusje z twórcami) okazała się tą idealną. I nieważne, czy widownia wychodziła z teatru oburzona, czy zauroczona – najważniejsze, że wracała do tego budynku kolejnego wieczoru i – co więcej – chciała o swoich emocjach względem sztuki rozmawiać. Nie chodziło przy tym o to, by jednoznacznie nazywać, czym jest młody teatr (*młody*, a nie *nowy*! - to określenie jest dziś wszak pojęciem pustym i zakłamanym w dobie ponowoczesności); nie o to też, by nadawać nazwy ulicom, którymi zaczyna ów teatr kroczyć. Bo teatr dzieje się *tu i teraz* i najważniejsze, by móc być blisko niego, doświadczać go, konsumować i trawić takim, jakim jest i jakim staje się na naszych oczach. To stwierdzenie jest zamierzenie również mało odkrywcze, ale tkwi we mnie głębokie przekonanie, że – w przeciwieństwie do słów we wstępie – TEATR nie jest stereotypem (który, jako taki, należy znosić), ale świętością, w którą człowiek może uwierzyć. Wydaje się, że Koszalin zbiorowo może nieść świadomość tego *sacrum,* by w efekcie zaistnieć na mapie teatralnej Polski.

Jagoda Koprowska

Ubaw jak zły sen

Masłowska jest trendy. Na Masłowską chodzi się do teatrów w całej Polsce, choć napisała do tej pory zaledwie dwie sztuki teatralne, a pozostałe przedstawienia to sceniczne przeróbki jej powieści: „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną" i „Pawia królowej".

Owiana sławą pisarki o niezwykłym wyczuciu języka, który do tej pory nie istniał w polskiej prozie, uhonorowana wieloma nagrodami Dorota Masłowska stała się u progu XXI wieku objawieniem rodzimej literatury. I o ile wartość jej prozy jest niekwestionowana, o tyle spektakle oparte na jej tekstach budzą niedosyt... Co sprawia, że twórcy teatralni mimo wszystko mierzą się z prozą i dramaturgią Doroty Masłowskiej?

Przede wszystkim znakomicie uchwycony język postaci, jędrny, iskrzący dowcipem, ripostami i pointami. Drugim powodem jest jej niezwykle przenikliwe spojrzenie na nas współczesnych, zwłaszcza na młode pokolenie Polaków, nasz sposób życia, na nasze polskie przywary i kompleksy.

Tuż przed pierwszymi Koszalińskimi Konfrontacjami „m-teatr" na Małej Scenie Bałtyckiego Teatru Dramatycznego wystawiono debiutancką sztukę Doroty Masłowskiej „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku". Reżyserująca przedstawienie Anna McCracken przygotowała je z myślą o startującym festiwalu młodych reżyserów, ale spektakl nie zyskał uznania w oczach jury, choć potem często gościł na afiszu i szczerze bawił koszalińską publiczność. Bo nie ulega wątpliwości, że jest to przedstawienie intrygujące i momentami wielce zabawne.

Oto w dość ascetycznej scenerii wyścielonej białym lateksem rozgrywa się historia dwojga młodych ludzi, którzy, po balandze w jakimś warszawskim mieszkaniu, postanawiają dla zgrywy przebrać się za Rumunów i powłóczyć po Polsce. Póki są pijani i naćpani zabawa jest na całego; kiedy zaczynają trzeźwieć dopadają ich codzienne sprawy, z którymi sobie nie radzą, powraca samotność i kompleksy. Akcja sztuki jest właściwie szczątkowa; składają się na nią dialogi z przygodnie spotkanymi tzw. zwyczajnymi obywatelami; a to na stacji benzynowej, a to w przydrożnym barze. Czasami są to też monologi któregoś z głównych bohaterów. Dowiadujemy się z nich, że młodzi ludzie wtargnęli podstępem do samochodu, przymusili Kierowcę do podwiezienia ich na jakimś bliżej nieokreślonym dystansie, po czym wysiedli w przydrożnym barze i próbowali wrócić do Warszawy, bo trzeźwiejąc przypomnieli sobie o obowiązkach, które na nich czekają.

Wszystko, co jest w tej sztuce najważniejsze, rozgrywa się w warstwie języka: porwanego, bełkotliwego, pełnego błędów i wykoślawień, języka, który uzewnętrznia pustkę postaci Dżiny i Parcha, pełne drobnomieszczańskich przyzwyczajeń i dulszczyzny postaci Kierowcy i jego żony, chamskiej barmanki czy pijanej bizneswoman ((za tę rolę nagrodę aktorską I Konfrontacji „m-teatr" zdobyła Katarzyna Ulicka-Pyda) – dop. red.). Wszyscy bohaterowie Masłowskiej mówią dziwną mieszanką telewizyjnego żargonu, języka popkultury i języka ulicy, co nie tylko daje komiczne efekty, ale przede wszystkim obnaża miałkość tego o czym mówią. Już pierwsza scena spektaklu Anny McCracken daje odpowiedź na pytanie o proweniencję tego języka: wszyscy aktorzy śpiewają piosenkę biesiadną, przedstawiając się publiczności z obrazkami Matki Boskiej w ręce. Trudno o bardziej wymowny kod. Może nawet zbyt dosadny...

Masłowska rysuje swoje postaci grubą kreską, ironizuje i chłoszcze, ale z upływem czasu co-

raz mniej nas to śmieszy, a coraz bardziej przygnębia. Z Dżiny - wyluzowanej panny udającej ciężarną Rumunkę – powoli wyłania się samotna matka, utrzymująca się ze smażenia kiełbasek w jakiejś budzie na mieście, zagubiona i nie radząca sobie z wychowaniem dziecka, niezrozumiana, niekochana i wiecznie skonfliktowana z najbliższymi. Z Parcha – rozbawionego i pełnego pomysłów „Rumuna", wychodzi zakompleksiony aktorzyna żyjący ułudą sławy serialowego księdza, zaliczający panienki na dziwacznych imprezach i drżący o pracę w serialu. Obydwoje są bezradni wobec rzeczywistych problemów i samotni w codziennej szarpaninie. Jeszcze bardziej karykaturalnie wypadają przygodnie napotkani przez „Rumunów" „normalni" ludzie; kierowca - dorobkiewicz z żoną, prymitywna barmanka czy zalana w trupa właścicielka Vectry.

Sztuka Masłowskiej łączy bardzo radykalny osąd współczesnych Polaków z czystą ironią; jest i zabawna, i bolesna. Ale w tym tekście trzeba szukać czegoś głębszego. Powolne otrzeźwienie dwójki bohaterów to także czas ich refleksji, moment kiedy schodzą w głąb siebie, dostrzegają swą niedojrzałość i konfrontują się z prawdą o sobie. Jednak koszalińskie wystawienie „Dwoje biednych..." niesie z sobą pewien niedosyt. Ta konfrontacja, jej gorycz rozmywa się w sekwencji scenek, nie wybrzmiewa tak mocno, jak sugerowałby tekst. Może dlatego oglądamy spektakl zabawny, ale nie drapieżny. Śmiejemy się, ale nie wstrząsa nami dramat pustki tych dwojga. Całość kończy się jak zły sen, ale widz nie wychodzi z teatru poruszony...

Sceniczna realizacja dramatu Masłowskiej w BTD ma swój wewnętrzny rytm; sztuka zagrana została bez przerwy, w dobrym tempie, co przy ciętych dialogach, o których pisałam już wyżej, bawi, zaskakuje, nie pozwala widzowi na nudę.

Mocną stroną przedstawienia jest aktorstwo: bardzo dobry Artur Paczesny w roli Parchy i Leszek Żentara w podwójnej roli Kierowcy i leśnego Dziada - obaj przerysowują akurat tyle ile trzeba, umiejętnie balansując na granicy przesady i kiczu. Artur Paczesny rozwija się z roli na rolę, a w tym przedstawieniu szczególnie umiejęt-

Scena ze spektaklu. Od lewej: Hanna Student, Beata Niedziela, Katarzyna Ulicka-Pyda, Aleksandra Padzikowska, w głębi Artur Paczesny i Leszek Żentara.

fot. archiwum BTD

Aktorzy BTD- Aleksandra Padzikowska – Dżina i Artur Paczesny – Parcha.

fot. archiwum BTD

nie dawkuje sztuczność i prawdę swojej postaci. Aleksandra Padzikowska w roli Dżiny trochę w cieniu kolegów, zdecydowanie bardziej przekonywująca jest w drugiej części spektaklu, kiedy odsłania bezradność i zagubienie swojej bohaterki. Absolutnie najbardziej zabawna, ale też i świetnie zagrana jest scena, kiedy bohaterowie wsiadają do Vectry pijanej, młodej kobiety – granej przez Katarzynę Ulicką-Pydę. Widziałam spektakl dwukrotnie; za każdym razem bawiła i wzruszała mnie tak samo! Bo to nie tylko kwestia damskiego bełkotu po półlitrze, ale szalenie obrazowo zagrany dramat zdradzonej kobiety. Tu jest dopiero śmiech przez łzy! Brawo!

Barmanka Beaty Niedzieli – moim zdaniem przerysowana aktorsko, niepotrzebnie, bo ta rola jest tak napisana, że wystarczyłoby mniej dobitnych środków aktorskich, a byłoby wymowniej. Anna McCracken nie tylko całość wyreżyserowała, ale jest także scenografem i pomysłodawcą kostiumów. Niestety, o ile w scenografii postawiła na skrót i umowność, o tyle w konstruowaniu kostiumów nie oparła się dosłowności. Niepotrzebnie. Nie do końca rozumiem też funkcję dodatkowej, bocznej części sceny, po której od czasu do czasu przechadza się któraś z postaci sztuki, a pośród rozrzuconych opon akrobatyczne wręcz ekwilibracje wykonuje Barmanka... Nie jest to spójne z głównym nurtem opowieści na scenie i niczego doń nie wnosi.

Jeden z recenzentów napisał kiedyś, że dla dobra sceny inscenizator sztuk Masłowskiej musi zabić jej język, który jest pułapką. Anna McCracken mocno trzyma go na wodzy i wydaje mi się, że w tej przede wszystkim sferze koszalińskie przedstawienie nie zawodzi.

Dorota Masłowska, „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku", reżyseria, scenografia i kostiumy: Anna McCracken, występują: Beata Niedziela, Aleksandra Padzikowska, Katarzyna Ulicka-Pyda, Hanna Student, Artur Paczesny, Leszek Żentara. Bałtycki Teatr Dramatyczny, Mała Scena. Premiera 5 czerwca 2010.

Małgorzata Kołowska

Koszalin w subiektywnym spisie aktorów

Już po raz 18. czołowy krytyk teatralny Jacek Sieradzki ogłosił swój „Subiektywny spis aktorów", w którym znalazły się 43 nazwiska. Wśród nich są mistrzowie tej klasy, co Małgorzata Braunek, Joanna Bogacka z gdańskiego Teatru Wybrzeże, Krzysztof Globisz, Krystyna Janda, Irena Jun, Grażyna Szapołowska (przy tych nazwiskach widnieje takie właśnie określenie scenicznej „kategorii" - mistrzostwo) gwiazdy średniego pokolenia, jak Emilian Kamiński czy Hanna Śleszyńska oraz te najmłodsze: Agata Buzek, Roma Gąsiorowska czy Borys Szyc pokoleniowo sytuujący się „pomiędzy". Tu laur przyznany w kategoriach „zwycięstwo", „na fali" bądź „nadzieja".

O rolach w przedstawieniach, które bez wątpienia weszły do repertuaru, bom je miał przyjemność widzieć, traktuje ten, osiemnasty już przegląd, układany według reguł niezmiennych od lat, więc nie będę już ich przypominał. Podkreślę tylko – bo akurat powtarzania tego zastrzeżenia nigdy dość – że to ani obiektywne sumowanie, ani, broń Boże, ranking. Ot, garść uwag widza, w miarę sił dość pilnego. Uwag życzliwych, w krytykowaniu także Instytutowi Teatralnemu im. Zbigniewa Raszewskiego należą się głębokie ukłony za przygarnięcie spisu, życzliwość, troskliwe oprawienie not w zdjęcia i nadanie całości elektronicznego kształtu – tymi słowami Jacek Sieradzki wprowadzał czytelników swego ostatniego spisu, który po siedemnastu latach obecności na łamach „Polityki" pożegnał się z formą drukowaną wkraczając w przestrzeń wirtualną e-teatru.

Miłą powinnością obecnego „Almanachu" jest odnotowanie faktu, że w owym subiektywnym, ale doskonale uzasadnionym, spisie sumującym rok 2010 znalazło się nazwisko **Wojciecha Rogowskiego (**na fali). *Dla niego samego warto było wystawić „Szewców" w koszalińskim Bałtyckim Dramatycznym* – stwierdza Jacek Sieradzki. - *Jest w jego dużej posturze dominującej na scenie, w ekspansywnym sposobie mówienia, w swoistym rozpędzie retorycznym, w jowialności, ale kontrowanej złośliwymi błyskami oczu właściwie gotowy mistrz Sajetan Tempe, niepowstrzymany w gadaniu, irytujący i rozkosz-*

Wojciech Rogowski w spektaklu „Szewcy". fot. archiwum BTD

ny zarazem. Kto wie, czy nie za pośrednictwem jego co nieco Shrekowatej osoby autorzy spektaklu nie dostrzegli w Sajetanie skojarzeń z Jackiem Kuroniem – choć to nic pewnego, bo wyobraźnia interpretacyjna biegła w tej robocie pokrętnymi i czasem dosyć wariackimi ścieżkami.

Koszalińska inscenizacja „Szewców" wyłoniła jeszcze jednego aktora docenionego przez Jacka Sieradzkiego; mowa o **Robercie Zawadzkim** (na fali), który w Koszalinie bywa jedynie przelotnym, jakże jednak znaczącym i barwnym ptakiem, by przypomnieć jego wcześniejszą rolę w spektaklu także reżyserowanym w BTD przez Ratajczaka „Wodzirej. Koszalin Kulturkampf", w którym wystąpił w roli Danielaka. Oto co o nim napisał Jacek Sieradzki: *Widywałem go na najrozmaitszych scenach Polski, od Lublina po Koszalin (ostatnio tam właśnie w świetnej, dynamicznej roli Scurvy'ego w „Szewcach"), a w jeszcze większym rozrzucie na... widowniach. To aktor włóczący się za teatrem, który uważa za żywy i ważny, walczący nie tyle o zawodową stabilizację, co o uczestnictwo (po obu stronach rampy) w wydarzeniach, które go, jak się mówi, kręcą. Przywiązany do reżyserów, których zaangażowanie ceni, do spraw, które poruszają. I, rzecz jasna, byłoby skrajną bezczelnością, zwłaszcza z pozycji zewnętrznego obserwatora aktorskiego świata, stawianie takiej postawy za wzór czy model. Nikt tak nomadycznego życia w nieskończoność nie pociągnie. A jednak pokornie upraszam panią prezes ZASPu, ponad wszelką wątpliwość słusznie walczącą o nie czynienie z aktorów głównych ofiar bezhołowia dzisiejszego teatru – by myśląc o interesach etatowców, pamiętała też o takich wędrownych ptakach. Tak pięknie kolorowych w aktorskiej ptaszarni.*

Do Koszalina wiedzie także laur przyznany Kubie Wojewódzkiemu. Dla tego nieokiełznanego (niefrasobliwego?) dziennikarza, bo jednak nie tylko celebryty, Jacek Sieradzki ukuł specjalną kategorię „pytania", a uzasadnienie dał następujące: *Stał się symbolem komercji i amatorstwa w polskim teatrze – kompletnie za niewinność. Śmiano się z jego debiutu aktorskiego w komedii Woody'ego Allena w Teatrze 6. Piętro, głównie bez oglądania. Tymczasem obsadzony w roli dobrze doń pasującej i zapewne ściśle poprowadzony twardą ręką Eugeniusza Korina zrobił rolę dużo lepszą od prac mnóstwa zawodowych komików – bo pozbawioną rutyny i nonszalancji. Głównych zmór polskiego teatralnego rozśmieszania. Jego wtargnięcie w teatr może przynajmniej ociupinkę wyleczy naszych „cesarzy śmiechu" z pewności, że wystarczy podnieść mały paluszek, iżby widownia kulała się z radości.*

Robert Zawadzki w spektaklu „Szewcy". fot. archiwum BTD

Grażyna Preder

Muza – po roku!!!!

Foyer Teatru Variete Muza zdobią reprodukcje słynnych plakatów Moulin Rouge według projektu Toulouse-Lautreca. Na pierwsze urodziny teatru mogły wystąpić paryskie tancerki spod znaku „Czerwonego Młyna"... Jarosław Loos, współwłaściciel sceny, chciał zaprosić do Koszalina najlepsze artystki ze światowej stolicy rewii. Jednak po konsultacji z drugim współwłaścicielem, Jarosławem Barowem, uznali wspólnie, że przede wszystkim należy promować rodzimych artystów. A skoro mają być najlepsi, to dlaczego nie zaprosić zespołu Teatru Studio Buffo? Stanowią przecież niekwestionowaną wizytówkę polskiej sceny rewiowej, a więc tego rodzaju twórczości, którą Teatr Muza pragnie lansować i popularyzować.

Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Nazwiska Janusza Józefowicza i Nataszy Urbańskiej przyciągnęły widownię tak liczną, że wręcz zabrakło miejsc dla wszystkich chętnych. Atmosfera jubileuszu była tyleż uroczysta, co swobodna: z jednej strony same znakomitości koszalińskiego życia politycznego i społecznego; z drugiej – wystylizowani na chłopców w krótkich spodenkach - właściciele, a zarazem gospodarze wieczoru, pragnący w ten sposób zapewne podkreślić, że sami bawią się w teatr. Chociaż, jak możemy się domyślać, ta zabawa podszyta jest dużym ryzykiem, i to zarówno na płaszczyźnie finansowej, jak i programowej. Tym bardziej, że budują od podstaw tradycje sceny rewiowej i to w mieście nie za dużym, nie mającym wcześniej wiele w tym względzie do zaproponowania. Co najwyżej okazjonalne imprezy, proponowane przez różne impresariaty, w tym także współprodukowane przez Jarosława Barowa, albo spektakle muzyczne Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, tak świetnie pasujące do wnętrz Muzy, o czym można się było przekonać oglądając „Cafe Sax", czyli widowisko złożone z piosenek Agnieszki Osieckiej.

Jarosław Barów i Jarosław Loos niemal równocześnie, choć o tym nie wiedzieli, wpadli na pomysł stworzenia prywatnej sceny teatralno-muzyczno-rewiowej w Koszalinie. Rozmawiali na ten temat, każdy jeszcze wówczas osobno, z prezydentem Mirosławem Mikietyńskim, który szukał sposobu na dalsze wykorzystanie budynku „Muzy" dla potrzeb kultury, ale już nie jako siedziby BTD, który wracał po remoncie do gmachu przy ul. Modrzejewskiej. I oto dwóch panów Jarosławów wyraziło zainteresowanie dzierżawą obiektu. Jarosław Barów dlatego, że jako znany muzyk, kompozytor i dyrygent organizował wcześniej w Koszalinie mnóstwo imprez, ale na wynajmowanych scenach, co wiązało się z różnego rodzaju niedogodnościami, trudnością w ustalaniu terminów, cen, itd. Jarosław Loos osiągnął sukces w biznesie jako współwłaściciel firmy produkującej okna i teraz zapragnął część pieniędzy zainwestować w kulturę i działania na rzecz innych, czego – na mniejszą skalę – doświadczył jako członek Klubu Rotary.

Kiedy już doszło do spotkania obu przyszłych właścicieli i ustalania szczegółów projektu, okazało się, że dobrze się rozumieją i mają podobny pomysł na „Muzę". Sprowadza się on do tego, aby publiczność usadowiona wygodnie przy stolikach, z lampką wina, a w perspektywie także przy suto zastawionym stole, w taki niewymuszony sposób mogła oglądać sceniczny show. A tym show – jak dotąd – były naprawdę urozmaicone propozycje: recitale Sławy Przybylskiej, Haliny Kunickiej i Alicji Majewskiej, monodram Emilii Krakowskiej, spektakl Teatru Capitol „Pomału, a jeszcze raz", występ Piwnicy po Ba-

ranami, satyryczny wieczór Krzysztofa Daukszewicza i kabaretu „Rak", koncerty jazzowe. Na scenie „Muzy" wystąpiły gwiazdy scen operowych – Francesco Malapena z Włoch i Naomi Utamakura z Japonii. Jeżeli dodać do tego wiele produkcji własnych, cieszących się coraz większą popularnością występów „Rewii Varietes", łączącej taniec i przeboje z musicali, oferta jest faktycznie różnorodna. Czasami są to dwie, trzy imprezy w tygodniu, czasami kilka w miesiącu, co zależy między innymi od pory roku. Najwięcej dzieje się w karnawale, ale też – co dodatkowo sprzyja dochodowości przedsięwzięcia – Teatr Variete Muza powoli staje się marką, jeśli chodzi o organizowanie okolicznościowych imprez, szkoleń, konferencji, spotkań typu „Sportowy Sukces Roku" czy „Koszalińska Kobieta Roku".

Problemem, który teraz, po pierwszych urodzinach, spędza sen z powiek właścicieli „Muzy", jest zorganizowanie własnego zaplecza restauracyjno-gastronomicznego, co ma też sprawić, by codziennie, a nie tylko przy okazji imprez, można było zapraszać gości i serwować im wykwintną kuchnią. Wiąże się to z kolejnymi inwestycjami, już nie tak kosztownymi jak przeprowadzony przed otwarciem /nomen omen 13 listopada!/ - gruntowny remont siedziby teatru, dzięki któremu wnętrza nabrały eleganckiego wyglądu, udało się odsłonić oba szeregi pięknych kolumn i uwypuklić detale architektoniczne, ukryte pod kolejnymi warstwami farb.

Bordowo-czerwono-złota kolorystyka została wybrana po wielu wcześniejszych przymiarkach jako ta, która najlepiej oddaje walory sali, mającej studwudziestoletnią historię i pełniącej różne funkcje, głównie jednak restauracyjno-zabawowe. Coraz mniej osób wie i pamięta, że u początków swego istnienia budynek ów był siedzibą niemieckich związków zawodowych różnych branż i że w czasie II wojny światowej miał tutaj

Natasza Urbańska i teatr Buffo uświetnili pierwsze urodziny „Muzy". fot. archiwum Teatru Variete Muza

siedzibę oddział NSDAP dla zachodniej części Koszalina. Historia zatoczyła swoisty krąg i klamrą spięła tę niemiecką przeszłość, bo oto na scenie teatru przygotowywana jest, wspólnie z Nowym Teatrem ze Słupska, premiera musicalu „Cabaret" w reżyserii Andrzeja Marii Marczewskiego, z choreografią Alexandra Azarkevitcha, pod kierownictwem muzycznym Jarosława Barowa.

Słynne dzieło Joe Masteroffa, Freda Ebba i Johna Kandera mówi o korzeniach nazizmu, pokazuje narodziny faszyzmu i zapowiada to wszystko, co stało się najczarniejszą kartą współczesnej historii i sprawiło, że my, w tej części Europy długo musieliśmy czekać na normalność. W realizacji musicalu „Cabaret" na scenie Teatru Variete Muza Jarosław Barów dostrzega ważny znak czasów, rzeczywiste świadectwo przemian, które pozwalają prywatnemu teatrowi w niewielkim Koszalinie podejmować prawdziwie europejskie wyzwania, z europejską obsadą, z rozmachem i bez kompleksów, za to z wiarą, że rzetelnie i konsekwentnie prowadzona scena teatralno-musicalowa wniesie nową jakość i urozmaici życie kulturalne miasta.

LITERATURA

Elżbieta Juszczak

Odkłamanie rzeczywistości

O nowych wierszach Anatola Ulmana

Anatol Ulman, prozaik, dramaturg, felietonista, a przede wszystkim prześmiewca, ma na swym koncie tomik wierszy. Ambarasować publiczność, przykuwać jej uwagę Anatol Ulman potrafi. Potrafi też, humorysta, zmuszać do łez rozbawienia. Czy przykuwa, czy rozśmiesza, czy ambarasuje, czy błyska olśniewającą myślą w nowej książce? Mnie nie. A spodziewać się po tym pisarzu można naprawdę bardzo wiele, szczególnie po ostatniej książce prozatorskiej „Dzyndzylyndzy, czyli postmortuizm" (2007), przy której obyty z literaturą czytelnik nieźle się bawi.

Wraz z tym debiutanckim (!) poetyckim tomikiem dostajemy zbiór konsekwentnie skonstruowany, w tej samej tonacji światopoglądowej i stylistycznej. Anatol Ulman nie ma wątpliwości, przemyślał aż nadto. Świat go nie uwodzi, myśliciele również. Wie oto, że poruszamy się w pustce nieskończoności, niewydarzeni, a prawdę mówiąc – obrzydliwi. Przyroda dyszy żądzą rozrodczą, a egoistyczny człowiek morduje w ciągu wieków i na co dzień. Ulman nie zostawia suchej nitki na niczym i na nikim, także na sobie. Otrzymujemy więc światopoglądowo jednorodną i nienową wizję. Jest trochę historii dziejów, jest tragiczny dwudziesty wiek, jest codzienne życie posiadaczy domków i trawników, jest obserwacja łąki. Ponuro i bez wątpliwości. Nie mogło być inaczej, skoro tom opatrzony jest cytatem z Kierkegaarda: *Rozumiecie więc, że wolę być pastuchem świń na Amagerze i żeby mnie świnie słuchały, niż być poetą i żeby mnie nie słuchali ludzie.*

Kierkegaard jako motto tomu wierszy brzmi aż nadto wymownie i właściwie jak skarga. A kogóż tak słuchali, panie Anatolu? Wie pan lepiej ode mnie. Że Słowackiego nie, Pawlikowska trzymała swoje niesprzedane wiersze na strychu, a „Pan Tadeusz" współczesnym wydał się niemal makulaturą.

Ulman jest przede wszystkim myślicielem - szuka sensu w świecie, oczywiście go nie znajduje, rozlicza boga, który jest nieobecny, wymierza sprawiedliwość naturze ludzkiej i nieludzkiej. Wszędzie jest nie ok. Zapuszcza się w dzielnice bogaczy, ale pamięta o nędzy, rozmawia z szatanem, podgląda sąsiadów. Każda ideologia, także religia, jest niszczycielska i ma na koncie liczne ofiary. Nie ma ucieczki, pocieszenia, pozostaje absurd. Żadnego piękna przyrody, raczej makabra. Ulman jest bezwzględny, nic go nie zwiedzie – pożąda prawdy. A prawda o kondycji ludzkiej jest okrutna – oznacza śmierć. Oto rozliczenie Ulmana z XX wiekiem:

zaproszony
na przyjęcie sute
co wiek dwudziesty
wszystkim obecnym
płonącymi nozdrzami
chłonąłem łapczywie
wonie mięs
na stołach stuletnich
ach jak pachniał
przyprawiony prochem
obfity gulasz polowy
z kanonenfutter
i płucka smakowicie
duszone pod verdun

obiecująco skwierczał obok
turecki kebab
ze smażonych
na palach ormian
czekały niecierpliwie
przyprawy z żydów
……."

Świat ludzki i świat natury zdeterminowany jest przemocą i rozpustą, bo :

Słońce
wysysa
dżdżownicę
aż zezwłok suchy
zostanie
wiatr
wysysa wisielca
medyk mamonę
……..
zły dzieciak życie
z rodzica
posiadacz
pot
z pracujących
……

albo :

drżąc
czeka na zapłodnienie
przez robaki
i obrzydliwe muchy
proletariat łąkowy
rzesza mleczów
te cipki włochate
na żółto
do obłapki
…

Trudno się z tym nie zgodzić jak i z przejawami głupoty i dulszczyzny w naszej codzienności, co również dokumentuje autor(np. *skorpionika / pucuje święta*). Wizja i światopogląd są uprawomocnione, liczy się także wymiar artystyczny utworów. Przerażeni, chcemy liczyć na nieco humoru i zabawy. Czy to otrzymujemy? Sądzę, że niektóre wiersze są przynajmniej zabawne czy odkrywcze. Może np. te:

w bezzasadnej
egzystencji
skuteczna
trwałość nędzy
oraz
stękania
przy stosunku
i przed

lub:

wychowanie
pomaga wzmocnić

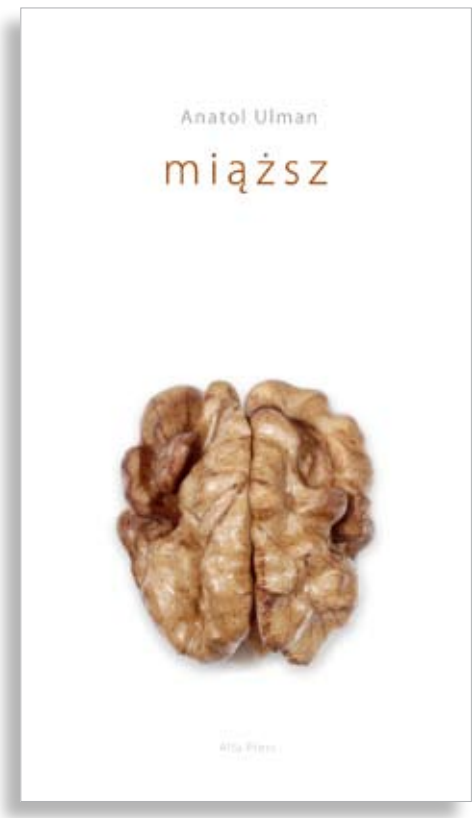

Anatol Ulman, Miąższ. Wydawnictwo „Alta Press", Koszalin 2010

naturalną
potworność
do
naśladowania

Jednak część wierszy pisana w manierze skatologicznej nie przynosi artystycznego efektu. W gruncie rzeczy nic nie mam przeciwko *cipkom, macicom, wrzodom, rozkładaniu nóg, miodom lubieżnym* itd. ale niechby miały jakiś cel. Co powiedzieć o takim wierszu :

niezbędne
pojęcia na u
ubić
ujebać
usrać
uplugawić
umordować
unicestwić
upierdolić
upodlić
zbędne
ukoić
umiłować
uniewinnić
uzasadnić

albo o forsycji

w rowie
uchlana wzbierającymi
sokami
zielone dziurawe majty
śmierdzi pięknie
świeżym gnojem
……

Cóż, taka maniera.

Pomijając jednak spór o absolutną nowość czy świeżość, i tak wolę tę książkę od nędzy masowej komunikacji. Żyjemy w świecie reklam, spotów, dyskusji politycznych i publicystycznych. W świecie seriali. W „Miąższu" dociera do nas głos intelektualisty, który dogłębnie przemyślał sposób istnienia człowieka w świecie. Że niepięknie żyjemy, to cóż. Ulman jest naszym sumieniem, głosem rozpaczy nad dzisiejszym i niedzisiejszym światem. Atakując nędzę człowieczego istnienia, przecież robi to z odległej perspektywy - Dobra, Miłości, Sprawiedliwości. To głos humanisty na puszczy współczesnego świata, szczególnie polskiego świata zdominowanego przez zwyczaje castingu i telewizji. Głos człowieka odważnego, odkłamującego rzeczywistość. I choć tendencje do obscenicznego stylu są mi obce, doceniam ten przekaz i polecam, szczególnie jako remedium na powierzchowność, błahość w dzisiejszej komunikacji społecznej, także literackiej.

Ryszard Hetnarowicz

Summa wrażliwości

Coraz trudniej znaleźć nam czas na myślenie kategoriami „być". Jeśli już przychodzi nam do głowy taka refleksja, to najczęściej w kontekście konieczności „bycia gdzieś". Z biegiem życia uczyliśmy się również bywać „dla kogoś", ale właśnie bywać, a nie być. Filozoficzna kategoria istnienia staje się nam coraz bardziej niedostępna i niezrozumiała. W taki sam sposób niemal niedostrzegalnie ale systematycznie znika z naszego życia poezja. Jeśli już pojawi się, to w formie... tekstu popularnego przeboju, który całkowicie zaspokaja nasze romantyczne, a często, w naszym mniemaniu, również wysoce wysublimowane potrzeby. Trudno w tych zawirowaniach wszelkich doraźności dostrzec różnicę pomiędzy chwilowymi emocjami a głęboką refleksją. Tymczasem właśnie tej drugiej wymaga od nas poezja Andrzeja Turczyńskiego.

W 2010 roku ukazał się „Szron", tomik poetycki Andrzeja Turczyńskiego bardzo starannie wydany przez koszalińską Agencję „Millenium". Jest to książka, która w witrynach księgarskich wyróżnia się swoją oszczędną, ale i wyrafinowaną estetyką. Przez to doskonale oddaje jej zawartość; zapowiada spotkanie z materią tyle niecodzienną, co ulotną. Podkreśla to jeszcze tytuł. Wszak szron pojawia się najczęściej jesienią, gdy natura chyli się do snu, a zima zaledwie posyła swych mroźnych gońców. Trudno się dziwić, że w pojawiającej się na ludzkiej skroni siwiźnie również zwykło się dopatrywać podobieństw do szronu. Jest wszakże w tym zjawisku coś, co ma swoją estetykę i pozwala się nim zauroczyć. To jaskrawość widzenia wszelkich konturów, kształtów, podkreślania indywidualności i różnic. I chociaż struktura szronu jest jednaka, to o jego różnorodnym, niepowtarzalnym pięknie świadczy właśnie to, co on pokrywa. Staje się szatą uwypuklającą pamięć, wspomnienia, łagodnienie pragnień powiązanych z buzowaniem soków życia i ich przemianą w dojrzałość kształtów... Jest w końcu szron ciszą z odrobiną melancholii i myśli niezbyt daleko wybiegających w przyszłość, ale jednak ogarniających przestrzenie z perspektywy zielonych listków niedostrzegalne... Wreszcie, czyż nie jest przewrotnością szronu czas jego pojawiania się? Wyłaniania się ze snu nocy w blasku świtu?

„Szron", jako poetycka całość, składa się z dwóch części. Pierwsza z nich zatytułowana została „Stellarium", natomiast drugiej autor nadał tytuł „Zima i Noc. Elegie". I chociaż dzieli je zdecydowana cezura, wyraźnie zaznaczona przez autora i wydawcę, podczas lektury odnosi się wrażenie, że pierwsza część systematycznie wprowadza w drugą, będącą pogłębioną refleksją nad tym, co w życiu najistotniejsze, a zawsze ulotne, obecne bardzo często jedynie w podświadomości i trudne do jednoznacznego nazwania. Zapatrzeni w gwiezdne roje z łatwością przenosimy ich blaski na kryształki lodu... Cały ten zbiór wierszy jest dociekaniem sensów w postrzeganych zjawiskach natury, doświadczanych przeżyciach, przemyśleniach najczęściej nieodnotowanych, refleksach światła wyłaniającego się z mroków wspomnień i odpomnianych zdarzeń... Biorąc tę książkę do ręki powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że będziemy mieli do czynienia z kruchością, niestałością, zmiennością, w której jedynie tytułowy szron służyć nam może za soczewkę, pryzmat rozszczepiający światło wszystkich tych niecodzienności i powidoków. A jest ich tyle, że z bie-

giem lektury zaczynamy się dziwić, z czegóż to składa się nasza ziemska doraźność! Z jak niezliczonej i w zasadzie niedostrzegalnej różnorodności. Doświadczanej w swej krasie i irracjonalności tylko nielicznym. Andrzej Turczyński nie zmusza nas jednak do podążania swoimi tropami. Nie każe niczego analizować podług stosowanych przez niego kryteriów. Nie poucza i nie daje rad. Mówi tylko w swoim imieniu, tylko o sobie i o sobie... milczy. To tylko od nas zależy, czy odnajdziemy w sobie jakiekolwiek asocjacje tych słów tworzonych z „pajączków liter".

Historia myśli zna wiele przykładów sumowania dokonań i zamykania ich w uogólnieniach na pierwszy rzut oka zdających się aspirować do rangi uniwersaliów. Co ciekawe, celują w tym zwłaszcza filozofowie, którzy spoglądając wstecz dostrzegają pominięte lub ledwie muśnięte – a z ich perspektywy czasu nad wyraz istotne – ślady i składają z nich swoje summy. Bywają one niewielkich rozmiarów i nigdy nie pretendują do roli życiowych poradników, nie dążą do tworzenia żadnych reguł. A przynajmniej od tego się odżegnują! Być może dlatego, że – jak utrzymywał Dino Formaggio, bardzo trafnie cytowany przez Umberto Eco - *łatwo jest sprowadzić do absurdu wszelką filozoficzną formułę właśnie dlatego, że ma charakter próbny i uogólniający, a poza tym prędzej czy później pojawia się zjawisko, które zdaje się przeczyć albo zmusza ją do takiej czy innej zmiany postaci. Na tym właśnie polega działanie filozoficzne, któ-*

Andrzej Turczyński, Szron. Agencja MILLENIUM Bogdan Gutkowski, Koszalin 2010

re rozpoznając (uznając) swą historyczną naturę. Nie rości sobie pretensji do tego, by zastygać w raz na zawsze obowiązujący system. Tym też charakteryzuje się ogólna definicja sztuki. Andrzej Turczyński ma tego pełną świadomość, dlatego swoją poetycką summę składa z drobin wrażliwości, okruchów istnień i w nich szuka tego, co stanowi o ich niepowtarzalności, jednostkowości. Wnikliwy czytelnik dostrzeże jednak w tych „rozrzuconych po nieboskłonie gwiazdach" to, co daje im prawo przynależności do jednego zbioru. Ale tę tajemniczą więź odnaleźć trzeba w sobie.

Obcując w tych wierszach z pustką, nicością i nieodgadnioną tajemnicą łatwo poddać się nastrojowi pesymizmu. Zarzucić pragnienie poznania. Szczególnie, gdy poeta twierdzi, że „ślady pozostające po nas / wiodą donikąd mimo że / wyraźne to w istocie rzeczy / nieokreślone / kontur i pustka". Jest to jednak twierdzenie tyle zwodnicze, co wyczekujące czytelniczej reakcji. Aktywności. Już w następnych wersach czytamy przecież, że „To ważne a więc / aura zapachy dźwięki / owo coś co stanowi treść / fizyczną doznania co choć / ulotne i subiektywne / to jednak swym ciężarem / odciska się jako ślad / dla idących z tyłu / tych nadchodzących z przyszłości / dla nas równie niepojętej / jak dla tamtych nasza przeszłość / wydaje się pociągająca / może nawet piękna ale / Niezrozumiałe Niepojęte". Wiersze Andrzeja Turczyńskiego nie są wszak monologiem, lecz dialogiem. Tak z sobą samym, jak i z odbiorcą. Chciałoby się dodać: jak każda poezja, ale akurat w tym zbiorze wierszy rozmowa nabiera całkowicie innego wymiaru. Wnikliwość i dociekliwość analizy zamyka się w niej nagłą i zaskakującą syntezą, która natychmiast rozpada się na drobinki wymagające ponownego rozpoznania i wniknięcia w ich... niestałość.

Pochylając się nad „Szronem" pamiętajmy więc, że „Wiersz to tylko element / fragment czegoś o czym / chciałoby się wiedzieć / cząstka wzruszenia lub / konceptu / piórko z ogona / intuicji / Wiersz to uchwycony / moment pędu / chwila rozpadu / Teraz / już nieistniejące". Ale i temu należy się uwaga, bo przecież dostrzeżone zostało, a w Literze i nad wszystkim panującej Liczbie umieszczone. Dlatego wędrując śladami pomieszczonymi w Stellarium i Elegiach nie próbujmy rozdzielać czasów, przestrzeni, odróżniać rzeczywistości (czymże ona jest?) od irracjonalności (czyż nie wypełnia nas bardziej?), lecz skupmy się na wrażliwościach, niedostrzegalnych drgnieniach, przelotnych myślach i uczuciach, które zdecydowały o tym, że jesteśmy.

Ryszard Hetnarowicz

Wracający alchemik

Ta powieść to kolejna niezwykła uczta czytelnicza przygotowana przez Andrzeja Turczyńskiego. Zapraszanie odbiorcy do świata złożonego tyle z faktograficznej rzeczywistości, co i stworzonego przez zainspirowaną nią wyobraźnię stało się już znakiem rozpoznawczym tego autora. Nie ma w tym świecie podziałów, cezur ograniczających intelektualne dociekania odbiorcy i jego estetyczne doznania. A jeżeli nawet pojawiają się, to wynikają z zapisu tego, co „Codex argenteus, czyli srebrna księga fratri Vincentii od czarnych mnichów zakonu kaznodziejskiego" ma odbiorcy do przekazania.

Wydarzenia tej znakomicie – z polotem i ogromną erudycją – napisanej powieści rozgrywają się w drugiej połowie XV wieku, ale nie ich linearny bieg jest jej istotą. Podobnie jak nie czynności archeologa budzą największe zainteresowanie, a to, co je powoduje i ku czemu one prowadzą. Andrzej Turczyński jest takim archeologiem myśli i każdą wygrzebaną drobinę potrafi nie tylko dopasować do całości, ale i wysnuć z niej wnioski daleko dalej sięgające niż czas i miejsce jej powstania. Tak się dzieje z bohaterem „Codeksu...", zakonnikiem Wincentym Koffskim, o którym przetrwały jedynie szczątkowe informacje, a dzieło jego życia pozostaje niemal nieznane. „*Obszerne, piękne i wzorowe opracowanie pierwszego KORZENIA TYNKTURY oraz PRIMA MATERIA błogosławionego, prastarego KAMIENIA MĄDROŚCI napisane przez Brata Wincentego Koffskiego, filozofa i mnicha gdańskiego Zakonu Kaznodziei i pozostawione Filiis Doctrinae*" wydane zostało w 1681 roku w gdańskim Wydawnictwie Brunona Laurentego Tanckena. Musiało czekać na to blisko 100 lat, jeśli zważy się, że: „*W roku 1588 po narodzeniu Chrystusa, naszego Pana i Zbawiciela, dnia 14 sierpnia, ten wspaniały traktat został znaleziony w Gdańsku, w klasztorze Czarnych Mnichów Zakonu Kaznodziejskiego, przez czcigodnego pana Pawła, będącego naonczas przełożonym, w murze krużganku, napisany złotymi literami, pięknie, ze staraniem i znawstwem odlanymi, który pozostawił brat zakonny imieniem Wincenty Koffski, urodzony w Poznaniu. Filozof ten napisał każde słowo poniżej podane w roku Pańskim 1488, dnia 3 maja*". Wiemy też, że istnienie tego dzieła obwieścił współczesnemu światu w roku 1985 Rafał T. Prinke, a więc blisko 500 lat po jego napisaniu. Reszta ginie w mrokach historii i tam należało jej się doszukiwać. Ale na żadnych kartach z całą pewnością nie można było odnaleźć diariusza licznych peregrynacji brata Wincentego ani jego przeżyć i przemyśleń wynikających z pełnionych funkcji, posług i służb.

Życie autora „Korzenia tynktury" układa się w pasmo niecodziennych zdarzeń, w których nie brakuje i wątku sensacyjnego. Jest wprawdzie wyraźnie zaznaczony w powieści A. Turczyńskiego, ale znajduje swoje odbicie w znacznie szerszym wymiarze niż sytuacyjny. To również pokłady przeżyć osobistych, wewnętrznej udręki nie tylko z tego wątku wynikającej, która składa się na codzienność zakonnika i proces dochodzenia do istoty idei, której się poświęcił. Dzięki tej powieści mamy do czynienia z dwojakim obrazem zgłębiania wiedzy – o bohaterze i jego czasie oraz o przemianach i kształtowaniu się jego myśli. To fascynująca podróż przez obszary poszukiwania prawdy o otaczającym nas świecie, o drodze, której pokonanie wcale nie gwarantuje nam sukcesu, a wyniki mogą na tyle

niepokoić, że aż zmusić do ich czasowego przemilczenia. Okazuje się, że granice otwartości na wiedzę i odpowiedzialności za jej posiadanie nie są wymysłem współczesności. Andrzej Turczyński nie pozostawia wątpliwości co do tego, że takie rozterki musiały trapić i brata Wincentego, jeśli zdecydował się na ukrycie swego dzieła w krużgankowym murze klasztoru.

Czegóż więc dotyczy to dzieło, którego autor tak pieczołowicie zabiegał o przekazanie go potomnym, ale uznał za nazbyt niepokojące dla współczesnych? Andrzej Turczyński nie przytacza w swojej powieści traktatu Wincentego Koffskiego in extenso, lecz decyduje się na ten sam zabieg, na jaki decydowali się przede wszystkim średniowieczni popularyzatorzy tropów biblijnych. Wszak jego powieść tych czasów dotyczy, a więc apokryf jest w niej jak najbardziej uprawomocniony. On w taki sam sposób strzeże, jak i wyjaśnia tajemnicę Pisma. Mówi o rzeczach niepojętych językiem na tyle starannie dobranym, by nie naruszyć tajemnicy Słowa, ale sens uczynić zrozumiałym również dla nieprzygotowanych na jego odbiór. Cztery apokryfy współtworzące tę powieść mają dodatkowy walor. Stanowią wspaniałą iluminację tej frapującej powieści. Pozwalają na wrażenie obcowania z dokumentem unikatowym nie tylko w swej treści, ale i formie. Tworzą obraz niezwykłej osobowości skazanej na samotne, często skrywane dociekania prawdy. O czym? O złudzeniach, o życiu, o istocie czasu, pramaterii... Bo jeśli zważy się na to, że: *„Na Początku, a ściślej wtedy, kiedy nawet nie było Prapoczątku, musiało się pojawić jego wyobrażenie, obraz czegoś najbardziej pierwotnego, lecz będącego już Wszystkiego całością, ba, będącego już Wszystkim w swej idealnej formie, że wystarczyło tylko je wyrazić, by powołać do istnienia wszechmocnym „stań się"!", to jak określić inaczej istotę dociekań brata Wincentego, jeśli nie mianem próby zgłębienia „istoty rzeczy"*?

„Codex argenteus..." jest również powieścią o samotności badacza, filozofa, który w czasie i obszarze swoich zainteresowań zahacza również o wiedzę niemal tajemną. Wszelkie dochodzenie do praw rządzących przemianą metali, pozwalających zwierzętom na latanie i życie pod ziemią, odkrywających właściwości kamieni i substancji zawartych w roślinach, było domeną alchemików. A przecież brat Wincenty nie tylko przed takimi zagadkami stawał. Wiązała go często tajemnica poselska czy dyplomatyczna, konieczność rozwikłania intryg dworskich i dochodzenie prawdziwych pobudek ludzkich działań. Po stracie mistrzów i przewodników zakonnych (również życiowych) mógł już liczyć jedynie na siebie. Trudno jest nie odnieść wrażenia, że i proces samotnienia zakonnika, jego wewnętrznego zmagania się z pragnieniem

Andrzej Turczyński, Codex argenteus, czyli srebrna księga fratri Vincentii od czarnych mnichów zakonu kaznodziejskiego. Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów „W drodze", Poznań 2010

wiedzy i mrokami ją skrywającymi, godzenia go z regułami klasztornymi, znalazł się wśród wątków, którym autor poświęcił wiele uwagi. Ale jako swoistemu pokłosiu dojrzewania myśli brata Wincentego, wzbogacania idei – tak precyzyjnie oddawanej przez A. Turczyńskiego zasobnością języka i doborem słów – kształtowania się odpowiedzialności za głoszone poglądy i sądy. I jak łatwo się przekonać w trakcie lektury tej powieści, owo samotnienie było koniecznością wynikającą z wyboru drogi życiowej badacza istoty spraw i filozofa. Drogi nie zawsze związanej z zakonnym habitem.

Świat przedstawiony w „Codeksie..." nie jest jedynie barwną fikcją literacką, prezentowaną niezwykle bogatym językiem. Powieść Andrzeja Turczyńskiego dostarcza również wielu interesujących wątków miłośnikom historii. Te podsuwają czytelnikom przypisy, którymi opatrzona została treść książki. Autor precyzyjnie wskazuje źródła służące mu nie tylko jako inspiracja, ale i jako dokumenty pozwalające jak najbardziej wiarygodnie konstruować rzeczywistość i samą postać brata Wincentego. Pomieszcza w nich jednak to wszystko, co wplecione w tok powieści rozmywałoby główny wątek. Dla atrakcyjności tej książki dla czytelników z Pomorza ważne jest nie tylko to, że Wincenty Koffski spędził szmat życia w Gdańsku i w tamtejszym klasztorze ukrył swój traktat. Jako prowincjałowi podlegał mu także klasztor słupski i w nim bywał – przez karty powieści przewija się zresztą zagadka zaginionego skarbu króla Eryka I oraz galeria postaci książęcych panujących tak w Słupsku, jak i w Darłowie. Takich atrakcyjnych dla czytelnika elementów jest znacznie więcej, ale „Codex..." jest przede wszystkim powieścią o wyjątkowej postaci w dziejach myśli europejskiej – żyjącej u schyłku średniowiecza, ale o umyśle i rozległości wiedzy iście renesansowych. Wciąż poszukującej naukowej istoty zjawisk i rzeczy, ale i niepozbawionej marzeń o odnalezieniu kamienia filozoficznego. Postaci zapomnianej, ale „tak czy inaczej wracającej".

Elżbieta Juszczak

Wiejski ogród rozkoszy

Elżbieta Juszczak - autorka dziewięciu książek popularnonaukowych i czterech z zakresu literatury pięknej. Dziennikarka, autorka reportaży, artykułów publicystycznych, recenzentka, wydawca. Autorka cyklu audycji „Alfabet poetów świata" rozpoczętego w Polskim Radiu. Laureatka nagród państwowych z dziedziny literatury i dziennikarstwa m. in. Nagrody Artystycznej Młodych im. S. Wyspiańskiego. Wielokrotna stypendystka ministra kultury. Udokumentowała historię Koszalina z lat 1945-1989 m. in. w takich książkach jak „Monografia Miejskiej Energetyki Cieplnej", „Pół wieku gazowni koszalińskiej", „50 lat komunikacji miejskiej w Koszalinie". Jej zainteresowania ekologiczne zaowocowały cenionymi wydawnictwami: „Książka o wodzie", „Książka o powietrzu", „Książka o ziemi" i „Podręcznik młodego ekologa", powstałymi we współpracy z Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Szczecinie.

Jej twórczość poetycka publikowana jest w prestiżowych czasopismach w kraju i za granicą. Doktorat z historii najnowszej obroniła u prof. W. Sulei, dyr. IPN we Wrocławiu. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu im Adama Mickiewicza (praca u prof. E. Balcerzana). Od 2009 roku kierownik Zakładu Dziennikarstwa i Nowych Mediów Instytutu Neofilologii i Komunikacji Społecznej Politechniki Koszalińskiej.

W oczekiwaniu na nowy tomik poetycki Elżbiety Juszczak prezentujemy kilka powstałych w 2010 roku jej wierszy.

Wiejski ogród rozkoszy

Na wsi
Na wsi pełno czerwonych obór, bo z cegły.
Słońce jak plaster przykleja tam miód.

Chciałabym nieść mleko w kance,
przyglądać się kawce i milczeć.

Nawet nie wiem, czy jestem tym plastrem,
słońcem, czy tylko dzwoneczkiem,
który ciągle dzwoni: ty, ty, ty.

Szczęście

Ile szczęścia z powodu czerwonej dachówki,
z powodu jabłoni, co stoi w cudzym ogrodzie.

Ile szczęścia, gdy patrzę to w pole, to w niebo,
z powodu kamienia, o który się potykam.

Ile szczęścia, że powietrze ostre
chwytamy zachłannie pierwszy raz tej wiosny.

I choć ziemia się kręci niczym bąk
w przestworzach,
nie zbywa nam miejsca ani darów ziemi.

Sukienki

W dzieciństwie miałam modry płaszczyk
z zawiązywanymi pomponami.

Być może motyl robił sobie z nich zabawkę,
kiedy brodziłam w trawach jak bocian.

Któregoś lata moja sukienka była bardzo kolorowa.
Może dlatego kochało mnie kilku chłopców.

Nawet nie wiem, czy o tym wiedziałam,
śmiałam się i biegałam aż błyskały kolana.

Mam teraz bardzo piękną sukienkę
ani dla dzieciństwa ani dla starości.

No i co, podobam się, co nie ma znaczenia.
Świat taki duży, a ja ciągle mała.

Kto by przypuszczał, że nie wypada już
założyć białych pończoch i ust umalować zbyt różowo.

Świat ciągle jest zagadką,
kołyszą się drzwi, kołysze się dzwonek.

Wyjść z domu

Jakie ludne miasta, jakie ciche wsie,
jaki żuczek pod baldachimem łopianu.

Jakie drobne ręce, jakie ciche oczy
na końcu świata, w zapadłej głuszy.

Jaka cisza we mnie z powodu lasu i pól
i twojej sukienki jak płomień makowy.

Niewiele rozumiem, pochylam się nad kartką
i widzę drobną zieleń brzozy.

I ciebie jak wytrwale pracujesz,
pochylasz się nad kartką, zaczerniasz ją,
piszesz.

Cuda

Wiejskie życie, oto co mi przeznaczone,
bez wygód i bez specjalnych uniesień.
Ciche i skromne,
gdzie jedyną rozkoszą zaglądanie w oczy żonkilom.

Oto w dzień czy w noc rozchyla się świat
ścianą drzew, mocnym wiatrem w rozłogach.
Nie takiego życia chciałam, nie takiego pragnęłam,
narodzona nago, zakrzepła w ciemności.

Trzeba się pogodzić i przyjąć należne miejsce
w życiu darowanym cudami.
Cud kwitnącej jabłoni, cud wiejskiego kwiatka,
cud ptaka krzyczącego ochryple.

Halina Szczepańska

Przesypywanie ziaren piasku
Ludmiły Janusewicz

Może to wada edytora? Nieumiejętność pisania na komputerze? Niemożliwe, przecież to polonistka... Czytam zdanie, kropka, w dół, zdanie, kropka, enter, i od nowego wiersza, kropka, w dół, i... kropka, i w dół, i dwa słowa, znak zapytania.

Ludmiła Janusewicz nie daje się skupić na tekście, który napisała i wydała w książce. Chyba chciała, żeby ktoś to czytał, więc po co ta nieznośna maniera? Zastanawiam się nad formą zamiast skupić na treści... *Zamiast bluesa napisałam tę książkę. Autorka*. Na hasło blues przyczepił się do mnie motyw „Poczekalni PKP" Elżbiety Mielczarek. Mimowolnie zaczynam czytać L. Janusewicz tym bluesem:

Przestałam zazdrościć Walewskiej.

Ona siedziała przy stoliku i pudrowała sobie nosek.

Starała się być piękna dla swego adonisa.

Chciałam zakrzyknąć: uciekaj! uciekaj!

Moje chrypliwe przeciąganie sylab nic nie daje, rezygnuję z prób, ale w myślach czytanie nadal idzie bluesem. Wreszcie, wiem! Mnogość drobiazgowych opisów morza i piasku, skłonności malarskie autorki podsuwają mi nową diagnozę. Zdania ułożone jednolinijkowo zajmują, czytaj – zalewają, lewy brzeg białej kartki, są morzem. A ta biała reszta to plaża. Proste! Pogodzona z prozą w formie morza czytam dalej.

W tytułowym opowiadaniu „Przesypywanie ziaren piasku" kosmos opisywanego świata zbudowała wokół stolika w knajpie na bulwarze z widokiem na morze (Gdynia). Siedzi przy nim samotnie, obok przewija się karuzela postaci, którymi opowiada o sobie. Umiem to, wiem tamto, tamto czytałam, a na tym się znam – wynotowuje drobne pochwały pod swoim adresem, nie wchodząc głębiej. Biega myślami po przeszłości, której obrazki podsuwają obserwowane ze stolikowej perspektywy sytuacje i autoterapeutycznie mówi sobie „na głos": w tym jesteś dobra, jesteś coś warta, wraca do swoich dobrych chwil, wręcza sobie laurkę, mówi komplement. Główny wątek opowiadania prowadzi do wspomnień rodzinnych, babci obdarzonej życiową mądrością i intuicją, która uratowała czyjeś życie podczas wojny. Utożsamia się z babką. Wraca do niej, do dzieciństwa, do czasów bezpiecznych, kiedy czuła się kochana, do rozmów, w których teraz szuka dobrej odpowiedzi dla siebie na dziś.

Analizuje morze we wszystkich jego odcieniach, dzieli fale na krople i bryzę na mikrocząstki, śledzi ruch wody, piasku. Wpatruje się intensywnie w to, co prawdopodobnie jest jej bliskie. Nie mówi tego, ale czuje się, że szuka tam rozpaczliwie, tak jak w bluesie, jakiejś deski ratunku. *Lepiej zastanów się skąd wziąć miłość* – notuje.

L. Janusewicz mówi urywanymi zdaniami, buduje chwilami napuszone dialogi. Opisuje w najdrobniejszych szczegółach, ale nie tworzy obrazu. Kulinarno-czystościowe (chodzi o środki czystości, artykuły chemiczno-kosmetyczne) porównania chmur do waty i bezów, obecność morza przetartego wybielaczem, czy w przywoływanej na okrągło, barwie butelkowej zieleni denerwują, zaczynam się bać, że zaraz przeczytam o obtaczaniu piasku w mące. Podobało mi się postawienie pytania – czym jest plaża? Ale łopatologiczne poszukiwania odpowiedzi zaraz zburzyły ten na chwilę złapany wątek.

Jej refleksje, z których często sztucznie wystają odniesienia do literatury, ślizgają się po powierzchni. Postaci są, ale jakby ich nie było. Choć powołani do życia przez nią, nie są

w stanie podejść bliżej, nawiązać rozmowy. Pozwala być im tylko dekoracją. Co chwilę ucina rozmowy, ucina każdy kontakt, odtrąca. Milczy, ironizuje, ucieka. Bardzo chce, ale nie potrafi wykrzyczeć swej wewnętrznej rozpaczy, swego uwięzłego w gardle bluesa.

„Księżniczka" to ciąg dalszy powrotu do babki, a właściwie próba odtworzenia jej historii, poszukania korzeni, wyjaśnienia pochodzenia. Dodajmy królewskiego. Jest to zaledwie szkic. Mógłby posłużyć Danielle Steel do zbudowania kolejnej nieprawdopodobnej, ale dającej nadzieję i pokrzepienie powieści dla kobiet. Oczywiście pod warunkiem, że dołożyłaby burzliwą historię miłosną. Jest tu niby dystans, trochę ironii. Pozostaje jednak wrażenie, że tak jak powroty do różnych dobrych chwil w „Przesypywaniu ziaren piasku", te poszukiwania służą autorce do budowania wiary w siebie, dla przyjemności przeczytania napisanych na końcu słów: Ja, księżniczka trojga imion: Anna Matylda Antonina. Dla rozpaczliwego błagania „zauważcie mnie" – proszę! – dla kolejnej próby szukania akceptacji.

„Motyl na patyku" jest najlepszym z tych opowiadań. Tym razem Ludmiła Janusewicz przygląda się innym, bliskim sobie ludziom. Opowiada historię ich życia, a właściwie małżeństwa. Zwyczajną od kiedy się poznali w trudnych powojennych czasach, szli przez życie, wspierali, aż do śmierci. Marta i Piotr, historia miłości. Tytułowy motyl na patyku to jedna z drewnianych zabawek wytwarzana przez głównego bohatera, sposób na dorabianie w trudnych czasach. Opowiadanie zaczyna od przeglądania albumu ze starymi fotografiami i pisze z empatią i wrażliwością dobrego obserwatora. Ta pełna prostoty, ciepła opowieść wyszła jej najlepiej.

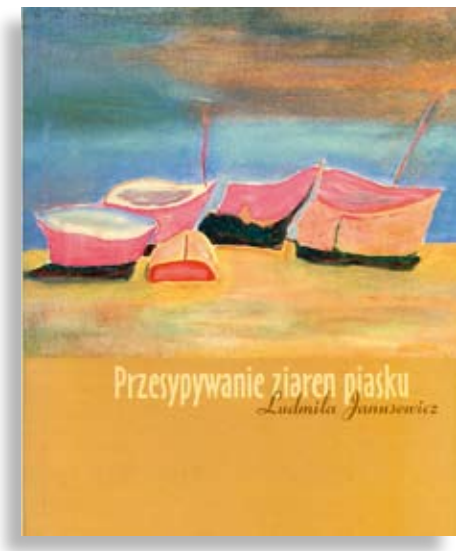

„Sztuka kaligrafii". Narratorem jest chłopiec uczący się kaligrafii i dzięki niej rozwijający swoje zdolności manualne, wrażliwość estetyczną, zainteresowania i wiedzę. Wyszła z tego historia detektywistyczna z PRL-u, jak to chłopiec rozszyfrowuje donosicieli SB. Właściwie to lektura dla młodzieży, trochę nostalgiczna. I myślę, że ta nostalgia to dla Janusewicz znowu powrót do tego, co dobre w dzieciństwie. Dobra nauczycielka, dobry sąsiad, dobry przyjaciel i zasady moralne, choć tło ociera się o półświatek i – oczywiście dobry! – obdarzony zdolnościami dzieciak, który wykorzystuje swój talent dla pomocy innym i jak niewidzialna ręka rozwiązuje problemy tej podwórkowo-dzielnicowej społeczności. Razi zbyt jaskrawo wyzierające nauczycielskie przesłanie o tym, że warto się uczyć i język, chwilami jak z czytanki do trzeciej klasy, a innym razem polonistyczne mądrzenie jak „cechy typograficzne dokumentu", czy „układ znaków, wyrazów i wierszy względem liniatury".

No właśnie, układ typograficzny tej książki... Zwyczajnie męczy. Czuję się jak po grze w piłkę w wąskim korytarzu, łup i łup o ścianę, oczywiście w poprzek, bo taka jest ta proza. Od krawędzi kartki do skończenia zdania i znów od krawędzi, jak od ściany do ściany, łup i łup, zygzakiem. Czuję zmęczenie, bo tą piłką odbijaną przez 180 stron opowiadań Ludmiły Janusewicz była moja głowa.

www. latarnia- morska.eu,
Kołobrzeg, 28 marca 2011

Ostatni generał

opr. Piotr Gryźlak

„Książka „Generał brygady Ludwik Mieczysław Boruta-Spiechowicz 1894-1985" to kolejna pozycja z serii „Generałowie II Rzeczypospolitej" wydana nakładem Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego. Bohater publikacji był ostatnim generałem przedwrześniowego Wojska Polskiego żyjącym w powojennej Polsce. Jest to pierwsza pełna biografia gen. Boruty-Spiechowicza. Przy jej pisaniu autor kierował się przede wszystkim chęcią wydobycia z cienia człowieka, który mimo bezsprzecznych zasług i osiągnięć, niesłusznie stawiany był do „drugiego szeregu". To z kolei groziło tym, że w stosunkowo krótkim czasie mógł zostać skazany na zapomnienie.

Faktycznie, mało kto dziś kojarzy jego nazwisko z okresem formowania Armii Polskiej w ZSSR w 1941 r. bądź ze strukturami Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Z reguły bowiem wymienia się generałów tej miary co Władysław Anders, Stanisław Maczek, Stanisław Kopański lub Zygmunt Bohusz-Szyszko – czytamy w recenzji zamieszczonej na stronie internetowej Karpackiego Oddziału Straży Granicznej.

- *Życiorys gen. Boruty-Spiechowicza związany był ze wszystkimi najważniejszymi wydarzeniami w naszej historii, począwszy od I wojny światowej i walk o odzyskanie niepodległości aż do schyłkowego okresu PRL i powstania „Solidarności"* – podkreśla ppłk SG dr Wojciech Grobelski, który jest wykładowcą historii w Centralnym Ośrodku Szkolenia Straży Granicznej im. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Koszalinie. - *Postać gen. Boruty-Spiechowicza była przemilczana w powojennych publikacjach. Lakonicznie pisano o nim w leksykonach wiedzy. Obrońca Lwowa z lat 1918-1919, sanacyjny generał, dowódca 22. Dywizji Piechoty Górskiej i współtwórca konspiracji antysowieckiej we Lwowie po klęsce wrześniowej nie był postacią, o której należało wspominać. Dziś, bez żadnych tajemnic można przypomnieć tę wybitną postać, która znalazła trwałe miejsce nie tylko w historii polskiej wojskowości, ale również w najnowszych dziejach naszego narodu.*

Zdaniem autora w biografii generała jest jeszcze sporo nieznanych epizodów. - *Jednym z nich jest fakt, że w czasie stalinowskich czystek, Boruta uniknął represji ze strony wszechwładnej bezpieki bądź Informacji. Mimo, iż po wystąpieniu z wojska w 1946 roku przez kolejnych 18 lat pracował na roli w podszczecińskim Skolwinie, to jednak był obiektem szczególnej inwigilacji prowadzonej przez te organa* – dodaje Wojciech Grobelski. - *Interesował się nim m.in. ówczesny oficer*

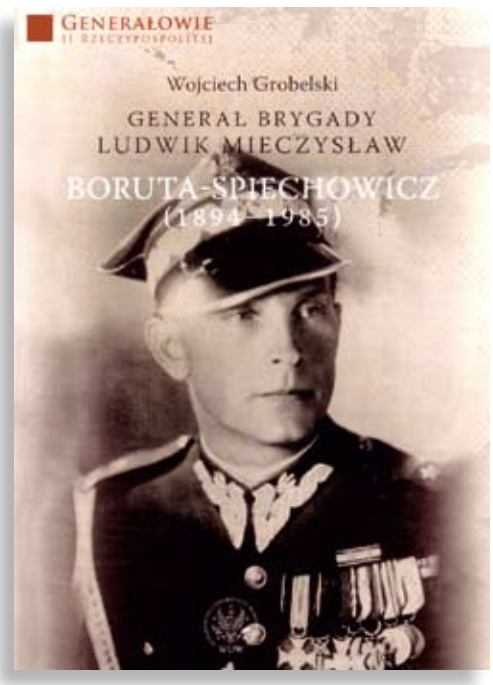

Wojciech Grobelski, Generał brygady Ludwik Mieczysław Boruta-Spiechowicz 1894-1985. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego 2010

GZI WP por. Czesław Kiszczak. Nazwisko generała pojawia się również w dokumentach śledztwa toczonego przeciwko marszałkowi Żymierskiemu, któremu zarzucano m.in. „zaśmiecanie" kadry WP przedwojennymi oficerami w rodzaju Boruty-Spiechowicza. Nie jest wykluczone, że właśnie w związku z tą sprawą teczka personalna generała została 2 listopada 1954 r. przesłana do Departamentu III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. - Widocznie jednak nie dopatrzono się szkodliwości w działaniu „chłopa" ze Skolwina i faktycznie poprzestano na inwigilacji – twierdzi Wojciech Grobelski.

W 1968 roku gen. Boruta-Spiechowicz wspólnie z gen. Romanem Abrahamem podjęli działania na rzecz ocalenia dewastowanego we Lwowie Cmentarza Orląt. W połowie lat siedemdziesiątych zaangażował się w działalność opozycyjną. Tworzył struktury Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W 1981 roku uczestniczył w I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność" w Gdańsku. Zmarł w Zakopanem 13 października 1985 roku.

Ta publikacja uzyskała pochlebne recenzje ze strony uznawanych historyków. M.in. prof. Janusz Zuziak napisał: *Warto zwrócić uwagę na niezwykle szeroką bazę źródłową. Autor zgromadził bardzo obszerny materiał w postaci dokumentów archiwalnych, wspomnień i relacji. Wykonał gruntowną kwerendę chyba we wszystkich archiwach polskich w kraju i w Londynie, przechowujących w swoich zbiorach materiały dotyczące postaci Boruty-Spiechowicza.*

www.karpacki.strazgraniczna.pl
www.sadeczanin.info

Anna Marcinek-Drozdalska

Noc w Bibliotece

O Nocy Muzeów jest głośno w Polsce od kilku lat. Organizuje ją aż 60 miast w kraju, dysponujących muzeami różnej wielkości i specjalności. Poczuliśmy zazdrość, że do muzeów w tę jedną noc w roku ustawiają się długie kolejki. Poszukaliśmy w sieci i okazało się, że biblioteki nie są gorsze, pionierem zaś w organizacji Nocy Bibliotek dla dorosłych okazał się Uniwersytet Rzeszowski, który pomysł taki realizuje od 2008 roku. Skoro tam udaje się to zrealizować ku zadowoleniu zarówno czytelników, jak i organizatorów nie widzieliśmy przeszkód, by spróbować na naszym terenie. Cóż, Noc Bibliotek nie ma tradycji na Pomorzu, ale ktoś musi być pierwszy. Dlaczego nie my?

Zebraliśmy w naszej, koszalińskiej bibliotece grono zapaleńców, którzy wbrew pesymistycznym głosom „to się nie uda" postanowili zaangażować się w organizację Nocy. Ile osób, tyle pomysłów. Ile głów, tyle propozycji. Nie bylibyśmy w stanie zrealizować ich wszystkich podczas jednego bloku imprez, więc mamy w zanadrzu już co nieco na następny rok...

Dyskusje, spory, ustalenia trwały grubo ponad miesiąc. Zbliżał się TEN DZIEŃ – Światowy Dzień Książek – 23 kwietnia. Właśnie ta data wydała się najwłaściwsza, by zaprosić do odwiedzin w bibliotece nie tylko stałych czytelników, którzy u nas bywają i tak, ale przede wszystkim tych, którzy w bibliotece bywają... hmmm... sporadycznie lub też incydentalnie.

Przyświecał nam jeden przejrzysty cel: pokazać bibliotekę jako miejsce magiczne, ciekawe, tętniące życiem, które z tradycyjnymi, a odchodzącymi do lamusa wyobrażeniami o wszechobecnej ciszy, atmosferze senności i nudy nie ma nic wspólnego. Mieliśmy nadzieję, że na nasze zaproszenie odpowiedzą ludzie żądni wrażeń, rozrywki, wiedzy, informacji, którzy zechcą spędzić z nami ciekawie, a czasem nawet dość pracowicie, te kilka godzin, które im zaproponujemy.

Obawę mieliśmy tylko jedną - czy będzie frekwencja, która chociaż minimalnie nas, organizatorów, usatysfakcjonuje. Noc w Muzeum jest atrakcyjna, gdyż bezpłatnie oferuje to, co na co dzień jest dostępne za opłatą. Biblioteka nie mogła posłużyć się tym atutem, gdyż wszystkie nasze propozycje są zawsze bezpłatne – musieliśmy więc głównym walorem uczynić atrakcyjność oferty.

Na bogactwo propozycji „nocnych" złożyło się wiele przedsięwzięć, z których najwcześniejsze – spotkanie autorskie z Arturem Andrusem „Andrus przed zachodem słońca" – zaplanowaliśmy na 17,30. Na lekko trzęsących się nogach „dopinaliśmy ostatnie guziki" – gdy około godziny 16,30 zaczęli schodzić się uczestnicy imprezy. Z każdą minutą opadały obawy, z każdym przybywającym gościem malały emocje, a lęk o frekwencję ustępował zdziwieniu, że tylu chętnych odpowiedziało na nasze zaproszenie. Gdy na pół godziny przed rozpoczęciem imprezy brakło kart uprawniających do udziału w loterii fantowej wiedzieliśmy już że liczba odwiedzających przekroczyła 150 osób – a jeszcze nic się nawet nie zaczęło!

A gdy się już zaczęło – impreza porwała wszystkich jak lawina. Każdy zakątek biblioteki, w którym coś się działo, był oblegany przez ciekawskich – a takich czytelników lubimy najbardziej. Co zaproponowaliśmy?

Jak już wspomniałam, pierwszym punktem Nocy było spotkanie z Arturem Andrusem. Na nic zdało się dostawianie krzeseł w sali konferencyjnej. Widzowie „zaludniali" schodki, parapety,

szeroko otwarte drzwi wejściowe. Dla tych, którzy w żaden sposób nie mogli się już zmieścić, pozostawały nieustanne salwy śmiechu dobiegające z sali... Nasz gość, kabareciarz, konferansjer, przez ponad półtorej godziny bawił anegdotami i żartami zachwyconą publiczność. A potem wraz z dyrekcją wręczał nagrody i dyplomy dla naszych najaktywniejszych i najbardziej zaangażowanych czytelników – z gmachu głównego, filii i Dyskusyjnych Klubów Książki. Ponieważ część z nich to osoby starsze lub niepełnosprawne – zorganizowaliśmy dla nich transport na imprezę – a potem odwiezienie do domu. Bylibyśmy niepocieszeni, gdyby z powodu braku możliwości dojazdu nasi najwięksi przyjaciele nie mogli uczestniczyć w imprezie.

Po tej, można powiedzieć, oficjalnej części, zaprosiliśmy do zwiedzania wystawy Salonu Ilustratorów Książki Dziecięcej, udostępnionej nam przez Polskie Towarzystwo Wydawców Książek. Na kilkudziesięciu planszach można było poznać zarówno mainstream w ilustracji książkowej jak też niszowe tendencje w tej dziedzinie. Po wystawie przyszła kolej na wspólne uroczyste otwarcie Wolnej Antresoli. To miejsce, gdzie bez formalności można pożyczyć książkę, płytę, film, zostawić wraz z recenzją pozycję już przeczytaną, wymienić uwagi o lekturach, zaprezentować własną twórczość. Wolna Antresola ma propagować czytelnictwo głównie wśród młodzieży, która niechętnie odnosi się do regulaminów, zakazów i nakazów. Takich na Antresoli nie ma. Oczywiście poza ideą wymiany książek oraz innych nośników i opinii na ich temat. Otwarcie Antresoli było huczne i widowiskowe – piękne tancerki z Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie odtańczyły ogniste tango, które rozgrzało atmosferę do czerwoności. Publiczność szczelnie wypełniająca wszystkie miejsca w holu biblioteki już zer-

Noc w bibliotece. fot. archiwum KBP

kała ciekawie, co też szykuje się w czytelniach, informatorium i jeszcze dalej...

Uzbrojeni w ulotki informacyjne ruszyli nasi ciekawscy goście do różnych miejsc. Niektórzy mieli w oczach popłoch mówiący „co tu wybrać" – chociaż dowolność korzystania z naszych ofert i swoboda przemieszczania się była od początku wpisana w formułę Nocy.

Od czego zacząć? Najbliżej mamy do czytelni – a tam... wystawa obrazująca historię naszych czytelni, sięgająca czasów głębokiego PRL-u. Ebonitowy telefon, paprotka, katalog kartkowy, maszyna do pisania, plakaty „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy", czasopisma z lat 50. – wprowadziły nas w ówczesną atmosferę. Również do przeszłości odwoływały się nasze kolejne propozycje – nauka kaligrafii i pokaz dawnego drukarstwa i introligatorstwa, gdzie można było spróbować własnych sił w tych dziedzinach. Zdumieni byliśmy, jak wiele osób z zaangażowaniem oddawało się próbom pięknego pisania i tworzyło własnoręcznie pamiątkowe plakietki z wytłoczoną nazwą naszej imprezy. Nieoceniona była tu dla nas współpraca z zaprzyjaźnioną drukarnią „Intro – Druk", która dostarczyła sprzęty, czcionki, materiały introligatorskie – oraz pani Ania Wachniak, która z anielską cierpliwością przez wiele godzin objaśniała zawiłości sztuki drukarskiej i introligatorskiej, sypała anegdotami i ciekawostkami sięgającymi aż czasów Gutenberga.

W drugim końcu czytelni, w sali, która na co dzień służy lekcjom bibliotecznym, a odmienionej nie do poznania, w scenerii paryskiej kawiarenki odbywał się maraton czytania poezji erotycznej. Czytał każdy, kto chciał – w tym zaproszeni przez nas przedstawiciele lokalnych mediów. Można było korzystać z przygotowanych książek, ale także zaprezentować przyniesione przez siebie ulubione utwory. Przyćmione

Noc w bibliotece. Spektakl teatru „Na Bosaka". fot. archiwum KBP

światło świec, lekka nastrojowa muzyka, dobre wino i gorąca atmosfera powodowały, że chętni do czytania i słuchania nie tylko wypełniali wszystkie kawiarniane miejsca, ale również stali pod ścianami.

Kto wolał od frywolnej poezji muzykę poważną – mógł słuchać Chopina wśród wystawy obrazującej dzieje jego życia i twórczości. Kogo interesowała historia biblioteki – mógł przysiąść i obejrzeć film zrealizowany na nasz jubileusz, a miłośnicy Koszalina mieli okazję spotkać się z pasjonatem naszego miasta i filmowcem, Leszkiem Fabiańczykiem, który gawędząc o historii wyświetlał fragmenty swoich filmów. Przy tej okazji prezentowaliśmy nasze zbiory regionalne, w tym publikacje poświęcone Koszalinowi, dawne widoki miasta, zdjęcia i widokówki.

Udostępniliśmy dla zwiedzających magazyny biblioteki. Pytano o liczebność i charakter zbiorów, o najcenniejsze pozycje, o zasady selekcji. O tym wszystkim opowiadała kierowniczka magazynów podczas gdy... wypożyczanie trwało nieprzerwanie, mimo późnych godzin wieczornych. Działały również wszystkie agendy, czytelnicy korzystali z prasy, internetu, informatorium..., nowicjusze mogli zapisać się do biblioteki.

Pamiętaliśmy także o młodzieży i chociaż dyskusje o propozycjach dla niej były najbardziej burzliwe - zaryzykowaliśmy koncert dwóch koszalińskich zespołów rockowych. Cóż dodać – sala była wypełniona po brzegi młodymi ludźmi, a głośna muzyka nie docierała do innych miejsc biblioteki i nikomu nie przeszkadzała. Dla

Noc w bibliotece. Tango w wykonaniu uczennic Zespołu Szkół Muzycznych im. G. Bacewicz.

fot. archiwum KBP

nas było istotne, że tak wielu młodych koszalinian przyszło do nas, do biblioteki, na koncert.

Pamiętaliśmy o niepełnosprawnych czytelnikach. Działalność na ich rzecz to nasza wizytówka, powód do dumy i źródło prestiżowych, ogólnopolskich nagród. Niewidomi i niedowidzący czytelnicy to nasi wierni przyjaciele, którzy podczas Nocy w bibliotece mieli specjalny blok muzyczny i dyskusyjny, a ponadto uczestniczyli we wszystkich propozycjach - mogliśmy na nich liczyć, gdyż mieli nasze zapewnienie, że bezpiecznie wrócą do domu pod naszą opieką. Prezentowaliśmy także prace plastyczne wykonywane przez uczestników zajęć terapeutycznych, które odbywają się u nas od wielu lat.

Atrakcją, na którą nasi goście czekali niecierpliwie, była loteria fantowa, w której uczestniczyły kupony wręczane przy wejściu na imprezę. Fantami były oczywiście książki. Nie przyszło nam do głowy, że na Noc w Bibliotece przyjdą całe rodziny i nie mieliśmy propozycji specjalnie adresowanych do dzieci – potrafiły one jednak zająć się i kaligrafią i introligatorstwem, i z zapartym tchem oglądać wspaniałe ilustracje do książek dziecięcych. Naszą rolą, do której nie byliśmy przygotowani, a którą jednak spełniliśmy całkiem dobrze było „domywanie" dziatwy, która po zajęciach z udziałem tuszu nadawała się do dość dokładnych ablucji.

Propozycje imprez w budynku zakończył Teatr na Bosaka z jednego z koszalińskich liceów. Spektakl z udziałem świateł, szczudeł, scenografii, muzyki i projekcji multimedialnej zostawił nas pod dużym wrażeniem.

Noc już była głęboka, gdy „fortelem" wyprowadzaliśmy naszych gości na plac przed biblioteką. Odbył się tam zapierający dech w piersiach pokaz żonglowania ogniem, który w scenerii starego parku, w ciemnościach pozostawił niesamowite odczucia.

Niektórzy usiłowali po tym pokazie wrócić do budynku, bo: nie byli jeszcze w magazynie..., albo nie spróbowali jeszcze kaligrafii..., albo chcieli jeszcze o coś zapytać....

Niestety, musieliśmy przygotować bibliotekę do normalnej pracy od sobotniego ranka.

Objedzeni ciastem, przygotowanym przez nasze pracownice, z pamiątkowymi plakietkami, fantami, z mnóstwem wrażeń koszalinianie, którzy po raz pierwszy spędzili Noc w bibliotece, wracali do domów. Nazajutrz lokalna prasa pisała entuzjastycznie o naszej inicjatywie. Oceniamy, że bibliotekę odwiedziło wówczas około 1000 osób, które nie szczędziły nam ciepłych słów uznania. Ta liczba przerosła nasze oczekiwania, a jednocześnie – uskrzydliła. Przekonaliśmy się naocznie, że to nieprawda, iż koszalinianom wcale nie chce się wychodzić z domu. Trzeba tylko dać im możliwość wyboru spośród wielu ciekawych ofert, a o frekwencję wcale nie trzeba będzie się martwić.

Cieszy nas, że biblioteka stała się bliższa naszym mieszkańcom. Przecież to, co oferowaliśmy podczas Nocy dzieje się u nas na co dzień – spotkania z pisarzami, projekcje, koncerty, wystawy, konkursy – to nasz chleb powszedni. Wiele osób przekonało się jak smakuje w doborowym i licznym towarzystwie.

Mamy już pomysły na przyszły rok, ale o tym na razie cicho... To będzie niespodzianka!

*

Pierwsza koszalińska Noc w Bibliotece uhonorowana została Nagrodą Prezydenta Koszalina i tytułem Impreza Roku 2010.

Anna Marcinek-Drozdalska

Piotruś Pan na literackim Parnasie

Michał Rusinek w KBP

Michał Rusinek na pierwszej swojej wizytówce, wydrukowanej jeszcze w okresie studenckim, zamieścił przekorne zdanie: „Człowiek dobrze się zapowiadający". Czas pokazał, że była to słuszna rekomendacja. Dziś znany i uznawany jest jako poważny naukowiec, wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim, teoretyk literatury, tłumacz, publicysta, nade wszystko zaś Pierwszy Sekretarz Pierwszej Damy - czyli osobisty sekretarz Wisławy Szymborskiej.

Wybierając się na spotkanie z nim do Koszalińskiej Biblioteki Publicznej można było zatem oczekiwać figury niemal posągowej, a tymczasem... Spotkaliśmy się ze wspaniałym gawędziarzem, erudytą zgrabnie poruszającym się pomiędzy stylami i nazwiskami wielkich pisarzy i teoretyków literatury, założycielem „loży" ku czci profesor Teresy Walas, wielbicielem (i twórcą) literatury niepoważnej od Edwarda Leara po Stanisława Barańczaka, autorem limeryków i uczestnikiem spotkań w Kawiarni „Nowa Prowincja" przy ulicy Brackiej w Krakowie.

Michał Rusinek jest doktorem filologii polskiej. O rozległości jego zainteresowań świadczy fakt, iż magisterium pisał z literatury staropolskiej (kto dzisiaj pamięta o Macieju Kazimierzu Sarbiewskim?!), a doktoryzował się ze współczesnej retoryki. Te badania oraz praca nad książką o „retoryce podręcznej" („Retoryka codzienna", Wydawnictwo Czarna Owca, 2010 r. – dop. red.) niewątpliwie ułatwiają mu kontakt ze słuchaczami, a teoretyczna znajomość prawideł nią rządzących przekłada się na fakt, że słucha się Michała Rusinka z zapartym tchem.

Michał Rusinek jest także osobistym sekretarzem Wisławy Szymborskiej. Z wdziękiem, lekkością, zaangażowaniem emocjonalnym i z finezyjnym poczuciem humoru, opowiadał tłumnie zebranym w bibliotece o wydarzeniach, które poprzedziły jego wybór na stanowisko sekretarza Wisławy Szymborskiej: o tym, jak wygrał swoisty casting a także o tym, jakie są jego obowiązki u poetki, która nie spodziewała się, że... noblistą jest się całe życie. Z planowanych wstępnie trzech miesięcy pracy osobistego sekretarza – a więc w okresie pomiędzy przyznaniem a wręczeniem Literackiej Nagrody Nobla - zrobiło się kilkanaście lat, nasza Noblistka bowiem w świecie spraw przyziemnych, urzędowych i biurokratycznych jest całkiem bezradna. Zajęcie to stanowi tylko niewielka cząstkę aktywności zawodowej – i hobbystycznej - Michała Rusinka.

Upust niezwykłemu, błyskotliwemu poczuciu humoru daje pisząc limeryki. Tłumaczy z języka angielskiego książeczki dla dzieci, teksty piosenek – w tym całe musicale, ale także dzieła tak poważne jak „Słownik bitew świata" czy „Dynastie świata". Z zainteresowań językiem dziecięcym powstały skrzące się humorem książki – „poradniki" - „Jak robić przekręty i „Jak przeklinać". Są one pokłosiem apelu do telewidzów, by przysyłali próbki dziecięcych „eksperymentów" językowych – czasem mimowolnych, czasem umocowanych w zgodnym z dziecięcą logiką pojmowaniu prawideł rządzących językiem. Książki te to nie tylko perełki pod względem językowym, ale także dzieła graficzne, które swój kształt zawdzięczają ilustratorce – Joannie Olech.

Wspominając o rozległości zainteresowań, mnóstwie zajęć i lekkim podejściu do problemów codzienności nasz gość odwołał się do Piotrusia Pana (notabene jest autorem najnowszego przekładu słynnej powieści Jamesa Matthew Barrie'ego – dop. red.), który w nim zamieszkał i który nie pozwala mu dorosnąć i ustatkować się.

Pracowitości jednak nie można mu odmówić. W swoim życiorysie ma współpracę z wydawnictwami „Znak" i „Literatura", z „Gazetą Krakowską", „Playboy'em" (!), Polskim Radiem. W ostatnim czasie wydał „Fistaszki zebrane", „Retorykę codzienną", „Kiedy byłem mały..." – ciekawy eksperyment edytorski stworzony wspólnie ze wspomnianą już Joanną Olech, będący spojrzeniem dorosłego człowieka na własne dzieciństwo. Cytowane przez autora fragmenty poświęcone życiu przedszkolnemu czy też zainteresowaniom skierowanym ku „Czterem pancernym" wywoływały salwy śmiechu słuchaczy.

Z racji współpracy z Wisławą Szymborską i aktywności na polu literackim i kulturalnym Michał Rusinek silnie jest związany z krakowskim środowiskiem artystycznym, o którym nie omieszkał opowiedzieć w kilku celnych anegdotach. Współpracuje między innymi z Grzegorzem Turnauem, dla którego pisze teksty piosenek.

Kto nie znał dotychczas zbyt dobrze Michała Rusinka, kto był na bakier z teorią literatury, z wymogami formalnymi limeryków czy historią literatury niepoważnej – dzięki spotkaniu z nim stał się dużo mądrzejszy. Mogliśmy poznać nie tylko historię limeryków, „sprowadzonych" do Polski i upowszechnionych przez Macieja Słomczyńskiego, ale także usłyszeć o innych nowych gatunkach literackich – w tym *lepiejach* (które swoją nazwę zawdzięczają właśnie Rusinkowi), *epitafiach*, *altruitkach* i *moskalikach*.

„Odbrązowienie" wielkich poetów, którzy potrafią bawić się słowem, dla których literatura staje się również rozrywką, których poczucie humoru znajduje odzwierciedlenie w literackich zabawach, stawia ich w zupełnie innym świetle. Po spotkaniu z Michałem Rusinkiem przestajemy traktować ich jak pomnikowych „sztywniaków", surowych moralizatorów czy cierpiętników w imię wielkich ideałów, lecz dostrzegamy mistrzów słowa, dla których jest ono żywą materią, raz poważną czy refleksyjną, innym razem – pełną humoru i dowcipu. „Literatura niepoważna" ich autorstwa jest dowodem maestrii i dystansu do siebie samych, o który często tak trudno u artystów.

Atmosfera lekkiej, żartobliwej gawędy popartej wspaniałą wiedzą i pasją spowodowała, że spotkanie z Michałem Rusinkiem stało się jednym z najciekawszych tegorocznych przedsięwzięć kulturalnych Koszalińskiej Biblioteki Publicznej.

Biblioteka bez barier

Konkurs Stowarzyszenia Przyjaciół Integracji i Kancelarii Sejmu RP pod tytułem „Polska bez barier" po raz pierwszy został zorganizowany w końcu 2009 roku pod honorowym patronatem Marszałka Sejmu RP. Skierowany jest do samorządów, które mogą zgłaszać do niego miejsca, obiekty i rozwiązania zrealizowane z myślą o osobach niepełnosprawnych. Konkurs rozstrzygany jest w ośmiu kategoriach.

W pierwszym konkursie, do którego zgłoszono 164 obiekty, w kategorii Edukacja Koszalińska Biblioteka Publiczna została oceniona najwyżej jako instytucja najlepiej dostosowana architektonicznie do potrzeb osób niepełnosprawnych, a także realizująca bogatą ofertę skierowana do osób z różną niepełnosprawnością, wśród których są m.in.: spotkania z czytelnikami niewidomymi i niedowidzącymi, warsztaty integracyjne oraz zajęcia dla osób z niepełnosprawnością intelektualną.

Nagrodzono także Koszalin jako miasto przyjazne i dostępne architektonicznie dla osób niepełnosprawnych. (A.D)

SZTUKA I ARCHITEKTURA

Bożena Kowalska

Harmonia i pogoda

Andrzej Gieraga, co zdarza się dziś coraz rzadziej, jest malarzem afirmacji i radości życia. Kiedy się mówi o jego sztuce – myśli się przede wszystkim o świetle, choć także o przestrzeni i o geometrycznym ładzie. Wszystkie trzy te czynniki konstytuują jego sztukę, ale światło odgrywa w niej rolę nadrzędną. Jest to światło promieniujące od namalowanej bieli i kolorów, ale też światło zatrzymujące się na wypukłościach faktury.

Artysta tworzy obrazo-reliefy, uprawia klasyczną grafikę i odkrył dla siebie specyficzny rodzaj malarstwa połączonego z grafiką wytłaczaną na grubym, czerpanym papierze. We wszystkich tych trzech rodzajach działania podstawowy szkielet kompozycyjny stanowi relief. To na nim załamuje się światło i wtedy krawędzie wypukłości stają się rysunkiem bielą, a cień we wklęsłościach – rysunkiem ciemną szarością lub czernią.

W ciągu blisko czterdziestu lat pracy artystycznej, eksperymentów i poszukiwań w twórczości Gieragi dokonywał się proces wzbogacania jego koncepcji sztuki. Początkowo posługiwał się twórca tylko bielą, czernią i grafitową szarością. Tworzył w drugiej połowie lat 80. obrazy ciemno-szaro-srebrzyste o rozwibrowanej fakturze, nasyconej światłem rozproszonym i o geometrycznych podziałach płaszczyzny, wykreślonych duktami rowków wypełnionych cieniem.

Tę samą powagę i poetykę, choć większą prostotę układu, miały w dziesięć lat później tworzone Nokturny – tonda grafitowe, w których linie zagłębień, rysujące geometryczny układ były barwne i jakby od nich po całej płaszczyźnie tonda rozlewała się w jej srebrzystości ledwie pochwytna, kolorowa poświata.

Malował artysta potem, w początkach nowego wieku, radosne obrazy reliefowe, w słonecznych barwach żółcieni i oranżu. Jednak umiar i szlachetność bieli-czerni-szarości były mu bliskie nadal. Powrócił więc do gam achromatycznych w kompozycjach z nakładanych na siebie reliefowo kwadratów zróżnicowanych walorem od jasnej szarości do czerni. W niektórych skośnie ustawiony kwadrat rozsadza prostokątny format obrazu znaczną częścią z narożem sięgając poza jego ramę. Nie narusza to harmonii układu; wzbogaca ją.

Asceza obrazów achromatycznych nie jest wszakże wyłączna. Równolegle z kompozycjami z kwadratów tworzy Gieraga barwne obrazy (przy czym zazwyczaj w każdym z nich występuje tylko jeden kolor) i podobne prace na czerpanym papierze: grafiki dużego formatu 70 x 50 cm, połączone z malarstwem akrylowym. Powstawały one i dawniej, malowane jednak tylko czernią. Od 2006 r. używa twórca intensywnych barw, wśród których ulubionym i najczęściej stosowanym kolorem stał się niebieski, zwłaszcza ultramaryna, z wyjątkową siłą emanująca światło. Z punktu widzenia symboliki niebieski jest kolorem ducha, przestrzeni, nieskończoności, nieba. W dziełach artysty to symboliczne znaczenie zachowuje swoją doniosłość.

Tak w obrazach Gieragi, jak i grafikach łączonych z malarstwem relief jest kształtowany schodkowo, jakby nakładane były na siebie kolejne warstwy tej samej formy, tyle, że coraz mniejsze. Są to przeważnie, a w obrazach prawie zawsze, wąskie wydłużone prostokąty przebiegające pionowo przez całą wysokość płaszczyzny obrazowej, wzdłuż środkowej osi al-

bo zdwojone, usytuowane symetrycznie po jej dwóch stronach. W pracach graficznych kompozycja bywa bardziej skomplikowana, bo występują w nich niekiedy formy łukowe czy faliste. Działaniem graficznym jest tu reliefowe wytłoczenie papieru. Reszta jest malarstwem.

Schodkowe ukształtowanie reliefu, tak w obrazach jak w omawianych pracach na papierze, służy stopniowaniu koloru. Pierwsza warstwa, najbliższa podłoża, ma barwę delikatną, bladą, przezroczystą; każda następna jest bardziej nasycona, aż do kulminacji w najwyższej warstwie reliefu. Tu następuje zjawisko niezwykłego świecenia barwy, jakby użył twórca farb fluorescencyjnych. Jest to świecenie niewytłumaczalne i prawie mistyczne, co zdaje się artysta podkreślać stosując najczęściej symboliczny kolor błękitu. Tło w tych magicznych obrazach Gieragi, z pozoru neutralne, szare – niemal niedostrzegalnym dodatkiem koloru podporządkowane jest panującemu nad nim, barwnemu akordowi.

Twórca posługuje się w swej sztuce dwojakim rodzajem przestrzeni. Jedna jest rzeczywista, namacalna, kształtuje ją relief wypukły i wgłębny, druga ma charakter iluzyjny, gdy obszar czerni na przykład sugeruje głębię, a pole barwy emanującej blask zdaje się występować z obrazu i zbliżać ku oczom. Zarówno jeden jak i drugi trójwymiar odgrywa w pracach artysty istotną rolę. Współgrają one, porządkowane geometrią, w tworzeniu równowagi i harmonii, które charakteryzują wszystkie dzieła malarza. Także najbardziej oryginalny, niespotykany ich rodzaj: obiekty realizowane wynalezioną przez niego w połowie lat 80., najtrafniej odpowiadającą jego zamierzeniom, techniką graficzną. Łączy ona relief z mezzotintą czy akwafortą lub czasem obydwiema naraz. W tej technice powstają małe formatem, ale wielkiej urody

Andrzej Gieraga w Galerii na Piętrze. fot. Ilona Łukjaniuk

miniatury graficzne 15 x 12 cm. Spełniają one niezwykle ważne zadanie: pierwszej zazwyczaj artykulacji nowych pomysłów. Kompozycje te bywają następnie, czasem z niewielkimi zmianami, realizowane w dużym formacie, w formie obrazów czy też reliefów na papierze łączonych z malarstwem. Te miniaturowe dzieła graficzne artysty są ewenementem, nie mają sobie podobnych. Początkowo wyłącznie czarno-szarobiałe i w tych kolorach proste, oszczędne i bardzo piękne, potem wzbogacone zostały barwami chromatycznymi. Miniaturowe grafiki, posiadające wszystkie walory twórczości Gieragi, należą do najcenniejszych jego osiągnięć.

Są one, jak wszystkie prace artysty, oparte na opozycjach: czerń – biel, niepokój powierzchni fakturalnej – gładka płaszczyzna, wklęsłości – wypukłości, geometryczny porządek wgłębnych duktów – nierówne, poszarpane ich krawędzie. Wszystkie te wartości opozycyjne równoważą się unikając dramatyzmu ekspresji. Osiągają pogodę wyciszenia, choć nie tracą energii dynamizmu. To sztuka, która przyciąga uwagę, skłania do kontemplacji, rozświetla smutek i unieważnia monotonię codzienności.

*

Powyższy tekst towarzyszył wystawie Andrzeja Gieragi w Galerii Art NEW media w Warszawie (25 lutego – 16 marca 2009 r.), opublikowany został też na stronie internetowej Sztuka pl. w opracowanych przez Galerię Na Piętrze materiałach promocyjnych. Zapowiadał także koszalińską ekspozycję artysty w 2010 r. Wystawa „Progresje Andrzeja Gieragi" w Galerii na Piętrze została otwarta 24 września i była czynna do 22 października 2010.

Andrzej Gieraga – grafik, malarz, urodzony w 1934 roku. Studia odbył w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi w latach 1965-1970. W roku 1971 uzyskał dyplom z wyróżnieniem. Od tego samego roku zatrudniony jest w macierzystej uczelni, a także jako profesor na Politechnice Radomskiej, w Katedrze Sztuki.

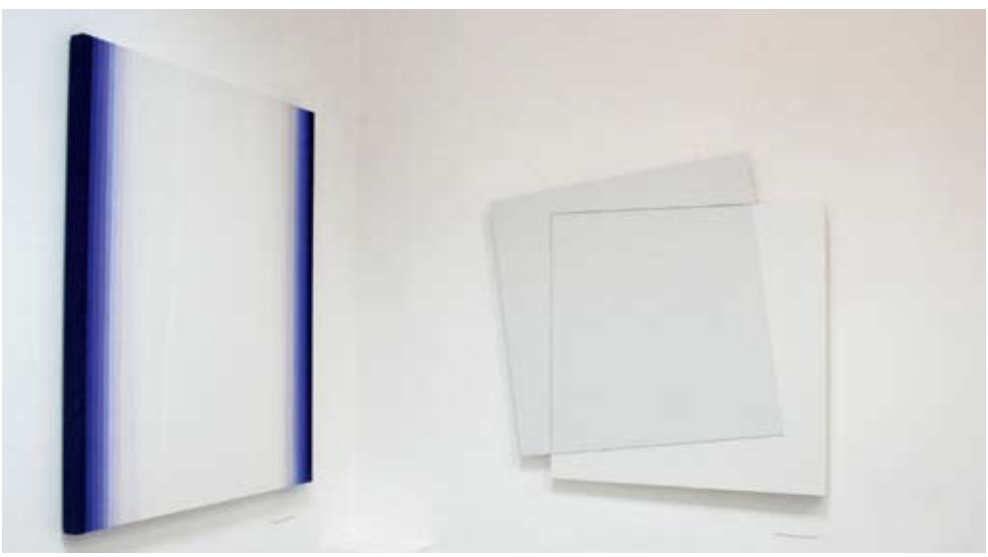

„Progresje Andrzeja Gieragi" w Galerii na Piętrze. fot. Ilona Łukjaniuk

Weronika Teplicka

Historia, kolekcja, artyści

Galeria Scena 2005-2010

25 kwietnia w Pałacyku Myśliwskim (dawnej siedzibie Polskiego Radia) odbył się wernisaż jubileuszowej wystawy pt. „Galeria Scena 2005-2010: historia, kolekcja, artyści". O ogólnej historii galerii dowiedzieć się można było z folderu wydanego specjalnie z tej okazji. Kurator Ryszard Ziarkiewicz w klarowny i syntetyczny sposób przedstawił pięć lat istnienia galerii, dzieląc strukturę ekspozycji na trzy symboliczne części.

Pierwsza - otwierająca wystawę - prezentowała ułożony w chronologiczny ciąg bogaty zbiór plakatów, katalogów i artykułów prasowych, dokumentujących działalność galerii. Dopełniona zdjęciami z archiwów artystów, materiałami prasowymi i komentarzami lokalnej prasy pochodzącymi z kolekcji Fundacji „Moje Archiwum" Andrzeja Ciesielskiego stwarzała możliwość wędrówki ścieżkami, jakie przebyła galeria, wypracowując własną koncepcję doboru artystów i zasady swego funkcjonowaniu.

Kolejna część ekspozycji prezentowała zbieraną przez lata kolekcję, na która składają się m.in. cykl zdjęć „Algorytm" Bogny Burskiej, fotografie Artura Żmijewskiego z cyklu „Oko za oko" (depozyt Galerii Foksal w Warszawie), prace Petera Fussa „Jesus Christ King of Poland", fotografie Andrzeja Golca, dokumentacja akcji Paolo Pozozza „Śpiewające kury".

W trzeciej części prezentacji można było zobaczyć nowe prace artystów związanych z Koszalinem i stale współpracujących z Galerią Scena. Instalacja Andrzeja Ciesielskiego - dwie pionowe formy składające się z pudełek po zapałkach, ustawionych w centralnej części pomieszczenia ekspozycyjnego; cykl prac Roberta Knutha - wielkoformatowe portrety mężczyzn, „Opowieści osadników" i instalacja rzeźbiarska Tomasza Rogalińskiego „Hodowla" - zbiór włochatych czarnych form umiejscowionych w słoikach, przedstawiających symultaniczny proces ich rozwoju. Zdzisław Pacholski zaprezentował cykl czarno-białych fotografii Koszalina z lat siedemdziesiątych i prace Zbigniewa Taszyckiego Podczas wernisażu odbył się performance Roberta Knutha z udziałem Tomasza Rogalińskiego i Daniela Szlachtowskiego.

Punktem odniesienia wystawy była sama działalność galerii i sposób, w jaki przez lata ewoluowała. Galeria Scena nigdy nie była jedynie miejscem oferującym kontemplacyjne spotkania z konwencjonalną sztuką. Była natomiast od początku miejscem odpowiadającym współczesnym tendencjom przekształcania muzeum w „park rozrywki"[1]. Była przestrzenią dialogu pomiędzy twórcą a widzem, kuratorem

[1] W przeprowadzonym w 1967 roku przez Annette Michelson wywiadzie, szwedzki malarz Öyvind Fahlström, który zajmował się animowanymi kreskówkami, zaprezentował ideę wzorcowej wystawy dzieł sztuki jako „domu przyjemności". Był przekonany, że ostatecznie muzea zawierać będą teatry, dyskoteki, gabinety medytacji, rodzaj lunaparku, ogrody, restauracje, hotele, baseny i galerie sprzedające repliki dzieł. Wizja Fahlströma okazała się prorocza. Jego „dom przyjemności"stał się modelem dzisiejszego muzeum. Victoria Newhouse, *W stronę nowego muzeum*, „Muzeum Sztuki. Antologia", red. Maria Popczyk, Kraków, 2005

a artystą, mistrzem, uczniem i widzem. Równolegle była miejscem dającym możliwość poszukiwania nowych środków wyrazu i wyjścia poza granice akademickiej sztuki. Siedzibą galerii jest miejsce po kotłowni w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej, wpisując się w ogólnoświatowy trend zamiany miejsc postindustrialnych na miejsca kreowania sztuki, nadawania im nowego sensu[2]. Poprzez nadanie bezużytecznej już przestrzeni nowego znaczenia, sztuka pełni funkcję czynnika ratującego miejsca zapomniane, zaniedbane.

Według założyciela galerii Roberta Knutha „Scena" powstała *dla eksperymentów, była miejscem dialogu i dyskusji, wejściem do świata fascynujących poszukiwań, swoim programem przeciwstawiała się banalizacji;* umiejscowienie galerii było trafnym zabiegiem, jest to bowiem: *miejsce o bogatym znaczeniu pierwotnym... biblioteka została zbudowana na starym cmentarzu. W trwających tutaj obrazach i dźwiękach zawarta jest historia trzech stuleci.* [3]

Powstanie Galerii Scena nie tylko było odpowiedzią na zapotrzebowanie na przestrzeń wystawienniczą dla studentów nowo powstałego Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, ale również stanowiło miejsce wypowiedzi dla jego wykładowców i artystów nowoczesnych z Koszalina. Do najbardziej znaczących akcji należało wydarzenie multimedialne Roberta Knutha „Totrimejk", angażujące m.in. studentów. Swoją krytyczną postawę wobec sztuki jako sacrum przedstawili Andrzej Ciesielski i Stanisław Wolski prezentując performance „Benefis". Agata Michowska, wybitna artystka i wykładowca Instytutu Wzornictwa, pokazała interesującą filmową instalację „Lullabye", która poprzedziła debatę: „Czy w Koszalinie jest miejsce dla Sztuki Współczesnej?". (Relacja ze zorganizowanej wraz z kolegium redakcyjnym almanachu debaty zamieszczona jest w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2009" – dop. red.) Wcześniej ważnym wydarzeniem była debata „Sztuka w przestrzeni miejskiej", będąca m.in. odpowiedzią na zakaz kontynuowania cyklu billboardów „Kocham Koszalin". Podczas debaty swoje doświadczenia związane z prezentowaniem sztuki w przestrzeni publicznej zaprezentowali: Rafał Jakubowicz z Poznania, Robert Rumas i Julita Wójcik z Trójmiasta oraz Joanna Górska i Robert Góralski z toruńskiej Galerii Rusz. (Także i ta debata zorganizowana była wspólnie przez „Scenę" i kolegium redakcyjne, a relacja zamieszczona w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2007" – dop. red.)

Ważnym nurtem działalności Sceny jest edukacja przez sztukę i systematycznie prowadzone warsztaty plastyczne dla dzieci i młodzieży. Rozwijanie wrażliwości na odbiór sztuki współczesnej, wyjście poza stereotypy i poznawanie rożnych technik plastycznych wynikają z potrzeby oswajania młodych ludzi ze sztuką. Warsztaty, prowadzone m.in. przez duet Maria Stafyniak i Paweł Kula, oraz Elżbieta Stankiewicz i Jacek Sztucki, przyciągają liczną rzeszę uczestników i odbiorców.

W nurcie działalności edukacyjnej skierowanej na przyciąganie młodych odbiorców, mieszczą się także offowe festiwale filmowe, takie jak „Watch Dogs", czy „Euroshots", a wernisażom zwykle

---

[2] Ekonomiści konstatują powstanie nowej branży gospodarczej, oferującej usługi w zakresie ludzkich doświadczeń i obejmującej rożnego rodzaju przedsięwzięcia kulturowe, od podróży po różnego rodzaju rozrywkę. W ścisłym związku z tą nową dziedziną gospodarki wydają się pozostawać dziesiątki współczesnych inicjatyw w zakresie tworzenia nowych muzeów, które urządzane są w bezużytecznych dzisiaj fabrykach, elektrowniach, a nawet opuszczonych szkołach jako element programu salwującego obszar otaczający dany obiekt z czasowego ekonomicznego kryzysu. Irma Kozina, *Dialog tradycji i awangardy: ontogeneza współczesnego muzeum*, „Muzeum sztuki. Antologia", red. Maria Popczyk, Kraków, 2005

[3] Stanisław Wolski, *Galeria Scena: 2005-2010- historia, kolekcja, artyści.* folder, wyd. Galeria Scena, Koszalin 2010

Galeria Scena. Fragment ekspozycji.

fot. Weronika Teplicka

towarzyszą koncerty zespołów (Silly Boyz in The Street, Same Road), przedstawienia teatralne jak np. „Teatr na Bosaka" Marzeny Wysmyk.

Działalność galerii wzbudza wiele kontrowersji, zarówno nieporozumień jak i pozytywnych komentarzy, także w prasie internetowej, by wspomnieć dyskusję sprowokowaną akcją Petera Fussa: „Jesus Christ King of Poland" .

O promocyjno-menadżerskim charakterze galerii niech świadczy wypromowana w tym właśnie miejscu twórczość Tomasza Rogalińskiego, którego prace cieszą się coraz większym zainteresowaniem wśród kuratorów. To właśnie tutaj, w Galerii Scena, miał on swoją debiutancką wystawę, przy okazji której wydany został katalog z tekstem krytycznym i reprodukcjami jego prac.

Wystawa dokumentująca pięć lat działalności nie była tylko podsumowaniem i próbą zdefiniowania Galerii Scena jako zamkniętej całości. Była zamanifestowaniem istnienia sztuki nowoczesnej w Koszalinie i galerii jako dynamicznej instytucji odpowiadającej na zapotrzebowania młodej sztuki a także zapowiedzią planów, opartych m. in. na kontynuacji dotychczasowych działań i przeciwstawianiu się komercjalizacji w sztuce.

Galeria Scena działa w strukturze Centrum Kultury 105, w miejscu udostępnionym przez Koszalińską Bibliotekę Publiczną im. Joachima Lelewela. Jest organizacją o charakterze non-profit, nastawioną na prezentowanie sztuki nowoczesnej, w tym promowanie koszalińskich artystów. 27 listopada 2010 r. podczas prezentacji projektów dla Koszalina pod nazwą „Wspólne dziedzictwo/Shared Heritage" artyści związani z galerią mieli okazję do zaprezentowania pomysłów na przyszłość. To tutaj po raz pierwszy został przedstawiony projekt Festiwalu Sztuki w Przestrzeni Miejskiej Koszart, a także Pomeranian Super Bunker i We Are Super Highway, które są inicjatywą młodych koszalińskich architektów. Miejmy nadzieję, że działalność galerii i środowiska z nią związanego doprowadzi do utworzenia w Koszalinie Centrum Sztuki Współczesnej z prawdziwego zdarzenia.

„Galeria Scena 2005-2010: historia, kolekcja, artyści". Wystawa jubileuszowa z okazji 5-lecia galerii „SCENA". Wernisaż 25 kwietnia 2010 w pałacyku Myśliwskim (dawna siedziba radia Koszalin przy ul. Piłsudskiego).

Anna Makochonik

To nie jest miasto dla młodych ludzi?

Odpowiedź na pytanie o to, czy w Koszalinie tworzy się nowe środowisko twórcze, nie jest łatwa. Część ubiegłorocznych, nowych, zdarzeń obsadza galeria powtarzających się postaci, jednak zdefiniowanie ich jako grupy byłoby działaniem na wyrost. Tym niemniej warto zastanowić się, dlaczego to „środowisko" pojawiło się tu i teraz, jak działa i czy mamy do czynienia tylko z efemerycznym wykwitem jego inicjatyw, czy zjawiskiem, które w przyszłości będzie miało odczuwalny wpływ na miasto.

Słynna trend forecaster[1] Lidewij Delkoort twierdzi, że oto nadchodzi czas wspólnot. Nie sprawdził się model samowystarczalnej jednostki i kończy epoka egoizmu. Ludzie wracają do instynktownego przekonania, że w grupie są skuteczniejsi. Połączenie różnych predyspozycji, talentów i doświadczeń może dać efekt bardziej spektakularny niż działanie w pojedynkę. Stąd być może trwający od dłuższego czasu wysyp działających na różną skalę stowarzyszeń, fundacji, wolontariatów i grup twórczych.

Wydaje się, że coś z tego dociera do Koszalina. Jednak mając do czynienia z kilkoma zaledwie wydarzeniami na skalę lokalną, możemy na razie mówić o zalążkach jakiejś nowej myśli, nieskoordynowanej jednak na tyle, by postrzegać ją jako formację. Tym niemniej zauważalnej i wartej obserwacji, bo alternatywnej wobec obu istniejących już środowisk: sztuki i myśli konserwatywnej (najliczniejszego i najsilniej zintegrowanego) oraz sztuki nowoczesnej w postaci niewielkiego otoczenia Galerii Scena.

Koszalińskie – nazwę je tak umownie – środowisko młodych nie ma zwartej struktury i trudno je zidentyfikować. Podstawowym medium jego działań jest internet, będący centrum przepływu informacji, forum dyskusyjnym i źródłem inspiracji. Jego akcje nie dotyczą jedynie sztuki. Mniej lub bardziej aktywnie społeczność zasilają absolwenci i studenci Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej, artyści i twórcy – m.in. związani z galerią „Scena" – architekci, dziennikarze, entuzjaści miasta i kultury. Kreatywni ludzie, którym upiększanie Koszalina leży na sercu – jak mówi Gall Podlaszewski, architekt. Sam ostrożnie podchodzi do nazywania go liderem, ale to on właśnie animuje wydarzenia w rodzaju Pecha Kuchy[2] (wym. peczakczy), przewodzi idei projektu „Tak na Deptak" i grupie projektowej Warsztat Koszalin, która – wszystko na to wskazuje – niebawem przekształci się w stowarzyszenie. *By cokolwiek działo się w skali miasta i by mogło ono artykułować swoją tożsamość, muszą być ludzie, którzy się znają, są ot-*

[1] Trend forecaster – osoba, która przepowiada trendy, śledzi zjawiska społeczne, ekonomiczne i polityczne, naukowe jako czynniki trendotwórcze.

[2] Pecha Kucha (jap.) – Wymyślona przez Astrid Klein i Marka Dythama nazwa jest japońskim określeniem dźwięków rozmowy. Użyta została po raz pierwszy w 2003 na potrzeby spotkań o architekturze organizowanych przez nich w Tokio. Pierwotnie przeznaczona była do prezentowania projektów z dziedzin kreatywnych, np. sztuki, mody, architektury.

warci i z których wiedzy można wspólnie korzystać. Wtedy da się działać razem. Każde miasto tego potrzebuje. Będę się cieszył, jeśli na gruncie tego, co dziś robimy, dojrzeje coś większego, jakaś zintegrowana społeczność – mówił podczas rozmowy ze mną na łamach Tygodnika Koszalińskiego „Miasto".

Kultura = miasto

Najbardziej cenne wydają się altruistyczne założenia wszystkich podejmowanych przez tę społeczność projektów. We wszystkie – jako ich podmiot lub współuczestnik – wpisane jest miasto i mieszkańcy. Celem działań środowiska nie ma być tworzenie wsobnego tworu służącego autoprezentacji i wzajemnej adoracji, ale tworzywa, z którego korzystać mogą wszyscy bez wyjątku. Jednak jak każdej wspólnocie grozi mu hermetyczność i, już zauważalny, nadmierny momentami krytycyzm wobec idei pozostających poza kręgiem jego zainteresowań.

Pomysł sformalizowania społeczności pojawił się pod koniec roku i zauroczył kilkadziesiąt osób. Ze środowiskiem związani są m.in. dwaj fotografowie i absolwenci Politechniki Koszalińskiej – Wojtek Grela i Marcin Torbiński, organizatorzy Galerii Bezdomnej (GB), tygodniowej wystawy fotografii (obaj są jej pasjonatami), która okazała się hitem drugiego półrocza 2010 r. Wraz z trzema wydarzeniami spod znaku Pecha Kuchy oraz projektami pokazanymi w listopadzie w „Scenie", to przykłady nowoczesnego myślenia o kulturze – nie jak o zbiorze wydarzeń artystycznych, ale stanie, w którym miasto, dzięki sprzyjającej przestrzeni, mogłoby sukcesywnie trwać. Związek miasta i kultury wedle filozofii pokolenia aktywnych twórczo trzydziestolatków (to średnia wieku) wydaje się nierozerwalny.

Pokolenie to nie ma kompleksu prowincji (właściwie w ogóle pozbawione jest kompleksów), bo wykształcone, podróżujące, „internetowe" ma świat na ekranie komputera. Nie chce stąd wyjeżdżać, natomiast pragnie wpływać na otoczenie, w którym mieszka i pracuje. – *Wiele osób w ostatnich latach wróciło tutaj po studiach i ma potrzebę robienia czegoś* – zauważa Weronika Teplicka, artystka. – *Tak jak ja. Tu łatwiej mi żyć. Mam tu rodzinę. Często spotykam się z ludźmi, bo wszyscy mają czas. Kocham morze. Od kiedy jest Internet, to, co mogłabym robić np. w Nowym Jorku, mogę robić tu. Obejrzeć każdą galerię, muzeum, wystawę, przeczytać teksty z całego świata i zobaczyć prace wybranego artysty. To, co ja robię, mogą zobaczyć inni – w Japonii, Kilonii, gdziekolwiek*.

Jeżeli, jak twierdzi australijski ekonomista, David Throsby *kultura tworzy wspólnoty dostarczające nam poczucie tożsamości*, a *społeczeństwo to wspólnota tworzona przez kulturę,* budowanie tożsamości miasta powinno czerpać ze źródeł tutejszej energii, kreatywności i pomysłów. Także pieniędzy, choć warto wspomnieć, że Galeria Bezdomna i Pecha Kucha organizowane były bez czyjegokolwiek udziału finansowego, ściślej – bez pieniędzy w ogóle. Promocja obu tych wydarzeń też działała na zasadzie ruchu społecznego: informacja o wydarzeniu przekazywana była pocztą pantoflową, ogłaszana na Facebooku, w niewielkim stopniu w lokalnych mediach.

Sukces tych akcji to w ubiegłym, dość przezroczystym kulturalnie roku, zaskoczenie. Niszowe – wydawałoby się – projekty, wliczając w to także Koszalińskie Konfrontacje Młodych m-teatr, nieoczekiwanie urosły do rangi wydarzeń i dały prztyczka w nos instytucjom produkującym w pocie czoła swoje „sztandarowe imprezy". M-teatrowi *Almanach* poświęca osobne miejsce, ale warto przywołać powód jego powodzenia. Jest nim stworzenie alternatywy, w tym przypadku wobec polityki Bałtyckiego Teatru Dramatycznego, który sztukę współczesną wpisuje do repertuaru raczej sporadycznie. Piotr Ratajczak, reżyser, wymyślił forum młodej sceny, sprowadził tu plejadę jego gwiazd z ich eksperymentami i - okazało się, że teatr taki ma widza! Wyrobionego, młodego i licznego. Czy naprawdę musiał to odkryć ktoś spoza Koszalina?

Sztuka = nowoczesność

Przykład „m-teatru" obala mity, m.in. o niewybrednej koszalińskiej publiczności, która nie potrzebuje sztuki nowoczesnej (nie tylko w teatrze) i o lenistwie młodego koszalińskiego odbiorcy kultury – wywoływanym niczym duch podczas seansu spirytystycznego – ilekroć mowa o słabej frekwencji na miejskich imprezach. Dla widza tego ponoć znaczenie ma nawet brzydka pogoda, która zatrzymuje go w domu. Gdyby tak było do nieogrzewanych w październiku wnętrz Galerii Bezdomnej przyszłoby dwadzieścia, a nie kilkaset osób, podobnie jak na trzy realizacje Pecha Kuchy, podczas której się stoi, a czasem siedzi na gołej ziemi. Nie w ignorancji leży problem, ale w tym, że potrzeby jakiejś części twórców i mieszkańców miasta nie są zaspokajane. Ta część chętniej spogląda w kierunku sztuki progresywnej, która nie stoi w opozycji do rzeczywistości – bo za nią nie nadąża albo z niej świadomie rezygnuje – nie obraża się na jej rozwój, nowe środki wyrazu, narzędzia komunikacji i sposoby organizacji. Uwierają ją konwenanse, pociąga akcja i interakcja. Zrównuje twórcę z odbiorcą, czasem zamienia ich miejscami. Jest dynamiczna, wymagająca, nieoczywista. Jednym słowem – nowoczesna.

To symptomatyczne, że jej entuzjastami są głównie ludzie młodzi. Sceptyczni wobec oferty miejskiej. Bo czym ona zachęca? Związkowi twórcy wystawiają sztukę dla siebie. Nie licząc wyjątków, miejskie galerie pstrzą się pejzażem marynistycznym i kwietnym. Teatr brodzi w repertuarze biesiadnym. Filharmonia to instytucja ze względu na wyrafinowany repertuar – niszowa. Koszalińska Biblioteka Publiczna – edukacyjna. Narzekać chyba nie mogą jedynie kinomani (multipleks, kino studyjne, DKF z dobrym repertuarem, festiwal „Młodzi i Film", okazjonalne przeglądy).

Część koszalinian – w tym samorząd – jest powyższym wyborem i jakością usatysfakcjonowana. Młodzi widzą w tym systemie luki. Są najwidoczniej bardziej świadomi tego, że udostępnianie sztuki samo przez się kultury nie tworzy. Tej sferze potrzeba odświeżenia, zmiany, nowej jakości, choćby miała być przeszczepionym na lokalny grunt pomysłem z zewnątrz.

Jak na przykład Galeria Bezdomna. Wymyślili ją w 2002 r. fotograficy – Tomasz Sikora i Andrzej Świetlik. Prosta idea: *spontanicznie tworzone wystawy fotograficzne z udziałem każdego chętnego, w miejscach udostępnianych na ten cel na dzień, dwa lub tydzień np. w opuszczonych wnętrzach przed remontem* chwyciła od razu, bo opiera się na zasadzie absolutnej wolności i otwartości. Prace może pokazać amator i profesjonalista. Dowolny jest temat, technika, liczba prac i sposób ich prezentacji. Fotograficy swoje wystawy samodzielnie montują i demontują bez kuratora, selekcji ani cenzury. Jej oglądanie jest darmowe.

Galeria Bezdomna w naszym mieście zainstalowała się na tydzień (23-30 października) w dawnym, opustoszałym, budynku muzeum przy ulicy Piłsudskiego. Na trzech piętrach i w piwnicy – we wszystkich możliwych miejscach – około 80 osób, od amatorów po profesjonalistów, pokazało rozległe spectrum form, tematów i sposobów prezentacji fotografii tworząc niezwykłą przestrzeń, w której sztuka współistniała z zawartością albumów rodzinnych. Odbyły się tu też warsztaty i prezentacje fotograficzne oraz koncerty.

Tutaj też odbyła się trzecia Pecha Kucha Night. Jej zasady są proste: uczestnicy przygotowują prezentację dotyczącą dowolnego tematu, składającą się z 20. slajdów pokazywanych po 20 sekund każdy – by według założeń pomysłodawców, Astrid Klein i Marka Dythama, nie zanudzić uczestników. Koszalin jest jednym z siedmiu polskich miast, które należą do globalnej sieci Pecha Kuchy, która obejmuje już 400 miejsc na całym świecie. *Pecha Kucha jest pomysłem na zespolenie środowisk kreatywnych w Koszalinie* – mówi Gall Podlaszewski. – *Kiedy tu wróciłem po studiach, zauważyłem masę rozproszonych grupek ludzi, między którymi nie było żadnego przepływu informacji. Tu wszyscy na*

równych zasadach jesteśmy społecznością.

Siłą Pecha Kuchy jest jej swobodna i jednocześnie skodyfikowana formuła, co daje poczucie przynależności do wspólnoty, elity, która jest na coś umówiona. Przede wszystkim na otwartość i ciekawość wobec prelegentów, pokazujących aktywność na polu artystycznym, designerskim i hobbystycznym, a nawet politycznym (podczas jednej Pecha Kuchy wystąpił kandydujący wówczas na prezydenta miasta, Artur Wezgraj).

Październikową Pecha Kuchę obserwowało ponad dwustu widzów. Podobna liczba gości zjawiła się na wernisażu otwierającym Galerię Bezdomną. Żadna koszalińska wystawa w ostatnim czasie nie wzbudziła takiego zainteresowania, choć w przeważającej części prezentowano prace amatorskie. Sami organizatorzy nie kryli zaskoczenia. – *Nie spodziewaliśmy się takiej frekwencji* – mówił Wojtek Grela. – *Fajnie, że mogli się tu pokazać np. studenci wzornictwa, którzy nie mają częstej możliwości wystawić się poza uczelnią*.

Fakt, że adepci bądź co bądź jedynego artystycznego kierunku studiów w mieście są mało zauważalni, napawa smutkiem i nie dotyczy wyłącznie studentów. Problemem w ogóle jest brak miejsca-bazy, które integrowałoby wspomniane przez Galla Podlaszewskiego *rozproszone grupki osób.* Spełniało tę rolę przez chwilę BeWuA, klubokawiarnia artystyczna, daleka kuzynka Biura Wystaw Artystycznych, miejsca legendarnego i kultowego nie tylko dla koszalińskiej bohemy. Wszystko wskazywało na to, że uda się – poprzez wystawy, spotkania i koncerty, a przede wszystkim ludzi, budujących jego atmosferę – na dobre ożywić ducha tego miejsca. Niestety, kilka miesięcy temu BeWuA z dnia na dzień przestało istnieć, ku zaskocze-

Pecha Kucha. fot. Wojtek Grela

niu i rozżaleniu, m.in. bywalców Pecha Kuchy, która właśnie tu miała swoje pierwsze odsłony (26 kwietnia i 25 czerwca).

Młodzi = przyszłość?

Ważnym przyczółkiem młodych pozostaje od lat Galeria Scena. Jednym z głównych biegunów jej działalności od początku było stworzenie obszaru, na którym mogliby eksperymentować. Szczególne względy otrzymali studenci Instytutu Wzornictwa. Relacje między galerią a Politechniką Koszalińską są skomplikowane, ale „Scena" pozostaje dyżurnym poligonem młodej sztuki i – nie tylko artystycznych – inicjatyw.

Przewinęło się przez nią kilkunastu artystów, ale w kontekście tu omawianym warto wspomnieć o dwóch, wciąż z nią związanych: Tomaszu Rogalińskim, dwudziestoczterolatku, samouku – w opinii krytyków sztuki – wybitnym talencie, który dostrzegła już Polska (debiutował w Scenie w 2009 r. wystawą rzeźb) oraz cytowanej Weronice Teplickiej, m.in. autorce koncepcji nowego festiwalu sztuk współczesnych Koszart, który ma być *oprócz promocji artystów i Koszalina, cykliczną imprezą integrującą środowisko artystyczne z mieszkańcami. Artyści tworząc prace w przestrzeni miejskiej, odpowiadaliby na pytania dotyczące obecnej sytuacji miasta oraz przypominali o jego historii, przemianach związanych z sytuacją polityczną.* (Pierwszy Koszart planowany jest na październik br.).

To jeden z projektów połączonych hasłem „Wspólne Dziedzictwo/Shared Heritage", zaprezentowanych w „Scenie" w listopadzie 2010 roku Wydarzeniu towarzyszyła m.in. dokumentacja akcji „Pomeranian Super Bunker" i wystawa „Super Highway" (oba inicjowane przez Galla Podlaszewskiego) oraz prezentacja Centrum Sztuki Współczesnej, które wg Ryszarda Ziarkiewicza, szefa Galerii Scena, mogłoby stać się wspomnianą wcześniej bazą twórczą i wylęgarnią talentów.

Nazwiska Rogaliński i Teplicka przewijają się też w działaniach środowiska, któremu poświęcony jest niniejszy tekst. Bywa, że „Scena" na te działania udostępnia swoje wnętrza, jednak oba te „byty" sympatyzują ze sobą raczej na odległość, pozostając zjawiskami osobnymi, a nawet wobec siebie krytycznymi.

Scena ma jednak niebagatelne znaczenie w ubiegłorocznej aktywizacji pokolenia młodszych twórców, czego źródeł Ryszard Ziarkiewicz upatruje jeszcze głębiej: *Koszalin ma niebylejaką tradycję, która trwała w uśpieniu przez dwadzieścia lat, podtrzymywana przez prywatną działalność tutejszych artystów-uczestników plenerów osieckich, gdy miasto zapadło się w kulturalny dołek. W 2005 r. pojawiła się" Scena" i Robert Knuth, który podniósł kulturze poprzeczkę. Zaczęli pojawiać się nowi ludzie, studenci. Sytuacja dynamizowała się przez pięć lat, może nie nawiązując do Osiek bezpośrednio, ale podtrzymując tradycję awangardy. Teraz spijamy te soki. Przy czym trzydziestolatkowie nie mają potrzeby odwoływania się do zaprzeszłych wydarzeń. Patrzą na nie trzeźwym okiem. Nie mityzują przeszłości, ale „nakładają" na ten ogląd coś swojego. Czy to zalążek nowego środowisko twórczego? Absolutnie tak. Koszalin zaczął się budzić.*

Ryszard Nakonieczny

Intrygująca fuga na 4004 okna, beton, drewno, szkło i czerwony piaskowiec

czyli Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka w Katowicach

architektura i dyspozycja funkcjonalna:

Bryła obiektu, którego projekt powstał w koszalińskiej pracowni HS99 architektów Dariusza Hermana i Piotra Śmierzewskiego, jest zwarta, oszczędna i prosta. Składa się z dwóch prostopadłościanów: - dolnego, dużego o wysokości 4 kondygnacji, z których jedna zagłębiona została w gruncie - górnego, mniejszego o wysokości 3 kondygnacji.

Parter podzielony został na 3 pasy, z czego środkowy to pasaż komunikacyjny na osi północ-południe.

Po jednej stronie znajduje się biblioteka właściwa z czytelnią i wypożyczalnią, po drugiej pasmo usług towarzyszących, takich jak: sala konferencyjna, sala dydaktyczna, kawiarnia i poczta. Dwie kolejne kondygnacje przeznaczone zostały głównie na otwarte jednoprzestrzenne księgozbiory w wolnym dostępie do regałów dla czytelników oraz dwie czytelnie wydzielone transparentnymi ścianami ze szkła. Kondygnacje piwnicy zajmuje magazyn.

Najwyżej usytuowana mniejsza bryła kryje w sobie pomieszczenia zamknięte dla czytelników (dział opracowywania zbiorów oraz magazyny zwarte). Docelowo w budynku przewidziano możliwość zgromadzenia i magazynowania około 1,8 mln woluminów.

Całość wzniesiona w konstrukcji żelbetowej, słupowo-płytowej. Żelbetowe ściany posiadają perforację w postaci 4004 niewielkich wertykalnych otworów oraz 9 wielkich pasm horyzontalnych. Wewnątrz zastosowano szlachetne materiały wykończeniowe, między innymi drewno, stal nierdzewną, granit, szkło oraz czerwony piaskowiec, którym wyłożono całkowicie elewacje zewnętrzne.

Nie jest to architektura spektakularna, ale wyważona i skromna, oparta na wartościach fundamentalnych - bliskim, bezpośrednim kontakcie czytelnika z księgozbiorem bez zbędnych ograniczeń. Wszystko we właściwych proporcjach, zgodne z przeznaczeniem i funkcją obiektu. Architektura jest odpowiedzialna wobec kontekstu. Dziś nowoczesność jawi się już nie jako kwestia poszukiwania ekstrawaganckiej formy, ale raczej adekwatności wobec środowiska naturalnego, społeczeństwa, kontekstu miejsca i jego historii. Kontrolowana różnorodność. Architektura staje się tu pomostem międzykulturowym, łączącym skomplikowaną przeszłość miasta z przyszłością, dosłownie i w przenośni. To symboliczny obraz nowych Katowic, miasta poprzemysłowego o niemieckich korzeniach, zmierzającego ku nowej idei Miasta Ogrodów Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Miasta o charakterze organicznym, budowanym z różnorod-

nych warstw, łączących w jedno dziedzictwo historię pruskiego Kattowitz z przeszłością miasta II RP, Stalinogrodu, ośrodka socmodernistycznego progresu czasów PRL-u z najnowsza historią wolności, nowej, hybrydowej jakości metropolii wiedzy, nauki i kultury europejskiej. Obiekt biblioteki w tym kontekście ma być kolejną perłą z wielu już rozrzuconych w przestrzeni miasta, które połączy sznur-szlak kultury, meandrujący w trudnej, zaniedbanej, ale i ciekawej przestrzeni miasta. Ma stać się platformą integracji mieszkańców ze środowiskiem uniwersyteckim. Jasnym komunikatem, że przyszłość Katowic ma być osadzona w kulturze dostępnej dla każdego. Obiekt reurbanizuje więc pustkę po spalonym Sztucznym Lodowisku Torkat z okresu międzywojennego.

CINiBA w Katowicach. fot. Ryszard Nakonieczny

Architekci podjęli tu dialog z przeszłością, ale nie w dosłowny sposób. Ich strategią stała się ucieczka od ekstrawagancji, co jest także istotą ziemi górnośląskiej, ale również znakiem rozpoznawczym wszystkich projektów HS99. Architekci wpisali się znakomicie w charakter regionu. Ich pragmatyczna powściągliwość nie ulega pokusom mody, a katowicki gmach także jest skromny i wytworny zarazem, w swej ciszy i harmonii oszczędnych środków wyrazu. Jest nowoczesny, ale jednocześnie zakorzeniony w śląskiej tradycji. Z pozoru hermetyczny, zamknięty w sobie, ale przez to wzbudza ciekawość. Niczym perforowana szkatuła nie odsłania bezpośrednio swej tajemnicy. Stanowi nie tylko przybytek bibliofilów i serce uniwersytetu, ale dla mieszkańców wyznacza krwiobieg kultury miasta razem z innymi perłami nanizanymi na szlak. W zasięgu jest Rondo Sztuki, Spodek, park po rozebranym Zamku Wincklerów, nowa postindustrialna siedziba Muzeum Śląskiego, będą przyszłe gmachy Międzynarodowego Centrum Kongresowego wraz z siedzibą Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. Planuje się budowę Teatru Opery i Baletu, Centrum Nauki Skłodowska-Curie, rozstrzygnięto właśnie konkurs na projekt Wydziału Radia i TV UŚ w sąsiedztwie. Niedaleko też do Akademii Muzycznej, Biblioteki Śląskiej czy Katowickiego Forum Sacrum z Archikatedrą na czele. Prawdziwa plejada pereł i gwiazd architektury.

W tym sznurze czerwoną perłą jest właśnie CINiBA o naprzemiennym rytmie szczelinowej perforacji 4004 okien, których niewielkie rozmiary o szerokości 18 cm każde i zmiennej wysokości, nie wpuszczają do środka nadmiernej ilości światła. W dwóch czytelniach ta sama koncepcja mijankowego rozsuwania, lecz na zasadzie rewersu, czyli to co było oknem- fugą,

w środku staje się jej zaprzeczeniem - czyli formą pełną-ramą, a to co było nieprzezroczyste, we wnętrzu staje się otworem. Czerwony indyjski, łupany piaskowiec pojawia się jako ekwiwalent śląskiej cegły, lecz o innych zmiennych rozmiarach. Tradycyjne lico ściany regionalnego familoka poddane zostało przez architektów pewnej modulacji, z której wyłonił się zapewne pomysł na specyficzny charakter fasad. Każdy prostokątny panel elewacji ma tę samą szerokość, ale zmienną wysokość, malejącą ku górze. Na dodatek każdy panel jest lekko wypukły, co ma zapewnić grę światła. Rygor w kompozycji i rozstawie otworów, to także ukłon w kierunku miejscowej tradycji. Architekci w bardzo indywidualny i zarazem inteligentny sposób zinterpretowali kontekst miejsca, nie tylko ten pruski, ale nawet późno modernistyczny, pewne zbieżności ideowe wychwycić można w katowickich obiektach z lat 60., np. w Domu Handlowym Zenit przy Rynku (J.Jarecki, M.Król). Jednak jest to zawsze bardzo indywidualny sposób działania, bez dosłownych cytatów i naśladownictwa. Można rzec, że nawet jest dosyć przewrotną interpretacją, nie wprost, poprzez kontrapunkt. Z pozorną antytezą. W urbanistyce nie kontynuują podłużnego charakteru założenia kampusu, lecz wprowadzają oś poprzeczną na linii północ - południe jako kręgosłup pasmowego podziału budynku w parterze. Dzięki temu włączają bibliotekę w krwiobieg kultury miasta podając dłoń od północy ku Muzeum Śląskiemu (Riegler Rewie Architektem-Graz), a od południa przez rzekę Rawę przyszłemu budynkowi Wydziału Radia i TV (Jordi Badia-Barcelona i Grupa 5 Architekci-Warszawa). To inteligentna architektoniczno-urbanistyczna gra z historią, kontekstem, materiałem i przestrzenią, niczym instrumentalna muzyka rozpisana na beton, drewno, szkło i czerwony piaskowiec. To najwyższy poziom twórczego odniesienia się architektów do tzw. *genius loci*, bez kopiowania form i nastrojów, ale w drodze własnych poszukiwań, wpisujących się w framptonowski nurt krytycznego regionalizmu.

konkluzja:

Czy biblioteki są nam jeszcze do czegoś potrzebne? W drodze rozwoju wyodrębniło się 5 odmiennych kategorii budowli o tej wyjątkowej funkcji. Proces ten miał przebieg podobny do ewolucji muzeów, oferujących nieco inny asortyment gromadzonego dzieła. Przyszły status jednych i drugich budowli wydaje się być niepewny w dobie gwałtownie rozwijającego się Internetu i powszechnego dostępu do jego licznych cyfrowych zasobów. Zmierzch budo-

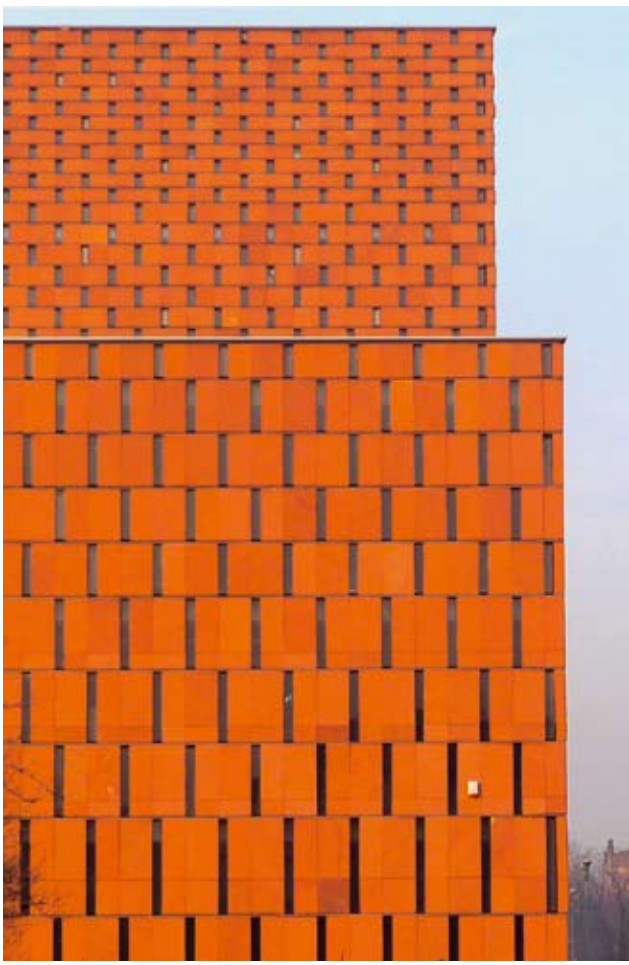

CINiBA w Katowicach. fot. Ryszard Nakonieczny

wy bibliotek może pozornie potwierdzać rozszerzająca się oferta zdygitalizowanych pozycji bibliograficznych, z których możemy korzystać o każdej porze bez wychodzenia z domu.

Najstarsze biblioteki oddziaływały na społeczeństwo przy użyciu kostiumów świątyń, klasztorów, zamków czy pałaców (I generacja) jak miało to miejsce w przypadku florenckiej Medicea Laurenziana (1524-1571) Michała Anioła, weneckiej Librerii Vecchia 1536-1588) Jacopa Sansovino, dwóch paryskich: St. Genevieve (1842-1850) i Nationale (1858-1868) Henri'ego Labrouste'a, poznańskiej Biblioteki Raczyńskich (1822-1829) zapewne Charlesa Perciera i Pierre- Francois Leonarda Fontaina, czy krakowskiej Jagiellonki (1931-1939) autorstwa Wacława Krzyżanowskiego. Ich język wydaje się być już nieco archaiczny i niezrozumiały.

CINiBA w Katowicach. fot. wizualizacja HS99

Dziś sakralizowanie bądź nobilitowanie byłoby chyba nieporozumieniem. Ustała potrzeba stosowania antycznych porządków, by budzić respekt u odbiorcy, a jednocześnie pomnażać splendor i prestiż fundatora. Radykalny modernizm przerwał wpływ narracji i symboliki na gromadzone piśmiennictwo. Pojawiły się biblioteki egalitarne (II generacja) w formie neutralnych pudełek o racjonalnej, prostej i higienicznej przestrzeni, łatwo dostępnej dla potencjalnego czytelnika jak fińska biblioteka w Viipuri (1925-1935) Alvara Aalto (dziś Wyborg na terenie Rosji) czy niezrealizowana genewska Biblioteka w kompleksie Pałacu Ligii Narodów (1927) Le Corbusiera, albo inna szwajcarska Biblioteka Narodowa (1927-1931) z Berna Alfreda Oeschgera, Emila Hostettlera i Josefa Kaufmanna. Powściągliwość formy reprezentują także najnowsze biblioteki: ta w Cottbus (2001-2005) szwajcarskiej pracowni Herzog de Meuron oraz Centrum Edukacyjne Rolex w Lozannie (2004-2010) autorstwa japońskich architektów Kazuyo Sejima i Ryue Nishizawa z pracowni SANAA.

Ale kolejna generacja wypiera poprzednią, proponując inny sposób komunikacji z czytelnikiem, który wymaga od architektury nie tylko spełnienia przyziemnych i racjonalnych potrzeb. Prostotę często kojarzy dziś z nudą, nie rozumiejąc właściwego przesłania architektury. Oczekuje czegoś więcej, indywidualizmu i wyjątkowej formy, która jest dla niego równie ważna, a może nawet ważniejsza, od podstawowego celu, któremu obiekt ma służyć. Powstają więc biblioteki nie tylko dla gromadzenia zbiorów, ale także dla spektaklu, który mają wytwarzać w przestrzeni, pożerając naszą ciekawość, czasami bardziej z narcystycznych pobudek niż dla rozwijania pędu ku wiedzy. Stając się często

prawdziwymi centrami rozrywki. Tak narodziła się III generacja obiektów, oferujących przede wszystkim markę budynku, a nie zgromadzonej w nim kolekcji. Architektura wtedy konkuruje z księgozbiorem o prymat. Przykładami tego typu rozwiązań są: The Lewis Library (2008) w Princeton Franka Gehry'ego, Biblioteka w Seattle (1999-2004) Rema Koolhaasa z pracowni OMA, paryska Bibliothèque Nationale de France (1989-1995) Dominique'a Perrault czy projektowana Narodowa Biblioteka Kazachstanu w Astanie o kształcie wstęgi Mobiusa (2009) duńskiej pracowni BIG, niezrealizowany projekt praskiej Biblioteki Narodowej Republiki Czeskiej (2009) Future Systems Jana Kaplicky'iego, a także warszawska Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego (1999) autorstwa Marka Budzyńskiego.

Dla kolejnej, IV generacji, celem nadrzędnym jest udostępnianie wiedzy, przy użyciu maximum kultury, emanującej z zastosowanego rozwiązania architektonicznego, zarówno w relacji do zgromadzonych zbiorów, ale także wobec otoczenia i szeroko rozumianego kontekstu miejsca. Egzemplifikacją takiego właśnie skomunikowania się z otoczeniem jest katowicki projekt biblioteki autorstwa pracowni HS99. Widać tu wielki szacunek dla sąsiedztwa i subtelność w żonglowaniu formą, takt głębokiej świadomości miejsca owocującej wyważonym podejściem do kontekstu. Jak długo ta generacja przetrwa? Czy zastąpi ją kolejna? Trudno dziś wyrokować. Może w niedalekiej przyszłości nastąpi upadek i schyłek popularności bibliotek, a może nawet brak potrzeby budowy nowych obiektów w ogóle? Gdyby tak się stało, mielibyśmy do czynienia z ostatnią, skrajną fazą ewolucji bibliotek. Wówczas to idea uwolniłaby się całkowicie od materii i formy. Fizyczny gmach architektonicznej powłoki, który zapewnia ochronę i odpowiednie udostępnianie zbiorów przestałby istnieć. Przerażające choć przecież możliwe, bo w erze globalnej digitalizacji, Internet pomieścić może każdą treść, która trafi do każdego odbiorcy bez pośrednika w postaci architektury. Ale czy nie stracimy wówczas czegoś, co jest istotą procesu edukacji, czyli tzw. wiarygodności źródła i wyjątkowej aury, a nawet magii, którą to źródło czyli książka, bądź inne dzieło sztuki wytwarza? Tego póki co, żadne najdoskonalsze nawet medium nie może jeszcze zaoferować, więc nie martwy się o biblioteki, nie zestarzeją się, przynajmniej na razie. Nie widać dla nich jeszcze zagrożenia. Przeciwnie, przeżywają nawet renesans wynikający z łączenia tradycyjnych funkcji z zabawą i spektaklem, oferując czytelnikowi inne sposoby przekazu

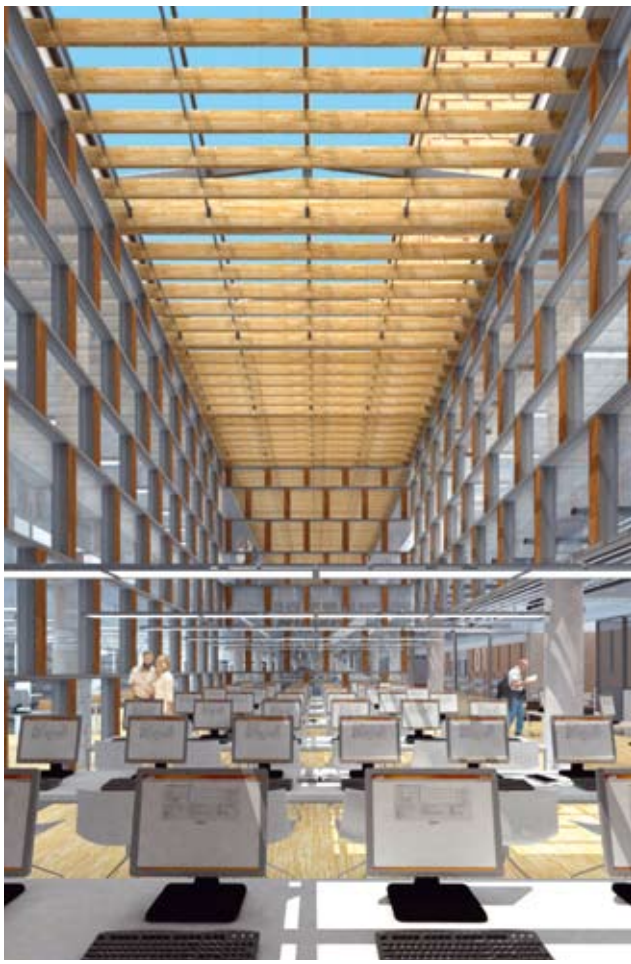

CINiBA w Katowicach. fot. wizualizacja HS99

jak film czy dźwięk w modnej dziś oprawie pod hybrydowym hasłem Mediateki. Ale do czasu. Apokaliptyczna wizja może się kiedyś spełnić...

Wykorzystano źródła:
1. Cudnik Zbigniew, Skarbnice wiedzy. Studium budowania bibliotek, Ossolineum,
Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk 1980
2. Frampton Kenneth, Critical Regionalizm; modern architecture and cultural identity
[w:] Modern architecture a critical history, Thames & Hudson Word of art., London, New York 2007, s.314-327
3. Konkurs na koncepcje Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Uniwersyteckiej UŚ w Katowicach [w:] Architektura & Biznes 2/2003, s.65-74
4. Pevsner Nikolaus, A history of building types, Princeton University Press, Princeton, London 1997
5. Roth Manuela, Library, architecture + design, Verlagshaus Braun, Salenstein 2011
6. Rutkowski Roman, Wojciechowski Łukasz, University library, Katowice [w:] A10 4/2005, s.12-13
7. Sobczyk Iwona, Piękno z tysiącami okien [w:] Gazeta Wyborcza Katowice, s.1
8. The Silesian University Library [w:]1000 x european architecture, Verlagshaus Braun, Salenstein 2007, s.854
9. Widera Barbara, Fenomen mediateki- nowego zjawiska w krajobrazie miasta [w:] Archivolta 1(41)/2009, s. 6-11
10. Zasoby internetowe: www.ciniba.us.edu.pl, www.hs99.pl

FILM

Anna Serdiukow

Kino i młodość nigdy się nie... zestarzeją

Festiwal „Młodzi i Film"

Niech tytułowe, utrzymane w nieco ironicznym tonie słowa autorstwa Zygmunta Kałużyńskiego posłużą za punkt wyjścia do dyskusji o jednym z najciekawszych festiwali filmowych w Polsce. Choć koleje losu koszalińskiej imprezy były zawiłe, na festiwalowej mapie kraju pozostaje ona jednym z cenniejszych branżowych wydarzeń. Fakt, poziom prezentowanych filmów bywa różny, najważniejsze jednak, że niezmienna od lat jest sama idea. Oto idzie młodość!

Szczerość za szczerość

Nie bez powodu tytuł nawiązuje do słów Zygmunta Kałużyńskiego. Niezapomniany krytyk filmowy prowadził dyskusje „Szczerość za szczerość" od 1981 roku – nadał im kształt i formułę, które stały się wizytówką festiwalu. Na długo też wyznaczyły ramy przedsięwzięciu – obok prezentacji etiud studenckich i debiutów pełnometrażowych, ważny był również aspekt wymiany doświadczeń i poglądów oraz edukacyjny charakter spotkań, czyli przybliżanie sztuki filmowej i wiedzy na temat kina młodej publiczności. Kałużyński w swojej książce „Pamiętnik Orchidei" wymienił w krótkim zestawieniu tematy i motywy, które najczęściej podejmował w swoich publikacjach. Krótko uzasadnił również, jaki miały one wpływ na jego rozumienie, odczuwanie kina. Cytuję za autorem:

Religia. Kino stara się ilustrować obydwa Testamenty.

Wojna. Kino przechodzi ewolucję: od batalistyki do losu indywidualnego.

Muzyka. Kino nie może uwolnić się od sentymentalnego obrazu kompozytora, kosztem sztuki muzycznej.

Psychoanaliza. Kino usiłuje wciągnąć nas we wnętrze psychiki.

Czas. Kino podejmuje eksperyment: jak przekazać widzowi poczucie względności czasu?

Tradycja. Kino polskie uwikłane w ekranizację klasyków narodowych zderza się z ich anachronizmem.

Szpiegostwo. Kino jako krytyk polityki.

Oszustwo. Kino broni anarchii: może ona być pożyteczna.

Wszechstronność. Czy kino potrafi dać odczuć to, co niewidoczne.

Festiwale. Święta kina – międzynarodowe spotkania – zmieniają znaczenie.

Książka została wydana w 2003 roku. Zdanie: *festiwale zmieniają znaczenie* można rozumieć podwójnie. Same festiwale od tego czasu zmieniły swoje oblicze i wymiar, ale ważniejsza jest chyba ta druga wartość. Festiwale zmieniają znaczenia kina – i ta idea była zawsze bardzo bliska Kałużyńskiemu, dlatego też zgodził się prowadzić „Szczerość za szczerość" – festiwale skracają dystans między widzem a kinem, między widzem a twórcą. Są przestrzenią wymiany, dyskusji, refleksji, nierzadko też sporu, dla niego to był ten pomost porozumienia, najważniejszej interakcji na linii publiczność – film.

Piszę to nie bez powodu. Zygmunt Kałużyński, zaraz za Carlem Gustavem Jungem, uważał, że na rozwój emocjonalny ludzi największy wpływ miały dwa wynalazki – samochód i kino. Uważał także, że edukacja filmowa jest jedną z najważniejszych – musimy sami wychowywać

sobie swoją publiczność. Skoro ta edukacja nie istniała (w Polsce w dalszym ciągu nie istnieje, wciąż jest bagatelizowana) odpowiedzialność ciąży na festiwalach. Formuła festiwalu „Młodzi i film" pozwalała zawsze na dialog z tą najmłodszą publicznością, ale niezwykłość imprezy polega na tym, że wychowywała nie tylko widzów, ale i twórców. To w Koszalinie młodzi reżyserzy oraz studenci kierunków filmowych, mogli i wciąż mogą pokazać swoje debiuty – co cenniejsze, mogą pokazać swoje pierwsze wprawki, szkolne próby zmierzenia się z materią filmową, z formą, z treścią, z historią, wreszcie mogą zmierzyć się z publicznością i sprawdzić jak wypada dyskurs z tym najważniejszym odbiorcą (nie z krytykiem, nie z dziennikarzem, ale właśnie z szeregowym widzem). „Młodzi i film" nie dzieli autorów na tych spełnionych, uhonorowanych, doświadczonych i na tych początkujących, wciąż bardziej amatorów niż profesjonalistów – tutaj studenci z polskich szkół filmowych są pełnoprawnymi uczestnikami wydarzenia, nie czują się jak w piaskownicy wobec starszych kolegów. Dzieci i ryby głosu nie mają? Tak często bywa na innych festiwalach, ale nie w Koszalinie, gdzie najmłodsze pokolenie filmowców stanowi – według mnie oczywiście – esencję festiwalu.

Młodzi mają głos

Każdy, kto zaczyna w tej branży, trafia do Koszalina – mówiła rok temu aktorka i reżyserka Renata Gabrielska, która zasiadała w jury Konkursu Debiutów Krótkometrażowych. *Mój pierwszy film, prosty dokument pt. „Janek", był pokazywany na festiwalu „Młodzi i film". Byłam wtedy w Krakowie, zadzwonił telefon, dowiedziałam się, że mój dokument został wyróżniony w Koszalinie. „Młodzi i film" to festiwal, na którym pokazuje się swój pierwszy lub drugi film, więc z kolejnym dokumentem również trafiłam do Koszalina. I ten film wygrał festiwal! Co mogę powiedzieć, ta filmowa impreza jest mi zdecydowanie przychylna. Ale to nie koniec moich związków z Koszalinem*

Festiwalowa publiczność to w większości, choć nie tylko... młodzi i film. fot. Ilona Łukjaniuk

– efektem otrzymania nagrody była moja obecność w tym roku w składzie jury konkursu krótkich metraży. Przez cztery dni zobaczyłam ponad 70 filmów! Dokumenty, fabuły, animacje. Czuję fajną wrażliwość młodych reżyserów, ale myślę, że wciąż jest problem ze scenariuszem. Strona literacka jest piętą achillesową polskiego kina, nie mówię tu niczego nowego, ale tak jest. Ludzie zamykają się w tematach hermetycznych, mało uniwersalnych, nie ma historii, które mogłyby zostać odczytane za granicą. Szkoda. Ale było kilka bardzo dobrych filmów, kilka odkryć reżyserskich. Poza tym, muszę to przyznać, trudno jest oceniać innych. Kino to bardzo subiektywna sprawa. Jak pomyślę, bo sama wiem, ile ci ludzie włożyli pracy w pierwsze filmy, ile kosztowało ich to wyrzeczeń i poświęcenia... A potem przychodzi taki juror i jednym słowem film niszczy! Dlatego jestem bardzo ostrożna w ocenach i sądach.

Jury to jedno. Swoje sądy i oceny powinno zachować do końca w tajemnicy, dopiero potem, przyznając nagrody, musi je odpowiednio uzasadnić. Co innego publiczność. Koszalińskie rozmowy „Szczerość za szczerość" zawsze charakteryzowały się wysoką temperaturą prowadzonych dyskusji. Dla niektórych twórców był to powód wielkiego stresu (paru nie przyjechało...), znaleźli się jednak i tacy, którzy traktowali spotkania z publicznością jak wyzwanie. Jako pierwszy sprawdzian dla filmu. Tym większe ma to znaczenie dla twórców młodych, wchodzących dopiero w zawód. Ich obecność na festiwalu daje im możliwość pierwszej polemiki z publicznością – niekoniecznie polemiki, ale przede wszystkim wymiany poglądów, refleksji, odczuć na temat własnych, pierwszych dokonań. Według mnie Konkurs Debiutów Krótkometrażowych jest tutaj najważniejszym aspektem imprezy, punktem, który najpełniej realizuje ideę „Młodzi i Film". Uczestnicząc w różnych innych wydarzeniach filmowych często możemy odnieść wrażenie, że początkujący autorzy kina są traktowani z przymrużeniem oka, nieco pobłażliwie, czasem jak przedszkolaki, które nim przejdą do starszaków muszą „odbębnić" swoje w filmowej „zerówce".

To wrażenie potwierdza Michał Chaciński, nowy dyrektor artystyczny Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Krytyk i dziennikarz filmowy już zapowiedział zmiany na FPFF – zmiany odnośnie właśnie najmłodszych twórców. W Gdyni funkcjonował podział na finałowe małą i dużą galę. Na pierwszej przyznawano nagrody tym „aspirującym" młodym filmowcom, na drugiej honorowano filmy uznanych i doświadczonych autorów. *Pozostawało przy tym jakieś takie dziwne wrażenie, moim zdaniem niepotrzebne, że mała gala generowała taki podział – tutaj się dzieci bawią w piaskownicy, a tam, na prawdziwej gali, dorośli naprawdę budują domy* – tłumaczy Chaciński. *Słyszałem od ludzi, którzy pokazywali tam swoje filmy, że oni się czują twórcami drugiej kategorii. Po co ten podział? Ja przede wszystkim chciałbym przywrócić rangę tym najlepszym etiudom studenckim. To jest przyszłość polskiego kina, za pięć, siedem lat to oni będą w konkursie głównym. Chciałbym, aby w Gdyni od razu poczuli się jak u siebie w domu, a nie musieli aspirować do tego, żeby się z dorosłymi pobawić.*

W nawiązaniu do tej wypowiedzi – Michał Chaciński stara się wygenerować w Gdyni to, co od dawna obecne jest w Koszalinie. Największą wartością festiwalu „Młodzi i film" jest możliwość obejrzenia pierwszych filmowych etiud studenckich. Za parę lat, kiedy będziemy oglądać pełne kinowe metraże tych młodych filmowców, będziemy mogli odwołać się do ich i naszych pierwszych doświadczeń z festiwalu w Koszalinie. Będziemy w stanie przywołać ich wczesne propozycje, porównać, jak się od tego czasu rozwinęli, z czego wyszli i gdzie powoli docierają. To wartość bezcenna koszalińskiej imprezy. Nie tylko, dlatego, że pokazuje filmy, których rzadko, albo w ogóle nie mielibyśmy szansy zobaczyć. Właśnie Konkurs Debiutów Krótkometrażowych (fabuł, dokumentów i animacji) umożliwia poznanie pełnego spektrum twórczości przyszłych reżyserów z dyplomem. Co najważniejsze, oni tutaj nie wchodzą

w rolę petentów. Oni tu są w domu. U siebie. Dla mnie to główne i najważniejsze ogniwo festiwalu, myślę, że to jego największa zaleta.

Co to jest debiut?

Jak czytamy w regulaminie KFDF: *Do Konkursu Pełnometrażowych Debiutów Fabularnych mogą być zgłaszane polskie debiuty fabularne, telewizyjne i kinowe, których minimalny czas projekcji wynosi 60 minut*. To jest jeszcze jasne, choć w związku z niestabilną sytuacją w Telewizji Publicznej debiuty telewizyjne, czyli tak zwane średnie metraże, dziś prawie w ogóle nie powstają. Jednak słowo debiut wciąż jawi się jako bardzo tajemnicze, wciąż nie wiadomo do końca jak je należy rozumieć i co się za nim kryje. W zeszłym roku doszło do ciekawej sytuacji na koszalińskim festiwalu, co zresztą zostało opisane w miesięczniku FILM. Jestem współautorką artykułu (napisałyśmy go wspólnie z Olą Salwą), który zaczynał się od wstępu z przymrużeniem oka:

„Rozwiąż test, kto z nich jest debiutantem:
Katarzyna Rosłaniec, lat 29, świeżo upieczona absolwentka szkoły filmowej,
Krzysztof Jankowski, lat 30, amator,
Marcin Wrona, lat 36, z czterema sztukami teatru telewizji na koncie,
Maciej Pieprzyca, lat 45, reżyser filmów telewizyjnych i wykładowca w szkole filmowej...
...W polskim kinie wszystkie odpowiedzi są prawidłowe".

To jest chyba największa bolączka zresztą nie tylko tego festiwalu. O ile w przypadku Konkursu Debiutów Krótkometrażowych nie ma wątpliwości, jakie kryteria powinny być brane pod uwagę przy dokonywaniu selekcji, tak w przypadku Konkursu Pełnometrażowych Debiutów Fabularnych te kryteria nie są tak oczywiste. Dzięki temu obok siebie startują amatorzy oraz profesjonaliści, profesorowie i uczniowie, młodzi reżyserzy i doświadczeni twórcy. Czy to błąd? Część opinii mówi o tym, że to najlepszy dowód na to, że kino jest najbardziej demokratyczną ze sztuk, że jest miejsce dla wszystkich. *Gdyby ktoś patrzył na dyplomy szkoły filmowej czy Quentin Tarantino miałby szanse na Oscara?* – padło pytanie podczas zeszłorocznej dyskusji „Szczerość za szczerość". Problem w tym, że my wciąż szukamy polskiego Tarantino. Szukamy, szukamy i nic.

No właśnie, niektórzy uważają, że zbyt liberalną selekcją koszaliński festiwal nie przybliża się do wyłonienia tych najbardziej utalentowanych. Są i tacy, którzy mówią wprost, że taki kalejdoskop twórców w Konkursie Głównym odbiera mu prestiż i krzywdzi samych autorów. Określeniu debiutant wymykał się również Maciej Pieprzyca (film „Drzazgi"), nie tyle z racji wieku, czy doświadczenia akademickiego, ile z racji kilku filmów-debiutów na koncie (w tym realizacji dla telewizji). To jednak wina niejasnych i różnych słownikowych, regulaminowych pojęć, które nie precyzują dokładnie, czym jest debiut. W regulaminie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej widnieje zapis, który mówi, że o dofinansowanie z tej samej puli środków PISF w ramach Priorytetu I „Debiuty Fabularne" mogą się ubiegać artyści, którzy nie zrobili żadnego filmu oraz ci, którzy chcą zrealizować swój drugi film. To stwarza spore możliwości – debiutantem można być przez kilka sezonów festiwalowych. Maciej Pieprzyca to jeszcze trochę inny przypadek, jego film „Drzazgi" dostał nagrodę za Najlepszy Debiut w Gdyni w 2008 roku, dziewięć miesięcy później ten sam film tylko delikatnie przemontowany trafił na festiwal do Koszalina.

Pytanie pozostaje otwarte – czy można zestawiać filmowców, którzy realizowali swoje debiuty w profesjonalnych warunkach, z tymi, którzy kręcili je za półdarmo, z przyjaciółmi, na pożyczonej kamerze? Marcin Wrona twierdzi, że nie. Młody reżyser nagrodzony Jantarem w 2009 roku za najlepszy scenariusz do filmu „Moja krew", uważa, że taka sytuacja stwarza nierówne szanse i jest wynikiem lekceważenia twórców. Z drugiej strony są zwolennicy otwartej, szeroko pojętej selekcji – mówią, że tylko w Koszalinie profesor może przegrać z uczniem, tylko na „Młodzi i Film" w jednym konkursie mogą rywalizować

ze sobą produkcje dofinansowane prze PISF i te zrobione w sposób niezależny (tak jak świetny debiut reżyserski Arkadiusza Jakubika „Prosta historia o miłości" w zeszłym roku). To właśnie wyrównuje szanse, wskazuje na pasjonatów, którzy nigdzie indziej nie mieliby możliwości zaprezentować swoich pomysłów. Jedynym kryterium pozostaje... młodość. Tak naprawdę wiek też jest często kwestią umowną, ale młodość, czy jak chcieliby to widzieć organizatorzy „młodość ducha" to atrybut, który solidaryzuje wszystkich. *Bo któż z nas nie chciałby pozostać młody?* – pytał retorycznie dwa lata temu jeden z debiutantów zbliżający się do swojej... czterdziestki! Kino daje nam taką możliwość...

Oto idzie młodość

Choć poziom prezentowanych filmów bywa... dyskusyjny, istotne jest to, że zestawienie tytułów charakteryzuje się dużą różnorodnością. Rok 2010 wypadł dobrze, choć zabrakło tak mocnych tytułów jak „Galerianki" czy „Moja krew". Na szczęście w selekcji Konkursu Głównego nie straszyły już takie produkcje jak „Jan z drzewa" Łukasza Kasprzykowskiego poziom z roku na rok jest coraz bardziej wyrównany. Nie było ewidentnych wpadek, niestety było sporo tytułów uśrednionych, nijakich, lub po prostu nieudanych. Rozumiem jednak, że festiwal „Młodzi i film" jest niejako panoramą tego, co się dzieje na polu debiutów, dlatego pokazuje różne odsłony, różne skrajne bieguny dokonań młodych twórców. Było kilka zaskoczeń, tym bardziej, że selekcjonerzy włożyli sporo pracy, by pokazane na „Młodzi i Film" obrazy miały swoje premierowe odsłony – tak było z laureatem nagrody głównej, filmem „Lincz" Krzysztofa Łukaszewicza, zdobywcy „Wielkiego Jantara 2010". To także wynik zmiany daty odbywania się imprezy – z czerwca na wrzesień. *Chcieliśmy, aby w Koszalinie pojawiły się nowe debiuty, a nie tylko te, które wcześniej pokazywano w Gdyni* – wyjaśnia Jacek Paprocki, dyrektor festiwalu. *Szukanie ich wymagało czasu. Mie-*

Jury XXIX Festiwalu „Młodzi i Film" przewodniczył reżyser Robert Gliński. fot. Ilona Łukjaniuk

siąc, który dzieliłby obie imprezy, nie dawał na to szans, a nie mogliśmy zawieść naszych widzów i gości. Zwłaszcza po tym, jak PISF uznał ubiegłoroczny festiwal „Młodzi i Film" za najlepsze wydarzenie filmowe. Taka nagroda zobowiązuje.

Prezentowane i nagradzane na festiwalu filmy udowadniają, że świetnie sobie potem potrafią poradzić poza festiwalowym obiegiem. „Galerianki" Katarzyny Rosłaniec, które zdobyły „Wielkiego Jantara 2009", odniosły sukces frekwencyjny w kinach – na film poszło ponad 500 tysięcy widzów. Oznacza to, że kino młodego twórcy potrafi przebić się w zalewie filmowych propozycji do współczesnego widza. Werdykt jury w Koszalinie został pozytywnie zweryfikowany przez regularną publiczność kinową, a to ważne, jeśli nie najważniejsze potwierdzenie słuszności sądów dla przyznających nagrody. Co więcej, sukces polskiego filmu w kraju przełożył się na znakomite przyjęcie filmu za granicą. „Galerianki" to laureat wielu prestiżowych nagród na międzynarodowych festiwalach. Miejmy nadzieję, że impas, o którym mówił Dariusz Gajewski, reżyser, przewodniczący rady programowej Studia Munka i członek jury Konkursu Debiutów Pełnometrażowych w zeszłym roku, odchodzi do przeszłości: *Polskie debiuty niespecjalnie odbiegają poziomem od debiutów europejskich. Tutaj dotykamy jednak innego problemu – wychodzenia z Polski na świat. Opowiadanie o nas innym: co się u nas dzieje, jacy jesteśmy? To wydaje się jednym z głównych celów robienia filmów. W naszym kinie to się nie odbywa, w naszych filmach jest bardzo mocno obecny polski kontekst kulturowy, brakuje im uniwersalnego wymiaru, przez co są kompletnie niezrozumiałe za granicą. A filmy, które rezygnują z kontekstu polskiego, traktowane są dość obojętnie. I to jest problem. Bo jeszcze nikomu nie udało się tego połączyć i pogodzić.*

Jak się okazuje udaje się to łączyć i godzić coraz lepiej, nie tylko autorom pełnych metraży, ale także twórcom startującym w Konkursie Debiutów Krótkometrażowych. Film Katarzyny Klimkiewicz „Hanoi-Warszawa" prócz „Małego Jantara 2010" w Koszalinie zdobył szereg nagród zagranicznych (m.in. w Cottbus, Alcalá de Henares, Batumi oraz Europejską Nagrodę Filmową). Podobnie Kuba Czekaj i prezentowany rok temu na festiwalu jego film „Ciemnego pokoju nie trzeba się bać", zdobywca wyróżnienia za najlepszy krótkometrażowy film fabularny. Obraz został uhonorowany w Kosowie, Vancouver, Avance, Tiranie i Kioto. To znak, ważny sygnał, że polskie filmu potrafią być zrozumiane i należycie odczytane przez zagraniczną publiczność i krytyków. Te nagrody to bez wątpienia dowód na to, że młodzi autorzy coraz lepiej władają uniwersalnym językiem kina.

Kino producenckie

Zeszłoroczny festiwal ujawnił jeszcze jedną tendencję obecną w polskim kinie już od jakiegoś czasu, jednak nigdy wcześniej na „Młodzi i Film" nie była ona tak zauważalna. Chodzi o „kino producenckie". Producentem zarówno zwycięzcy zeszłego roku, czyli filmu „Lincz", jak i „Galerianek", najlepszego filmu Koszalina w 2009 roku, była Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. Włodzimierz Niderhaus, dyrektor WFDiF zapewnia, że co roku w budżecie i planach produkcyjnych Wytwórni jest miejsce dla kilku filmów debiutanckich. Nie ma znaczenia dorobek autora, liczy się tekst i chęć współpracy. Realizujący swe filmy w WFDiF młodzi autorzy przyznają, że spotykają się z konkretnym i poważnym podejściem do swoich propozycji, jednocześnie potwierdzają, że decydując się na pracę z WFDiF trzeba liczyć się z mocną pozycją producenta i jego wizją ostatecznego kształtu filmu. Włodzimierz Niderhaus w wypowiedzi dla miesięcznika KINO tak podsumował współpracę z debiutantami: *Jeżeli potrafimy porozumieć się z autorami i w wyniku tych dyskusji uciera się w finale jakiś ostateczny kształt filmu, to projekt kierowany jest do produkcji. Jeśli jednak nasze widzenia tekstu i filmu, który miałby na tej podstawie powstać, różni się znacznie od propozycji autora i nie potrafimy ich pogodzić, to wtedy odmawiamy naszego udziału w produkcji. [...]*

Ja uważam, że trzeba się zachowywać profesjonalnie. Najtaniej jest poprawiać na papierze. Kiedy film już wchodzi do produkcji, to wszelkie poprawki są tzw. dopustem bożym... Oczywiście, jeśli w trakcie realizacji pojawi się coś nieprzewidzianego, ale genialnego, to nie zamkniemy na to oczu i uszu. Ale podstawowa zasada jest taka, by pracować nad tekstem tak długo, jak to jest możliwe. Najwyraźniej fuzja świeżej pasji i doświadczenia się sprawdza, zarówno „Galerianki" jak i „Lincz" zdobyły uznanie jury, festiwalowej publiczność i później widzów w kinach.

Kinem producenckim można również nazwać pokazywane w Koszalinie produkcje TVN – „Krzysztofa" Dariusza Twaroga oraz „Ciszę" Sławomira Pstrąga. To filmy, które powstały w telewizyjnej serii „Prawdziwe historie", one też zapełniają lukę tak zwanego średniego metrażu (ok. 60 minut), który kiedyś z powodzeniem realizowany był w Telewizji Publicznej (w telewizyjnym cyklu „Pokolenie 2000" odnosili swoje pierwsze sukcesy Maciek Pieprzyca z „Inferno", Marek Lechki z „Moim miastem", Iwona Siekierzyńska i jej „Moje pieczone kurczaki" czy Artur Urbański i „Bellissima"). Twaróg i Pstrąg to reżyserzy związani ze stacją TVN od dawna, pracowali przy programach „Detektywi" i „W-11". Ich filmy „Krzysztof" i „Cisza", opowiadające o wydarzeniach inspirowanych faktami, to zdecydowanie bardziej kino „producenckie" niż „reżyserskie" – obrazy te mają określony telewizyjny format i edukacyjne przesłanie – jednak Nagroda Publiczności dla „Ciszy" sugeruje, że ta formuła znajduje swoich zwolenników i trafia do młodej koszalińskiej publiczności.

Istotnym elementem festiwalu są również spotkania, nazwijmy je „okołofilmowe". W zeszłym roku w Koszalinie miały miejsce branżowe debaty, które przybliżały publiczności (i samej branży) tematy związane z kinem, ale niekoniecznie dotyczyły one artystycznej wizji twórców. Motywem przewodnim była rola producenta, dofinansowanie oraz idea międzynarodowych koprodukcji. O tym rozmawiano podczas zorganizowanej przez TVP Kultura debaty na temat produkcji filmowej. Zaproszono do dyskusji kilku młodych, ale już z sukcesami na koncie producentów. Sytuację w Polsce można było porównać z kryteriami i możliwościami w Wielkiej Brytanii. Na kolejnym spotkaniu o brytyjskiej branży filmowej mówiły producentka Rachel Robey (Wellington Film) i Weronika Ruszecka (British Council). Robey, znana z tego, że często wspiera i stawia na debiutantów, tłumaczyła, że to normalne, iż w Europie wzrasta rola producenta. Jak sama przyznała, to producent ponosi największe ryzyko finansowe, dlatego musi mieć możliwość ingerencji w film. Co nie znaczy, że może lekceważyć zdanie reżysera, jednak nie może być tak, że jego rola zostanie zminimalizowana do wymiaru budżetowego.

Spotkania, debaty, dyskusje to bardzo cenna i ważna strona „MiF". Wzbogacają festiwal o merytoryczny, środowiskowy dialog, wymianę – często międzypokoleniową oraz międzynarodową – doświadczeń i refleksji. Mam nadzieję, że w przyszłych latach oferta spotkań będzie kontynuowana, a nawet zostanie poszerzona o inne ważne branżowe kwestie. Liczę również na silniejszą obecność scenarzystów oraz przedstawicieli świata literatury. Dobrze byłoby zobaczyć młodych autorów związanych z komiksem czy z teatrem – wreszcie, wspaniale byłoby, gdyby koszaliński festiwal zaczął generować wymianę poglądów pomiędzy twórcami różnych dziedzin sztuki. To zapewne podziałałoby odświeżająco na samo kino, przy okazji sądzę, że ośmieliłoby publiczność do czynnego uczestniczenia w rozmowach „Szczerość za szczerość".

Tegoroczny festiwal

W tym roku koszalińska impreza będzie obchodzić swoje trzydziestolecie. Okrągła rocznica to nie tylko czas życzeń i podsumowań tego, co dobre, to również okazja do rozliczenia się

z błędami i poprawy oraz stworzenia planu, który pozwoliłby na to, by „Młodzi i Film" umocnili swoją pozycję.

W momencie pisania tego tekstu nie były znane jeszcze tytuły konkursowe. Nie wiadomo zatem w jakim kierunku poszła festiwalowa selekcja – czy było z czego wybierać, czy wybór był bardziej radykalny, czy też może selekcjonerzy byli łagodni i wyrozumiali dla zgłoszonych filmów i zakwalifikowali do najważniejszej sekcji produkcje, które wzbudzą kontrowersje. Zobaczymy we wrześniu, ale już teraz, patrząc wstecz, można spróbować wskazać na dwa aspekty festiwalu, które zapewne nie ulegną zmianie. A szkoda.

Wydaje mi się, że festiwal cierpi na dwie bolączki. Przede wszystkim brak odpowiedniej oprawy, reklamy czy też promocji, która rozpowszechniłaby jego charakter i profil wśród publiczności ogólnopolskiej. Może należałoby się zwrócić do szkół i uniwersytetów? Na pewno festiwal musi wyjść poza obręb miasta, zachęcić publiczność z innych miast i regionów, by przejechała do Koszalina w odpowiednim czasie (fatalne połączenie kolejowe z większymi polskimi miastami z pewnością nie zachęca do tej wycieczki). Oczywiście, by ten postulat mógł zostać spełniony festiwalowa infrastruktura powinna być dużo lepiej rozwinięta. To zaplecze, którym zazwyczaj dysponują imprezy zagraniczne, na polskich festiwalach nie istnieje; wciąż trudno o odpowiednią bazę noclegową czy nowoczesne obiekty. No właśnie, skoro mowa o obiektach. Największym problemem festiwalu „Młodzi i film" jest wciąż brak kina z prawdziwego zdarzenia. Kina, w którym nie tylko widzowie by się nie męczyli, ale też autorzy filmów, którzy zbyt często widzą swe produkcje pozbawione kolorów, światła, czy słyszą zniekształcony dźwięk. To z pewnością wielkie inwestycje, wielkie, ale niezbędne do tego, by festiwal szedł z duchem czasu i z duchem młodych, a nie pozostawał za nimi.

I choć klasyk mówił – kino i młodość nie zestarzeją się... nigdy – ważne jednak byśmy my potrafili dotrzymać im kroku.

Paweł Jeleński

Kiedy z dumą powiemy: zintegrowaliśmy się!

VII Europejski Festiwal „Integracja Ty i Ja"

W tym naszym pełnym pośpiechu, zatracenia i samotności XXI wieku szukanie sposobów zbliżenia ludzi do siebie nabiera szczególnej wagi. To sprawia, że Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja" to nie tylko festiwal, ale również miejsce spotkań i zderzenia się z rzeczywistością osób niepełnosprawnych.

Nie ma cienia wątpliwości, że integruje on społeczeństwo i to poprzez sztukę, a dokładniej film. Oczywiście, taki zakres działania i oddziaływania zawęża nieco grono zainteresowanych, ale z drugiej strony to właśnie film, wg mnie, jest idealnym narzędziem dla spełniania się artystycznego osób niepełnosprawnych. Daje on ogromne możliwości i organizatorzy koszalińskiego festiwalu bardzo dobrze o tym wiedzą. Niestety, potrzeba czasu, by zburzyć niektóre mury (mentalne głównie) wśród twórców działających w branży filmowej, od których zależy, jak na razie, dostępność tej gałęzi sztuki dla innych. Nie można jednak zapominać, że jest to festiwal dość młody (istnieje od 2003 roku) i z tej choćby racji nie można oczekiwać od niego zbyt wiele. Z roku na rok będzie się on jednak stawał coraz bardziej rozpoznawalny, będzie przyciągał większą liczbę publiczności, budził zainteresowanie nie tylko w Polsce, ale i w Europie, a później - być może - ogarnie cały świat. Ważne jest, żeby przetrwał, utrzymał się i nie zatracił swojego pierwotnego założenia. Wtedy jego ranga będzie wzrastać i w pewnym momencie w środowisku twórców niezależnych czy amatorskich nie spotka się osoby, która nie będzie go znała.

Na razie, niestety, jest on wciąż mało rozpoznawalny wśród młodych filmowców. Nie można się jednak temu dziwić. Pojęcie niepełnosprawności tak naprawdę ożyło w świadomości społeczeństwa dopiero wraz z wstąpieniem Polski do struktur Unii Europejskiej, czyli w 2004 roku. To zbyt mało czasu, by coś zmienić w prawie 40 milionowym kraj, w którym co szósty (!) obywatel to osoba niepełnosprawna. Mimo wszystko odczuwa się już ogromną poprawę i powolne co prawda, ale jednak otwieranie niedostępnych wcześniej dla niepełnosprawnych drzwi. A gdy w pełni się otworzą, wtedy z dumą powiemy: zintegrowaliśmy się!

Ubiegłoroczny festiwal był drugim, w którym brałem udział. Podczas pierwszego pobytu w Koszalinie miałem okazję przeżyć premierę mojego filmu „Jest nas 6 milionów" i późniejszą otwartą dyskusję. W ubiegłym roku sytuacja się powtórzyła, tyle że ja byłem już bogatszy w doświadczenia, bo mój film prezentowany był na wielu festiwalach i pokazach w Polsce.

Ten właśnie ubiegłoroczny festiwal wzruszał, dawał refleksje, zastanawiał, ale również pozostawił lekką gorycz czy może poczucie pewnego niedosytu; wg mnie nie do końca trafnie wybrane zostało jury, zadziwiał mnie też stosunek pewnych osób do festiwalu. Piękne natomiast było ukazywanie niepełnosprawności, integrowanie się tych dwóch nieco odmiennych światów, poznawanie ludzi, którzy muszą więcej robić od pełnosprawnych, by osiągnąć to samo, co my. A im dłużej żyję, mam wrażenie że to pełnosprawni użalają się nad swoim życiem, a nie doceniają swoich możliwości: widzenia,

słyszenia, ruchu, bycia akceptowanym... Bo wydają się one tak naturalne i oczywiste! Można mieć problemy materialne, można nie odnaleźć miłości, można błądzić przez całe życie, ale będąc w pełni sprawnym o ileż łatwiej można wszystko zmieniać, trzymać swoje działania pod kontrolą i spełniać marzenia, nawet jeśli są odległe...

Uczestnicząc w festiwalowych spotkaniach, koncertach i filmowych projekcjach z zachwytem przyglądałem się temu, jak radzą sobie ludzie pokrzywdzeni przez los. Byłem pełen podziwu, że się nie załamują, że są tak silni wewnętrznie i potrafią dalej żyć. A obejrzałem niemal wszystkie filmy. Do konkursu dopuszczone były zarówno te produkcje, których poziom artystyczny niemal „powalał" na kolana jak i te, które po prostu były ważnym, ale nie tak wyrafinowanym artystycznie głosem w rozmowie o niepełnosprawności, dopełniając resztę. Wszystkie jednak wniosły do mojego życia coś nowego, na co wcześniej nie zwracałem uwagi. Trudno mi jednoznacznie stwierdzić, jaki był poziom festiwalu, patrząc jedynie na treść i jakość filmów pokazanych w ramach konkursu. Jednakże mam możliwość porównać go z innymi festiwalami. I muszę zwrócić uwagę na jeden element, który całkowicie odróżnia ten festiwal od niemal wszystkich pozostałych: posiadanie „idei". Stworzyć festiwal jest łatwo. Ale stworzyć festiwal, który wywiera wpływ na społeczeństwo, zbliżając ludzi do siebie i niwelując różnice pomiędzy nimi! Organizatorom Festiwalu „Integracja Ty i Ja" udaje się to, co sprawia, że wśród wielu wydarzeń tego typu w naszym kraju trzeba go cenić szczególnie.

Z całą powagą mogę zatem stwierdzić, że zaszczytem było dla mnie to, że mój film „Jest nas 6 milionów" dwukrotnie otwierał festiwalowe dyskusje o niepełnosprawności. W Koszalinie uwalniana jest magia, która sprawia, że czeka się na to, by znów przebyć te kilkaset kilometrów i zmierzyć się z prawdziwym życiem - a nie pięknymi reklamami, sztucznymi uśmiechami i propagandą sukcesu.

*

Kiedy byłem młodszy, w ogóle nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wokół mnie żyją osoby niepełnosprawne. Nie widziałem ich. Słyszałem o potrzebie „integracji", bycia razem bez względu na sytuację zdrowotną, ale odbierałem to jak przez szklaną szybę. Pewnego dnia, po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, to szkło zaczęło pękać i... pękło, a ja miałem okazję za nie wyjrzeć. Od razu poczułem, że coś jest nie tak. Sztuka promuje głównie piękno fizyczne, nie

Recital Moniki Kuszyńskiej zainaugurował VII Festiwal „Integracja Ty i Ja". fot. Ilona Łukjaniuk

piękno ducha i wewnętrznych emocji. Zaczynałem drążyć temat, szukać w Internecie, pytać. W pewnym momencie zobaczyłem, że obecność osób niepełnosprawnych w sztuce jest znikoma, a nawet można powiedzieć że żadna. A przecież informacja, że liczbę dotkniętych niepełnosprawością Polaków szacuje się na 6 milionów ludzi, wstrząsnęła mną. To tak jakby pół Nowego Jorku zamieszkiwali wyłącznie ludzie niepełnosprawni, o których się nie mówi, których nie widać. A którzy przecież są częścią społeczeństwa.

Dziwiło mnie podejście osób wpływowych do tych spraw. Gdy tylko poruszałem temat dostępności sztuki dla osób niepełnosprawnych, zawsze byłem krytykowany, jakby coś złego było w tym, że w ogóle o tym mówię. Ataki były tak silne, że pewnego dnia nie wytrzymałem. Zaczęło się od założenia jedynego w Polsce (może i na świecie) serwisu społecznościowo - filmowego yourmovieteam.com (2008), który otwiera się na integrację filmowych twórców pełnosprawnych z niepełnosprawnymi. Później zrealizowałem film dokumentalny „Jest nas 6 milionów", korzystając ze środków unijnych z Programu „Młodzież w działaniu" (2009), który dotyczył dostępności szkół filmowych i całego przemysłu filmowego dla osób niepełnosprawnych w kraju. Z tym filmem wiążą się pewne niemiłe doświadczenia na różnych festiwalach. Zyskałem jednak pewność, że przemysł filmowy w Polsce oraz szkolnictwo wyższe o profilach filmowych są zamknięte dla osób niepełnosprawnych i długi czas takie pozostaną. Osobiście wątpię czy w ciągu kilkunastu lat nastąpi poprawa. Pewną nadzieję niesie niezależne kino amatorskie. Dziś uważam, że film „Jest nas 6 milionów" stworzyłem za wcześnie i byłem zbyt mało dojrzały, by go bronić. Polska dopiero otwiera się na ten temat. W dodatku zmierzyłem się z nim tylko ja i mój przyjaciel Dawid Marcinkowski, bez którego zaangażowania nigdy bym nie ukończył tego projektu. Obecnie współtworzę pierwszy europejski program dla scenarzystów filmowych „Scenariusz" (współpracuję z Wydawnictwem Wojciecha Marca); mam pewną wizję przystosowania go do potrzeb osób niewidomych, aby mogły zapisywać swoje myśli poprzez synchronizację mowy. Takie możliwości daje rozwój techniki, więc dlaczego z niego nie skorzystać. Przecież zawód scenarzysty filmowego jest wręcz idealny dla (twórczych) osób niepełnosprawnych i nie wiem, dlaczego nikt nie szuka możliwości udostępnienia w ten sposób, tym ludziom, „normalności"... Jasne, osoba niepełnosprawna nigdy nie będzie w pełni czuła się pełnosprawna; nawet gdy zaakceptuje samego siebie, niepełnosprawność (fizyczna, umysłowa) i tak będzie towarzyszyć jej przez całe życie, stwarzając różnego rodzaju ograniczenia, bariery, przeszkody. Mimo to niepełnosprawni odnajdują szczęście. Zawsze uważałem, że należy coś dać od siebie innym. Jakąś cząstkę tego, co mamy w sercu. W moim przypadku była to fascynacja sztuką, zwłaszcza filmem. Wyciągnąłem dłoń. Może któregoś dnia moje działania przyniosą jakiś efekt. Może ktoś pójdzie w moje ślady.

Wierzę, że nadejdzie taki dzień, kiedy zobaczymy w sobie partnerów - bez względu na to kim jesteśmy; że niepełnosprawni będą bardziej obecni w sztuce, częściej będą otrzymywać prestiżowe nagrody; zyskają szansę, by znaleźć się na „czerwonym dywanie".

Podczas VII Festiwalu pokazano 7 filmów fabularnych, 25 dokumentalnych i 8 amatorskich z 14 krajów. Oceniało je jury w składzie: Magdalena Łazarkiewicz (reżyser), Teresa Budzisz-Krzyżanowska (aktorka), Marta Sikorska (mistrzyni Europy w tańcu na wózkach), Frederic Zeitoun (dziennikarz i prezenter France 2 Television i Melodie TV) oraz Bartosz Szpurek (dziennikarz kierujący serwisem internetowym niewidzialni.eu). Wśród licznych imprez towarzyszących odbyła się m.in. wystawa malarstwa Marka Krzysztofa Laseckiego i koncert Moniki Kuszewskiej.

Stworzone przed Koszalińską Biblioteka Publiczną miasteczko festiwalowe zyskało miano „Małego Paryża".

Zdobywca Grand Prix „Benda Bilili!" opowiada historię zespołu z Kinszasy, w którym grają niepełnosprawni muzycy. W uzasadnieniu werdyktu jury napisało: *„film uświadamia nam, że poprzez ukazanie fragmentu świata można o świecie powiedzieć tak wiele."* Za najlepszy film fabularny jury uznało hiszpański obraz „Ja też!", którego bohater dotknięty Zespołem Downa, musi się zmierzyć z własną męskością. Wśród filmów dokumentalnych najwyżej oceniono „Manu na kółkach" - zapis walki o wejście do I ligi belgijskiej drużyny piłki nożnej na wózkach. Wśród filmów amatorskich zwyciężył polski „Could you change your lifestyle?" wyreżyserowany przez uczestników pracowni arteterapii pod kierownictwem Marioli Żylińskiej-Jestadt. Drugą nagrodę w tej kategorii przyznano filmowi „To my" w reżyserii Katriny Smacznej Fajesowej, a trzecią „Naszemu Betlejem" w reżyserii Bartłomieja Zbączyniaka. Specjalne wyróżnienie jury przyznało dokumentalnemu filmowi Krzysztofa Piotrowskiego „Mama".

Motywem przewodnim ubiegłorocznego festiwalu było „Macierzyństwo, Rodzicielstwo, Niepełnosprawność".

Przybywają na własny koszt – to o czymś świadczy

VIII Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim

Co, pani zdaniem, na tym wydarzeniu zyskuje Koszalin? – pytała Agnieszka Gontar Marlenę Zimną w wywiadzie opublikowanym na łamach tygodnika „Teraz Koszalin" w przeddzień rozpoczęcia IX Festiwalu Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim „Pasje wg świętego Włodzimierza". - *Uważam, że festiwal to doskonała promocja miasta. Wśród miłośników Wysockiego, których naprawdę nie brak na całym świecie, uchodzimy za „Wysocką stolicę Polski". Ludzie zjeżdżają tu specjalnie na tę okazję, a nasza wystawa jeździ po Polsce i świecie. Oczywiście powszechnie wiadomo, że jesteśmy właśnie z Koszalina. Proszę sobie wyobrazić, że koszty podróży i zakwaterowania pokrywamy tylko 15 zagranicznym gościom. Cała reszta przybywa tu na własny koszt. To o czymś świadczy* – odpowiedziała szefowa koszalińskiego Muzeum Włodzimierza Wysockiego, inicjatorka tego festiwalu a także wielu innych przedsięwzięć propagujących w Koszalinie, Polsce i poza granicami twórczość moskiewskiego barda.

W 2010 roku odbył się ósmy festiwal „Pasje wg świętego Włodzimierza". Niektórzy zżymają się na owo „uświęcenie" Wysockiego zapisane w tytule imprezy, która za rok świecić będzie swoje dziesięciolecie. Przypomnijmy jednak, że zanim Marlena Zimna zaczęła zapraszać do Koszalina znawców i miłośników tego niewątpliwie wybitnego artysty, człowieka jednak raczej nie wiodącego świątobliwego żywota, co roku odbywały się tu spotkania „Z Przyjaciółmi o Wysockim", dwudziestolecie jego śmierci zaś zostało uhonorowane niezwykłym koncertem w koszalińskim amfiteatrze, skrzącym się od nazwisk gwiazd teatru i estrady, od Grzegorza Markowskiego i zespołu Perfect poczynając, po Krystynę Tkacz, Daniela Olbrychskiego, Mariana Opanię, Artura Barcisia czy Wiktora Zborowskiego, Całość wyreżyserował Laco Adamik, a transmitowała TVP.

Festiwal „Pasje wg świętego Włodzimierza" zmieniał swoje lokum, początkowo goszcząc w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej. W 2010 wysockologowie z całego – bez przesady – świata gościli w Centrum Kultury 105 i Domku Kata. Oto jak na stronie internetowej dr Marlena Zimna hasłowo zachęcała do uczestnictwa w VIII Festiwalu:

- 25 państw
- 19 filmów w konkursie głównym
- filmy archiwalne – najnowsze odkrycia
- wgląd do filmowego laboratorium
- pokazy efektów kolorowania filmów czarno-białych
- koncert
- spektakl
- wystawy
- promocje książek i płyt
- panele dyskusyjne
- spotkania publiczności z reżyserami i pisarzami
- zagraniczni artyści w repertuarze Wysockiego
- zagraniczni pisarze i naukowcy o fenomenie Wysockiego widzianym z Zachodu

Na koszalińskim festiwalu nagrody przyznaje publiczność. Grand Prix ósmego festiwalu przyznała filmowi „Włodzimierz Wysocki. Kiedy powrócę" (Rosja, 2009, reż. Aleksander Kowanowski, Igor Rachmanow). II Nagroda przypadła w udziale filmowi „Włodzimierz Wysocki. O druhu zagorzałym" (Rosja, 2009, reż. O. Wasin), III nagrodę zdobył film „Vladimir, czyli Przerwany lot w Migdal HaEmeq" (Izrael, 2009, reż. G. Grumberg).

„Przebudzenie"- spektakl wg prozy Włodzimierza Wysockiego „Życie bez snu". Stowarzyszenie Teatralne „Legion" (Kórnik).

fot. Ilona Łukjaniuk

Spotkanie z pisarzem Mario Alessandro Curletto, autorem książki „Byłem duszą złego towarzystwa. Życie i twórczość Włodzimierza Wysockiego".

fot. Ilona Łukjaniuk

Oleg Wasin odbiera Grand Prix z rąk prezydenta Przemysława Krzyżanowskiego. fot. Ilona Łukjaniuk

Igor Rachmanow (przy mikrofonie) i Aleksander Kowanowski. fot. Ilona Łukjaniuk

MISCELLANEA

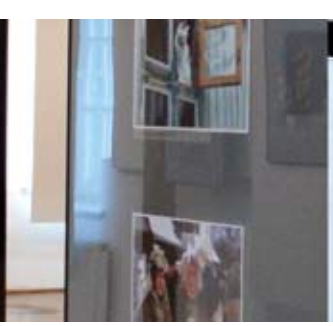

III Gala Koszalińskiej Kultury

Uroczystość wręczenia Nagród Prezydenta Miasta Koszalina za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury za rok 2010 odbyła się 11 marca 2011 r. w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym. Galę uświetnił pokaz w wykonaniu tancerzy ze Studia Tańca PASJA oraz koncert Kasi Klich.

Zgodnie z uchwałą nr XLV/536/2009 Rady Miejskiej w Koszalinie z dnia 17 grudnia 2009 r. wnioski o przyznanie nagrody rozpatrywała, opiniowała i proponowała wysokość nagrody powołana przez Prezydenta Miasta Kapituła Nagrody Prezydenta Miasta Koszalina w składzie :
przedstawiciele Komisji Kultury Rady Miejskiej:
Krystyna Kościńska – przewodnicząca Kapituły, Ryszard Tarnowski – przewodniczący Komisji Kultury RM, Marek Reinholz, Izabela Wilke
przedstawiciele Rady Kultury przy Prezydencie Miasta:
Maria Ulicka, Wojciech Bałdys, Barbara Jaroszyk
przedstawiciele Wydziału Kultury i Spraw Społecznych:
Dorota Pawłowska, Agnieszka Dąbrowska

Kapituła rozpatrzyła 106 wniosków, pozytywnie opiniując 43 kandydatury indywidualne i zespołowe oraz 1 wniosek dotyczący Wydarzenia Kulturalnego Roku. Łączna kwota przeznaczona na nagrody wyniosła 59 500,00 zł.

Dzieci i młodzież:
nagrody indywidualne (nagroda I stopnia)

Piotr Zarzycki – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, uczeń Z. Dubielli. W 2010 r. zdobył m.in. I miejsce na Międzynarodowym Konkursie Gitarowym w Niemczech oraz nagrodę dla najmłodszego uczestnika – finalisty podczas 17 Międzynarodowego Festiwalu Gitarowego w Żorach.

nagroda II stopnia:

Sylwia Gajdemska – opieka artystyczna Ludmiła Małecka. Laureatka przeglądów piosenki i festiwali, w 2010 r. zdobyła m.in. II miejsce podczas Festiwale Internazionale Della Arte „Magia Italiana" we Włoszech, Grand Prix w Bytowie i Połczynie Zdroju, nominowana do udziału w 31. Międzynarodowym Festiwalu Piosenki i Tańca w Koninie.
Karolina Skuza – Zespół Szkół Plastycznych im. Władysława Hasiora, uczennica Marii Karpińskiej, laureatka I nagrody w I Międzynarodowym Biennale Miniatury – Fryderyk Chopin we Włocławku.
Małgorzata Wach – Zespół Szkół Plastycznych im. Władysława Hasiora, uczennica Doroty Śnieg i Tadeusza Walczaka, reprezentantka szkoły w II etapie V Przeglądu Plastycznego z rysunku, malarstwa i rzeźby, stypendystka Prezesa Rady Ministrów.
Anna Mazgaj – Zespół Szkół Plastycznych im. Władysława Hasiora, uczennica Tadeusza Walczaka, laureatka I miejsca II Ogólnopolskiego Konkursie Plastycznego „Św. Ojciec Damian de Veuster – Apostoł Trędowatych" w Kiełpinie, II nagrody w II Ogólnopolskim Biennale Autoportretu w Radomiu, stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Paula Leszczyńska i **Jacek Stróż** – Studio Tańca „Pasja", trenerką jest Agata Krajewska; para wytańczyła 14 nagród na międzynarodowych i ogólnopolskich turniejach w Jeleniej Górze, Koronowie, Bydgoszczy, Szczecinie, Elblągu, Pile, Koszalinie.
Wiktoria Wizner – Ministudio Poezji i Piosenki w CK 105, instruktorka Ewa Turowska - laureatka Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki Turystycznej i Miłosnej w Moryniu, oraz na Ogólnopolskiej Lustracji Przyszłych Gwiazd Estrady w Kaczorach.
Tomasz Kudelski - Pałac Młodzieży, uczeń Moniki Kalkowskiej - zdobywca nagrody głównej Ogólnopolskiego Biennale Plastyczno – Fotograficznego w Radomiu, kwalifikacji do Finałowej Rundy

Sędziowskiej 46. Międzynarodowego Konkurs Fotografii „Eolia Environnement Fauna i Flora Fotograf Roku 2010" BBC Wildlife Magazine i Londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej.

Michał Karczewski – Zespół Szkół nr 2, opiekunowie artystyczni Ewa Czapik-Kowalewska i Wacław Dąbrowski - zdobywca II miejsca w XXVII Turnieju Recytatorskim i Poezji Śpiewanej w Czaplinku oraz I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim „Herbertiada".

Katarzyna Gołofit – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, uczennica Jolanty Reszelskiej, laureatka I miejsca na Ogólnopolskich Przesłuchaniach Uczniów Szkół Muzycznych II stopnia w Warszawie, stypendystka Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci i Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Aleksandra Bałdys – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz Muzycznych, uczennica Jolanty Reszelskiej, zdobywczyni II nagrody na X Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. J .Zarębskiego.

Marta Brancewicz i **Konrad Harasym** – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz. Duet fortepianowy pracujący pod kierunkiem Doroty Banaszak - zdobywcy I nagrody na X Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. J. Zarębskiego.

Bartosz Kołaczkowski – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, uczeń Katarzyny Szymczewskiej, wywalczył II miejsce na Ogólnopolskich Przesłuchaniach Uczniów Klas Fortepianu Szkół Muzycznych II stopnia w Warszawie.

Aleksandra Machaj – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, uczennica Małgorzaty Kobierskiej, laureatka II miejsca na Ogólnopolskich Przesłuchaniach Skrzypków Szkół Muzycznych II stopnia w Warszawie, koncertmistrz i solistka Orkiestry szkolnej KAMERTON podczas prestiżowych koncertów w kraju i zagranicą.

Julia Murawska – Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz, uczennica Aleksandra Murawskiego (prywatnie - dziadka Julii) - I miejsce w grupie w III Regionalnym Konkursie Piani-

Nagrody odbierają Barbara Jaroszyk, dyrektor Festiwalu „Integracja Ty i Ja" i **Andrzej Ziemiński**, dyrektor KBP- zdobywczyni tytułu Imprezy Roku 2010 za „Noc w Bibliotece". fot. Ilona Łukjaniuk

stycznym w Szczecinie, trzy razy wywalczyła II miejsca na ogólnopolskich i regionalnych konkursach.

Nagroda zespołowa

Teatr „Miniatura" – Pałac Młodzieży, opiekun artystyczny Elżbieta Malczewska – Giemza; zespół zdobył nagrody główne jury i jury młodzieżowego na Ogólnopolskich Spotkaniach Teatrów Cośchcących w Żninie oraz nominację do nagrody Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego „Talent roku" w Szczecinie.

Młodzieżowe Koło Filatelistów – klub „W Klocku", opiekun Jerzy Musiał, wielokrotni zdobywcy srebrnych i pozłacanych medali, min. na Białoruśko – Polskiej Wystawie Filatelistycznej „Grunwald -600" za eksponat „ Znani i mniej znani" w Grodnie oraz za eksponat „Od Ikara się zaczęło".

Dorośli

Dariusz Szczeblewski – muzyk Filharmonii Koszalińskiej, wiolonczelista, pedagog, popularyzator muzyki dawnej, dyrektor Ogniska Muzycznego.

Małgorzata Kobierska – skrzypaczka Filharmonii Koszalińskiej, pedagog, kierownik szkolnej orkiestry KAMERTON ZPSMuz.

Kazimiera Anna Wróblewska – od 2004 r. prezes Zespołu Pracy Twórczej Plastyki, uprawia malarstwo sztalugowe, olejne oraz haft. Organizatorka wystaw m.in. w Galerii „Ratusz".

Stefan Juraszczyk – puzonista, nauczyciel w ZSMuz., wciąż uczy w Ognisku Muzycznym. Organizator wydarzeń muzycznych.

Izabela Nowak – dziennikarka, sekretarz redakcji Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik".

Jan Kowalczyk – kompozytor, dyrygent, społeczny konsultant muzyczny.

Elżbieta Stankiewicz – artystka, pedagog, pracuje z młodzieżą niesprawną intelektualnie, pomysłodawca i organizatorka Integracyjnych Warsztatów Plastycznych dla Dzieci i Młodzieży, członkini ZPAP.

Piotr Madera – asystent taneczny w Pałacu Młodzieży, pomysłodawca i organizator Koszalińskiej Wizji Breaka.

Agata Krajewska – tancerka i instruktorka tańca w Stowarzyszeniu PASJA.

Jerzy Litwin – aktor i członek Stowarzyszenia Teatr Propozycji DIALOG.

Teresa Jasionek – laureatka wielu konkursów sztuki ludowej, uczestniczka targów i jarmarków, a także organizatorka spotkań ze sztuką ludową w przedszkolach i szkołach.

Edward Grzegorz Funke – twórca Autorskiej Galerii Fotografii „Portret Świata", autor wielu wystaw fotografii podróżniczej.

Agnieszka Bil – instruktorka tańca w stylach m.in. hip-hop, street dance, modern dance. Prowadzi zespoły EFEKT i ZIUTKI.

Wojciech Franciszek Grobelski – autor książek „Historia garnizonu w Koszalinie. Cz. 1 od średniowiecza do 1945 r." oraz „Generał brygady Ludwik Mieczysław Boruta – Spiechowicz 1894-1985".

Krzysztof Rećko Rapsa – malarz, grafik, członek ZPAP. W 2010 r. artysta prezentował swoje malarstwo na wielu wystawach w kraju i zagranicą (o twórczości Krzysztofa Rećko piszemy w odrębnej publikacji w niniejszym almanachu – dop. red.).

Diana Staniszewska – tancerka, instruktorka, choreografka.

Andrzej Skorek – laureat przyznanej przez Polską Kapitułę Filatelistyczną Statuetki PRYMUSA w kategorii „Indywidualista roku".

Paulina Bagińska – tancerka - reprezentantka Szkoły Tańca Top- Toys.

Jerzy Musiał – laureat przyznanej przez Polską Kapitułę Filatelistyczną Statuetki PRYMUSA „Za szczególne osiągnięcia w pracy z młodzieżą".

Nagrody zespołowe

Zespół Top-Toys pod kierunkiem Anny i Marcina Dubrowników – zdobywca pierwszych miejsc na trzech różnych międzynarodowych zawodach w Niemczech.

The Stars – Akademicki Klub Tańca Politechniki Koszalińskiej, m.in. wicemistrzowie Europy w konkursie „Adults Teams Rueda de Ciasno" w Moskwie.

Zespół Pampeluna prowadzony w CK 105 przez Radosława Czerwińskiego, zdobywca Grand Prix podczas Wielkiego Finału do Przystanku Woodstock.

Nagrody jubileuszowe

Krystyna Wojtas – 40-lecie pracy twórczej; artystka uprawia malarstwo sztalugowe, olejne, rysunek i pastele. Jest współtwórcą Galerii N, założycielką Koszalińskiego Klubu Nauczycieli Plastyków-Twórców oraz Oddziału Związku Plastyków, który obecnie działa pod nazwą Związek Plastyków Artystów Rzeczypospolitej Polskiej, pomysłodawczyni i organizatorka wystaw ogólnopolskich, organizatorka warsztatów i plenerów malarskich, animatorka kultury.

Marek Łęgowski – 40-lecie pracy twórczej; artysta plastyk, członek ZPAP, w latach 80. prowadził Galerię Sztuki Współczesnej, komisarz artystyczny plenerów malarskich m.in. w Osiekach, Luboradzu, Policku, Mielnie i Bad Malente w Niemczech.

Katarzyna Chudobińska - 30-lecie pracy twórczej; uprawia malarstwo, prowadzi prywatną galerię „Nenufar", uczestniczy w wielu przedsięwzięciach artystycznych, plenerach, kursach, wystawach, jarmarkach.

Artysta roku

Robert Rowiński – od 20 lat zajmuje się tańcem towarzyskim. Szczególną popularność przyniósł mu udział w show stacji TVN – „Taniec z gwiazdami". Jego partnerkami były. m.in. Aneta Kręglicka, Halinka Młynkowa, Aleksandra Szwed, Katarzyna Tusk. Z Moniką Pyrek wywalczył Kryształową Kulę - główną nagrodę XII „Tańca z gwiazdami".

Był choreografem Tatiany Okupnik – Festiwal w Opolu, Tańczył w programie „Idol". Był wicemistrzem Anglii Closed British 2008-2009, zdobył II miejsce na największym turnieju świata „The International of Londyn". Oprócz licznych tytułów tanecznych został wybrany jako sędzia w ukraińskim programie „Taniec z gwiazdami", był choreografem tureckiej wersji tego programu. Jest założycielem Studia Tańca „Pasja", organizatorem I Ogólnopolskiego Turnieju Tańca Towarzyskiego „Pasja Cup" w Koszalinie.

Wydarzenie kulturalne roku

„Noc w Bibliotece"– Koszalińska Biblioteka Publiczna – impreza zorganizowana z okazji Międzynarodowego Dnia Książki i Praw Autorskich. (obszerniej o Nocy w Bibliotece piszemy w dziale „Literatura").

Nominacje w tej kategorii otrzymały także następujące imprezy:

* „Zodiak literacki w Bibliotece" – organizator Koszalińska Biblioteka Publiczna,
* Międzynarodowe Zawody Taneczne „Black Streets PUF Koszalin Dance Cup"– organizator- Szkoła Tańca Top – Toys i Klub Spółdzielczy Bałtyk – KSM „ Na Skarpie",
* Gala taneczna „Prawda Hip-Hopu" – Szkoła Tańca Top – Toys i Klub Spółdzielczy Bałtyk – KSM „ Na Skarpie",
* VII Ogólnopolski Festiwal Piosenki Aktorskiej „Reflektor" – organizator Pałac Młodzieży,
* Koszalińska Wizja Breaka VI – organizator Pałac Młodzieży,
* Koncert „200 rocznica urodzin Fryderyka Chopina" inaugurujący obchody Roku Chopinowskiego – organizator Zespół Państwowych Szkół Muzycznych,
* Koncert „Carmina Burana" – Carla Orffa – organizator Filharmonia Koszalińska,
* Opera „Traviata" Giuseppe Verdiego – organizator Filharmonia Koszalińska,
* 29. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi Film"– organizator Centrum Kultury 105 i Stowarzyszenie Filmowców Polskich,
* X Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej" – organizator – Centrum Kultury 105 w Koszalinie,
* 30. Festiwal Rockowy Generacja 2010 – organizator - Centrum Kultury 105 w Koszalinie,
* Koncerty w Stage Club Amfiteatr – organizator – Centrum Kultury 105,
* Koncert Agaty Szymczewskiej – organizator Filharmonia Koszalińska,
* XII Międzynarodowy Przegląd Fotografii „Złota Muszla"– organizator Bałtyckie Towarzystwo Fotograficzne i Bałtycka Szkoła Fotografii PW „Prowex".

Jupi Podlaszewski

Clausius Tower

Własność narodów z Koszalina na światowy Panteon Nauki

Rudolf Julius Emanuel Clausius urodził się 2 stycznia 1822 roku w Koszalinie, wówczas należącym do Prus. Jego dom, dzisiaj już nieistniejący, stał opodal obecnego ronda przy ulicy Młyńskiej. Ojciec Rudolfa był radnym Królewskiej Rządowej Rady Szkolnej i pastorem.

Założył niewielką prywatną szkołę, której był pryncypałem. Uczęszczał do niej także Rudolf, jako szósty z rodzeństwa Clausiusów. Po ukończeniu szkoły w Koszalinie przeniósł się do gimnazjum w Szczecinie, w którym uczył się do roku 1840. W tym samym roku wstąpił na Uniwersytet Berliński, gdzie po czterech latach otrzymał dyplom z fizyki.

Tematem jego pracy doktorskiej była próba wyjaśnienia koloru nieba: błękitu oraz czerwieni o wschodzie i zachodzie słońca; doktorat z wyróżnieniem otrzymał w lipcu 1848 roku. Swoją najsławniejszą pracę Clausius opublikował już w 1850 roku w *Annalen der Physik*. Była ona swoistym kamieniem węgielnym nowoczesnej termodynamiki; podważała założenia obowiązującej wówczas teorii kalorycznej, jednocześnie wprowadzając w jej miejsce sformułowane przez autora dwa nowe prawa termodynamiki. Szlak jego kariery naukowej i dydaktycznej wiódł przez Katedrę Fizyki Matematycznej i uczelnie w Zurychu, Würzburgu i Bonn. W 1865 Clausius podał Pierwsze i Drugie Prawa Termodynamiki w formie powszechnie dzisiaj uznawanej. Ich tekst widnieje na tablicy upamiętniającej postać uczonego umieszczonej na głazie w miejscu, gdzie na kampusie Politechniki Koszalińskiej stanąć ma Wieża Clausiusa:

1.Energia Wszechświata jest stała.

2.Entropia Wszechświata dąży do maksimum.

W 1868 roku Clausius został wybrany w poczet członków Royal Society of London. Wśród wielu zaszczytów i odznaczeń otrzymał m.in. Medal Copley'a, Medal Huygensa, Nagrodę Ponceleta oraz doktorat h.c. Uniwersytetu w Würzburgu. Był z pewnością najwybitniejszym uczonym, jaki dotychczas urodził się w Koszalinie. Zmarł 24 sierpnia 1888 roku w Bonn.

Idea wybudowania wieży powstała trzydzieści lat temu, w związku z pomysłem zawieszenia wahadła Foucaulta w Auli Politechniki Koszalińskiej. Idea wieży i jej lokalizacja uległy radykalnej zmianie, gdy ruszyła budowa nowego kampusu PK przy ul. Śniadeckich. Wieży ostatecznie nadano kształt latarni morskiej. Swoją formą nawiązuje ona również do wieży widokowej na Górze Chełmskiej. Propozycja, by wieżę dedykować właśnie Clausiusowi, padła podczas spotkania pracowników i przyjaciół Politechniki poświęconego omówieniu szczegółów projektu wieży i wahadła.

Pomysł wzniesienia Wieży Clausiusa wychodzi naprzeciw wyzwaniom jednoczącej się Europy. Wynalazca wahadła Jean Paul Baptiste Foucault był Francuzem, Rudolf Clausius - Niemcem urodzonym w Koszalinie; pomysłodawcy projektu reprezentują zaś współczesny Koszalin i naukę polską. Sama Wieża będzie miała wysokość 24,98 m, głębokość (podziemie) 4,63 m i średnicę w części podziemnej 14,0 m, a nadziemnej 4,04 m. Oprócz walorów czysto poznawczych stanowić ma symbol Politechniki Koszalińskiej, nowoczesnej Europy oraz atrakcję turystyczną.

Nie dość tego! Pomysłodawcom musiał przyświecać duch Słowackiego (Polska?- ale jaka?), skoro stwierdzili, że od budowli ważniejszy jest duch, czyli intelektualna aura wokół niej. Tak powstała idea powołania Towarzystwa Wieży Clausiusa - społeczności, której zadaniem będzie generowanie intelektualnego fermentu, tworzenie zaczynu nowych myśli, organizacji spotkań luminarzy wszelkich dyscyplin naukowych i wymiany poglądów. Towarzystwo Wieży Clausiusa ukonstytuowało się 16 listopada 2009 roku. Było współorganizatorem (z PK) sympozjum z zakresu techniki próżniowej. Wzięła w nim udział m.in. prof. Eri Yagi, niestrudzona („uwielbiam Clausiusa!") badaczka jego osiągnięć i dyrektor Instytutu Historii Nauki w Tokio, prof. Dieter Hoffman z Instytutu Maxa Plancka w Berlinie i wielu innych, równie znamienitych gości. Towarzystwo Wieży Clausiusa było także współorganizatorem otwartego wykładu prof. Krzysztofa Piotrzkowskiego z Katolickiego Uniwersytetu z Louven-la-Neuve, szefa jednego z dziesięciu zespołów uczestniczących w największym eksperymencie Świata w Instytucie CERN pod Genewą. Wykład o Wielkim Zderzaczu Hadronów (LHC) był dużym wydarzeniem i cieszył się wielkim zainteresowaniem młodego audytorium. Niewielu spośród słuchaczy wiedziało, że prof. Piotrzkowski pochodzi z Koszalina i jest absolwentem „Bronka" - jak powszechnie w Koszalinie mówi się o II Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Broniewskiego!

Nie ukrywając naszych lokalnych sympatii obiema rękami podpisujemy się pod inskrypcją umieszczoną na wspomnianym głazie upamiętniającym Clausiusa:

„WIELKIE OSIĄGNIĘCIA NAUKOWE SĄ WŁASNOŚCIĄ WSZYSTKICH NARODÓW".

Clausius Tower. wizualizacja 3D; www.tu.koszalin.pl

Izabela Nowak

Muzeum to nie twierdza

10-lecie „Muzealnych Spotkań z Fotografią"

Czy można przekonać młodzież, że wizja wiejących nudą muzealnych sal to szkodliwy stereotyp? Czy można także zachęcić najmłodszych, by twórczo traktowali swoje muzealne wizyty i przekonać ich, że pamiątki przeszłości mogą stać się inspiracją do kreowania własnej wizji świata? Okazuje się, że tak. Organizowane od dziesięciu lat przez Muzeum w Koszalinie i adresowane do młodzieży „Muzealne Spotkania z Fotografią" jednocześnie umożliwiają uczestnikom doskonalenie swych artystycznych umiejętności i przekonują ich, że spojrzenie przez obiektyw aparatu fotograficznego na muzealne zbiory może stać się pasjonującą intelektualno-artystyczną przygodą. Interesująca formuła „Spotkań" łącząca konkursowe zmagania z edukacją artystyczną okazała się strzałem w dziesiątkę, o czym świadczy liczba młodzieży na równi zafascynowanej fotografią jak i muzealnymi kolekcjami. W ciągu minionych dziesięciu lat w kolejnych „Spotkaniach" uczestniczyło 3174 młodych fotografów, którzy nadesłali 15434 zdjęcia. Z latami rozszerzał się także zasięg konkursu – z ogólnopolskiego stał się imprezą międzynarodową, w której uczestniczy młodzież z Anglii, Białorusi, Litwy, Niemiec, Rosji, Słowacji, Ukrainy i, oczywiście, z Polski.

– *Idea „Spotkań" narodziła się w 2000 roku* – mówi pomysłodawca, inicjator i organizator imprezy Dionizy Rypniewski**,** kustosz Muzeum w Koszalinie. – *Wówczas powołany został zespół zajmujący się opracowaniem nowych form edukacji muzealnej i jej prowadzeniem. Na co dzień, jako muzealnicy, mamy kontakt z młodzieżą i obserwujemy niepokojące zjawisko – otóż z wiekiem maleje aktywność młodych ludzi w obcowaniu ze sztuką. Próbujemy więc namówić ich, aby nie byli biernymi obserwatorami wystaw, czy działań muzealnych. Jednym z pomysłów był konkurs fotograficzny, który już w następnym roku nabrał realnych kształtów. Wtedy też wypracowaliśmy dwuetapową formułę imprezy. „Muzealne Spotkania z Fotografią" nie są jedynie konkursem, czyli wyścigiem po laury, czy potwierdzeniem talentu i szans na artystyczną przyszłość. Ponieważ bardzo interesował nas walor edukacyjny, konkursowe zmagania były jedynie wstępem do etapu finalizującego, czyli pleneru fotograficznego, który stał się integralną i bardzo ważną częścią „Muzealnych Spotkań z Fotografią".*

Zgodnie z regulaminem – do udziału w konkursie zostali zaproszeni uczniowie, którzy podczas wizyty w muzeum wykonali fotografie przedstawiające muzealne wystawy, lub ich fragmenty – pojedyncze eksponaty, czy zestawy zabytków, a także muzealne zaplecze (pracowanie naukowe i konserwatorskie), budynki muzeów, elementy ich architektury lub zabytki zgromadzone w muzeach na wolnym powietrzu. Oprócz pojedynczych zdjęć, plonem konkursu były również cykle prac przedstawiających w formie reportażu, felietonu lub eseju fotograficznego wrażenia z lekcji muzealnych czy wycieczki do muzealnego skansenu.

Wyboru najlepszych prac dokonuje jury złożone z fotografików, plastyków i muzealników. Wśród nich od dziesięciu lat znajdują się Dionizy Rypniewski i Bogusław Siwko - przedstawiciel Bałtyckiego Towarzystwa Fotograficznego.

Wierną jurorką jest także Lena Subota z Sankt Petersburga, artystka nie rozstająca się z aparatem fotograficznym. Wybrane przez jurorów prace prezentowane są podczas pokonkursowej ekspozycji. Uroczyste otwarcie każdej wystawy połączone jest z ogłoszeniem wyników. Wszystkim prezentacjom towarzyszą piękne edytorsko katalogi, w których zamieszczane są reprodukcje około sześćdziesięciu najbardziej interesujących fotografii.

Wystawa pokonkursowa pokazywana jest w Koszalinie, by po dwóch miesiącach stać się „ekspozycją wędrującą" po Polsce i Europie. W minionych latach można ją było oglądać m.in. w Muzeum Narodowym w Warszawie, dotarła też do Niemiec, Rosji, Słowacji, na Litwę i Węgry, przejeżdżając w ciągu ostatniego dziesięciolecia prawie trzydzieści pięć tysięcy kilometrów. Plon „Muzealnych Spotkań z Fotografią", prezentowany podczas 57 ekspozycji, obejrzało aż sto szesnaście tysięcy osób.

Temat „Muzealnych Spotkań z Fotografią" okazał się atrakcyjny – w 2001 roku do konkursu zgłosiło się 157 uczniów szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych, którzy nadesłali 983 prace. Z latami te liczby wciąż rosły. W 2008 roku jury oceniało aż 1992 zdjęcia autorstwa 403 młodych fotografów. Rosła również popularność „Muzealnych Spotkań z Fotografią" – i to nie tylko w Polsce, ale także w Europie. Od 2003 roku regularnie przyjeżdżała do Koszalina grupa młodzieży z Bratysławy, a rok później - także z Sankt Petersburga.

– *Na różnych etapach konkursu działamy w odmienny sposób. W pierwszym – masowo, starając się dotrzeć do jak największej liczby szkół różnego typu. Drugi etap ma charakter elitarny. Zgodnie z naszymi założeniami ostatnia część zajęć edukacyjnych kierowana jest do najlepszych i najzdolniejszych uczestników. Warsztat fotograficzny to przecież forma nagrody* – wyjaśnia Dionizy Rypniewski. – *Do udziału w czterodniowym*

Jagoda Kosowska, 14 lat, „W skansenie", Muzealne Spotkania z Fotografią 2008. fot. archiwum Muzeum

plenerze, który tradycyjnie odbywa się w Mielnie, zapraszamy około czterdziestu osób – laureatów, ich artystycznych opiekunów i jurorów. Podczas plenerowych zajęć młodzi ludzie mają okazję do spotkania i rozmowy z profesjonalistami oceniającymi wcześniej konkursowe prace. Dodatkową korzyścią jest możliwość skonfrontowania swoich artystycznych dokonań z innymi uczestnikami konkursu pochodzącymi z różnych krajów. W formie opatrzonego komentarzem pokazu umożliwiamy również młodzieży prezentację zdjęć nie związanych tematycznie z ideą konkursu. Staramy się zapewnić uczestnikom mieleńskich plenerów wiele artystycznych atrakcji. W minionych latach było to: spektakl pantomimy, prezentacja baletu klasycznego, koncert jazzu tradycyjnego i pokaz cyrkowy. Scenę zawsze zastępowała artystom plaża

Każdy plener zamyka wystawa prac, które powstały w Mielnie. W 2001 roku było ich siedemset, w 2010 – ponad dwadzieścia cztery tysiące. Ich artystyczna jakość i ładunek emocjonalny świadczą, że procentują uwagi doświadczonych fotografów dotyczące wyboru motywów czy kompozycji kadru. Najbardziej interesujące zdjęcia pokazywaliśmy podczas jednodniowej ekspozycji, na przykład na promenadzie. Zdarzyło się też, że okleiliśmy nimi popularną mieleńską restaurację czy kutry rybackie w Unieściu. Efekty są znakomite, a wrażenia – niezapomniane.

Kolejne „Muzealne Spotkania z Fotografią" odzwierciedlały rewolucję technologiczną. W 2001 roku wszystkie prace były wykonane tradycyjną techniką, a szczęśliwy zwycięzca stał się posiadaczem aparatu cyfrowego, dziś – biorąc pod uwagę jego parametry – już prawie muzealnego zabytku. Obecnie króluje technika cyfrowa – w 2010 roku nadesłano tylko kilka fotochemicznych powiększeń. Fascynacja nowoczesnością nieodłącznie towarzyszy

Ratislav Trizma, 17 lat, „Weterani", Muzealne Spotkania z Fotografią 2003. fot. archiwum Muzeum

twórczym poszukiwaniom młodzieży. Jednak równie istotna i doceniana przez jury jest kontynuacja fotograficznych tradycji. W archiwum konkursowych prac znajdują się więc zdjęcia wykonane z pomocą prawdziwie muzealnych, dziewiętnastowiecznych technik. Szacunek dla tradycji idzie w parze z uznaniem dla nowoczesnej technologii, coraz bardziej przystępnej dla młodzieży. Doskonale wiedzą o tym organizatorzy, modyfikując regulamin konkursu i rozszerzając jego ramy. Od 2011 roku – oprócz zdjęć – będzie można przysłać fotokasty, czyli multimedialne fotoreportaże.

Kolejna zmiana – z punktu widzenia i organizatorów i jurorów o wiele ważniejsza – nastąpiła w sposobie fotograficznej interpretacji tematu „Muzealnych Spotkań". Plon pierwszego konkursu stanowiły wyłącznie prace o charakterze dokumentacyjnym i reporterskim, jednak już w 2002 roku pojawiły się pierwsze jaskółki zwiastujące odmienne podejście do tematu, związane ze zmianami w sposobie postrzegania muzeum. Jury, spoglądające życzliwym okiem na te eksperymenty, zachęcało młodzież do dalszych, coraz odważniejszych poszukiwań interpretacyjnych i artystycznych. Z latami dokumentację zaczęła zastępować kreacja, inspirowana nie tylko muzealnymi zbiorami, ale także kanonem polskiej i światowej sztuki. - *Pierwsze poważne próby „wykreowania własnego muzeum" pojawiły się już w 2003 roku za sprawą młodych artystów ze Słowacji. Udowodnili, że można to robić znakomicie i zdobyli aż trzy nagrody* – mówi Dionizy Rypniewski. - *W 2010 roku jedna trzecia nadesłanych na konkurs zdjęć to wykreowany przez talent i wrażliwość młodzieży, czasami nierzeczywisty, a jednak realny świat muzeum. Dodam, że każdego roku plon konkursu wygląda inaczej. Zmienia się perspektywa „muzealnych obserwatorów", przybywa im interpretacyjnej śmiałości, a podejście do tematu jest zawsze świeże i coraz bardziej niekonwencjonalne.*

Jako jedna z niewielu organizowanych w województwie zachodniopomorskim imprez, „Muzealne Spotkania z Fotografią" od dziesięciu lat cieszą się przychylnością aż dwóch znamienitych patronów – ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz ministra edukacji narodowej. Życzliwe wsparcie nie zwalnia jednak organizatorów od ustawicznego poszukiwania funduszy umożliwiających realizację imprezy w zamierzonym kształcie programowym.

„Muzealne Spotkania z Fotografią" były dwukrotnie wyróżniane Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznawaną w prestiżowym konkursie Wydarzenie Muzealne Roku „Sybilla". W 2002 roku była to nagroda w kategorii programów promocyjnych, edukacyjnych i oświatowo-wychowawczych, a w 2003 – wyróżnienie w kategorii publikacji dla wydawnictwa „Mielno – tradycja a współczesność". W 2004 roku „Spotkania" otrzymały wyróżnienie Fundacji Kultury w Warszawie w konkursie na „Projekt Edukacji Kulturalnej".

*

W jednym z katalogów towarzyszących wystawom pokonkursowym została zacytowana wypowiedź nauczycielki fotografii z olsztyńskiego Pałacu Młodzieży, Ewy Wieliczko, która wraz z grupą młodzieży od 2004 roku jest wiernym uczestnikiem „Muzealnych Spotkań z Fotografią": *Czasem odnoszę wrażenie, że muzea są jak twierdze. Trzeba się bardzo starać, aby wejść do nich z grupą fotografującej młodzieży. Ale kiedy już otworzą swe podwoje, stają się niewyczerpanym źródłem inspiracji. Wtedy wiem, że warto było walczyć. Jestem przekonana, że „Muzealne Spotkania z Fotografią" to znakomity wytrych do drzwi muzeów, pozwalający na uwrażliwienie młodzieży i przybliżenie im śladów minionych czasów.*

Maria Słowik-Tworke
Beata Górecka-Młyńczak

Kultura jest naszą wizytówką

Rozmowa z Elżbietą Penderecką

***Agata Szymczewska to Koszaliński Skarb Muzyczny* – podczas rozmowy z dziennikarkami Redakcji Muzycznej Radia Koszalin mówiła Elżbieta Penderecka, prezes Impresariatu Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena, członkini wielu międzynarodowych fundacji muzycznych, mecenas młodych talentów, laureatka wielu nagród, wyróżnień i odznaczeń. M.in. w roku 2002 na Festiwalu Crakfilm otrzymała nagrodę „Tytana Tytanów" za działania na rzecz promocji wizerunku Polski w świecie.**

We wrześniu 2010 roku przyjechała po raz pierwszy do Koszalina, by spotkać się z władzami miasta. Przedmiotem podjętej wówczas rozmowy była nowo wydana płyta Agaty Szymczewskiej („Bruch, Wieniawski, Mendelssohn", Universal Music Group, 2010 – tę płytę recenzuje ks. Arkadiusz Jędrasik w dziale „Nasi w świecie" – dop. red.) oraz możliwości poszerzenia Wielkanocnego Festiwalu Beethovenowskiego o koncerty w Koszalinie.

W swoich działaniach na rzecz muzyki i młodych artystów jest Pani wręcz niezmordowana. Skąd czerpie Pani energię?

Elżbieta Penderecka: Otaczam się młodymi ludźmi. W moim biurze średnia wieku to dwadzieścia kilka lat. Chcę przekazać młodym ludziom, z którymi mam przyjemność pracować, właśnie determinację, zaangażowanie, czasami nawet użyłabym słowa: poświęcenie, bo tej pracy trzeba się poświęcić, tu nie ma wyznaczonych godzin „od do". Zwykle koncerty kończą się późno, a po koncertach trzeba jeszcze towarzyszyć artystom podczas spotkań czy specjalnie na ich cześć wydawanych przyjęć... Przebywanie wśród młodych daje mi dużo radości. Dopóki będę mogła, chcę przekonywać, że młodych artystów trzeba wspierać i promować.

Agata Szymczewska to Koszaliński Skarb Muzyczny; jest już artystką światową, zdobyła nagrody na konkursach, uznanie. Żeby jednak ludzie nie zapomnieli o jej sukcesach, trzeba młodemu artyście pomóc. Droga po zdobyciu nagrody jest najtrudniejsza. Karierę trzeba budować. To jest to, co ja robiłam u boku mego męża. Jeździłam z nim na koncerty, biorąc na siebie to, co przyziemne. Jeśli chodzi o panią Agatę – oczywiście, że powinna żyć w normalnym świecie, ale przede wszystkim grać i poszerzać swój repertuar i przez to promować Polskę. Bo jej talent, koncerty i obecność na scenach koncertowych świata promują nasz kraj.

Obraca się Pani wśród możnych tego świata. Może więc Pani wiele pomóc młodym artystom jeśli chodzi o wizerunek.

E.P.: Niezwykle ważny jest kontakt artysty z publicznością, od pierwszej chwili; samo wejście na scenę, wygląd, sposób poruszania się wywołują silne wrażenie, dopiero później publiczność zaczyna słuchać jak gra. To wszystko buduje wizerunek młodego artysty.

Dla niektórych agencji ważna jest tylko data koncertu. Wszystko zostało zmaterializowane, a w sztuce tak nie może być - sztuce trzeba poświęcić więcej czasu. Wiem jak trudno jest młodym ludziom zrobić karierę na świecie. Jak niezbędna jest do tego stała promocja i dbałość o wizerunek.

Może być Pani też wzorem godzenia różnych obowiązków.

E.P.: Myślę, że to jest kwestia wewnętrznej mobilizacji. Mam męża, który, przy swoim pozornym bałaganiarstwie, jest bardzo obowiązkowy i wszystko ma jednak uporządkowane. Ja też już w latach młodzieńczych byłam nauczona dyscypliny. Moja mama była poznanianką, mogę więc powiedzieć, że mam w sobie tzw. „pruską szkołę"; mam wielkie poczucie obowiązku i odpowiedzialności. To mi ogromnie pomaga w naszym wciąż trudnym życiu. Teraz właściwie mogłabym żyć spokojnie, ale w mojej pracy społecznej chcę dzielić się tym, czego się nauczyłam, co widziałam. A jest to w stu procentach praca społeczna.

Odwiedźmy na moment Lusławice, oddalone 87 km. od Krakowa, gdzie jest dwór Jacka Malczewskiego - miejsce magiczne, o wspaniałych tradycjach, obecnie Państwa własność. Tam także przebywa Pani w otoczeniu młodych artystów oraz wielkich znakomitości. Do Państwa posiadłości przyjeżdżają artyści z całego świata.

E.P.: To prawda. Chcieliśmy, by właśnie to miejsce, gdzie malował Malczewski, gdzie był pierwszy zbór ariański, gdzie była wspaniała biblioteka, było nadal kojarzone ze sztuką, aby tętniło życiem i muzyką. A tak naprawdę chciałabym, żeby Lusławice kiedyś były miejscem, które utrwali życie i twórczość mego męża; bo to miejsce ukochał, stworzył wspaniały park (sadził drzewa, 1776 gatunków drzew na przestrzeniu 35 hektarów!). Może ktoś inny spożytkowałby tę ciężką pracę na coś innego, ale mąż chciał zrobić to w Polsce, by zostawić młodym, bo przecież vis á vis powstaje Europejskie Centrum Muzyki. Muzeum Krzysztofa Pendereckie-

Elżbieta Penderecka i Agata Szymczewska podczas spotkania z prezydentem Piotrem Jedlińskim. fot. Radosław Brzostek

go już powstało, a teraz dostaliśmy europejskie fundusze i rozpoczęliśmy budowę Centrum, które chcemy otworzyć w roku 2012; będzie tam wielka sala koncertowa na 750 osób, powstanie też kampus, gdzie młodzież będzie mogła mieszkać i uczyć się na kursach u najlepszych profesorów, gdzie orkiestra Akademii Beethovenowskiej będzie grała z tą młodzieżą i co tydzień odbywać się będą koncerty . To nie jest nasza instytucja, ale myśmy dali ziemię i to Centrum powstaje z naszej inicjatywy. Chcemy, żeby - jak już nas nie będzie - to miejsce świadczyło o tym, co się działo w polskiej kulturze, kto tu mieszkał, kto był jednym z twórców polskiej szkoły kompozytorów obok Witolda Lutosławskiego, Henryka Góreckiego, Wojciecha Kilara, Tadeusza Bairda, Kazimierza Serockiego...

Bardzo dużą wagę przykłada Pani do tradycji kulturowych, polskich i rodzinnych.

E.P.: Najprościej byłoby w trudnych czasach wyjechać z Polski. I tak zresztą zrobiło wielu ludzi. My nie możemy ich rozliczać. Wszystkim nam było trudno. Obecnie ogromna liczba ludzi wraca do kraju. Stąd też chęć pokazania Polski, której wizytówką w tych trudnych czasach była kultura. Dziś musimy bardzo zabiegać o to, żeby chociaż ten procent dostać z budżetu państwa na kulturę. Bo jeśli chodzi o finansowanie kultury to dzisiaj za nami jest już tylko Bułgaria. Musimy zatem się zastanowić, co zrobić, żeby nasz rząd pomyślał, że naprawdę warto dawać na kulturę, warto wspierać młodych, dawać stypendia. Bo kultura nadal jest naszą wizytówką. Mamy co pokazać, nie mamy czego się wstydzić. Mamy znakomitych artystów, także młodzież - naprawdę wspaniałą.

Jesteśmy zrzeszeni w Federacji Festiwali i Wydarzeń Artystycznych w Stanach Zjednoczonych. Właśnie we wrześniu zdobyliśmy wielką nagrodę Grand Pinakle Aword Saint Louis. Oprócz tej największej nagrody przywieźliśmy dwa złote medale - za najlepszy plakat i za najlepszy program promujący wydarzenia festiwalowe oraz ex eaquo z festiwalem w Rotterdamie srebrny medal. Ja myślę, że to bardzo dużo jak na jeden polski festiwal beethovenowski.

Myślę, że jeśli uda nam się rozwinąć współpracę z Koszalinem, a powstaje tutaj nowa sala koncertowa, to będą tu przyjeżdżać wspaniali soliści, będzie grać Pani Agata Szymczewska, która sercem jest w Koszalinie i tu ma wspaniałą muzyczną rodzinę.

JUBILEUSZE

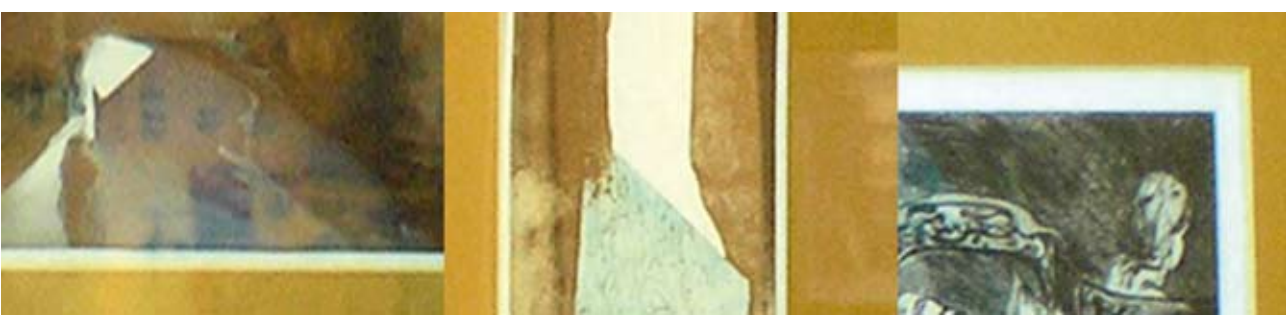

Beata Górecka-Młyńczak
Maria Słowik-Tworke

Najbliższa w życiu jest mi opera

50-lecie pracy artystycznej i 75. urodziny Andrzeja Zborowskiego

***Najbliższa w życiu jest mi opera* – mówi Andrzej Zborowski, śpiewak, konferansjer z 50-letnim bagażem artystycznym i 75-letnim doświadczeniem życiowym.**

Opera to wielki teatr, to barwny świat - wypełniony muzyką, literaturą, baletem, kostiumami, rekwizytami, plastyką, światłami i oczywiście ludźmi. Skupia wiele sztuk.

Podobnie jest w życiu Jubilata, który operowym bakcylem zaraził się już w dzieciństwie.

Jego bardzo bogate i różnorodne życie do cna wypełnione jest muzyką. Na co dzień przebywa i pracuje on z najwybitniejszymi artystami polskimi i zagranicznymi, sam jednak zna dobrze blaski i cienie tego zawodu. Zajmuje się różnymi gatunkami muzyki, mówi do wytrawnych melomanów, a także do uczniów i młodzieży. Swoim pięknym, bezpośrednim słowem o muzyce potrafi dotrzeć do wszystkich. Andrzej Zborowski w Koszalinie jest postacią dobrze znaną i bardzo lubianą. Odznacza się elegancją i kulturą osobistą. Jest bezpośredni, pogodny, życzliwy i chętnie służy innym pomocą. Uważa, że na wszystkie kłopoty, konflikty i waśnie lekarstwem jest muzyka – zwłaszcza operowa, bo ona najlepiej łagodzi obyczaje.

Urodził się 28 listopada 1935 roku w Łęgu Tarnowskim. Po wojnie wraz z rodzicami przeniósł się na Śląsk. W Bytomiu ukończył liceum ogólnokształcące, a potem słynną średnią szkołę muzyczną „Braci Szafranków" w Rybniku. Swoją przygodę z operą rozpoczął dosyć przypadkowo.

– Operą zainteresowałem się będąc w VII klasie szkoły powszechnej. Nauczyciel historii i języka polskiego zabrał nas do opery. Wtedy Państwowa Opera Śląska w Bytomiu stała na bardzo wysokim poziomie, a ja się nie spodziewałem, że zrobi na mnie tak duże wrażenie. Byłem oczarowany, nie mogłem zrozumieć, że głos ludzki może tak pięknie brzmieć. Głosy w bytomskiej operze były znakomite, długo by można wymieniać listę nazwisk. Potem zacząłem już sam chodzić na przedstawienia. Byłem na debiucie scenicznym Wiesława Ochmana, poznałem osobiście Bogdana Paprockiego – wspomina sam Jubilat.

W rybnickiej szkole Andrzej Zborowski śpiewu uczył się u prof. Magdaleny Kosko i już wtedy występował jako solista z okazji różnych uroczystości. Studia na wydziale wokalnym ukończył w roku 1966 w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach, w klasie śpiewu doc. Ireny Lewińskiej. Dysponował bardzo pięknym, ciepłym barytonem, odznaczającym się czystością intonacji. Mówiło się o dużym talencie. Śpiewak ujmował słuchaczy interesującymi interpretacjami różnorodnego repertuaru. W tym czasie najczęściej śpiewał arie operowe: m.in. Stanisława Moniuszki, Wolfganga Amadeusza Mozarta, Gioaccino Rossiniego, ale przede wszystkim pieśni: Moniuszki, Fryderyka Chopina, Stanisława Niewiadomskiego, Mieczysława Karłowicza, Franciszka Schuberta, Roberta Schumanna, Claude'a Debussy'ego, pieśni neapolitańskie, utwory George'a Gershwina, negro spirituels itd.

Bezpośrednio po ukończeniu studiów przez dwa lata był solistą Zespołu Madrygalistów Capella Bydgostiensis Pro Musica Antiqua w Fil-

harmonii Pomorskiej w Bydgoszczy. Zespół, prowadzony przez wybitnego dyrygenta Stanisława Gałońskiego, należał wówczas do najlepszych zespołów muzyki dawnej w Europie. Dzięki pracy w zespole artysta poznał wiele najwspanialszych dzieł dawnych mistrzów oraz kunsztowną technikę i finezję ich wykonywania. Śpiewał tam czasami duże partie solowe, np. w kantacie George'a Philippe'a Telemanna „Nauczyciel śpiewu". Wraz z zespołem występował w całej niemal Polsce, w różnych filharmoniach, a także na licznych festiwalach w kraju i zagranicą, m.in.: Musica Antiqua Europae Orientalis w Bydgoszczy, Wratislavia Cantans, w Bukareszcie, Ploesti, w Lipsku, Kolonii, Hale, a także na Festiwalach Moniuszkowskich w Kudowie – Zdroju, dwukrotnie na Internazionales Jugendfestspieltreffen w Bayreuth itd.

Wkrótce zaczął występować w podwójnej roli: jako śpiewak i prelegent.

W tej nowej roli okazał się równie świetny. Jest wybornym mówcą, odznaczającym się fachową wiedzą. Prelekcje prowadzi żywo i dowcipnie, umiejętnie wprowadzając słuchacza w sekrety Polihymni. Czuje się, że jest gospodarzem prowadzonego koncertu czy audycji dla młodzieży. Pracował jako solista i konferansjer zarazem w orkiestrach symfonicznych i filharmoniach: w Katowicach, Opolu, Poznaniu, Rzeszowie, Zabrzu i Rybniku.

W roku 1974 zawitał do Koszalina. Tu ówczesny dyrektor Filharmonii Koszalińskiej Andrzej Cwojdziński zaproponował mu pracę. Artysta zauroczony przyrodą przeniósł się z rodziną, jak mówi: *tak na próbę, na krótko.* Okazało się, że zamieszkał na stałe. I tu także bardzo aktywnie pracował jako śpiewak i prelegent. Często występował z żoną Bożeną, śpiewaczką. Tworzyli bardzo piękny duet, wzbudzający ogromną sympatię melomanów.

– *W Koszalinie* spędziłem swoje najlepsze lata pracy. Tu czuję się bardzo dobrze z kilku powodów. *Po pierwsze, lubię to miasto, jest wygodne do życia, otoczone piękną przyrodą, to dla mnie ważne. Po drugie, mimo że jestem już na długiej śpiewaczej emeryturze, mam tu ciągle bardzo dużo pracy, którą lubię, bo to praca w środowisku muzycznym, a muzyka to całe moje życie. Były czasem i potknięcia i porażki, ale któż ich nie ma* – mówi Andrzej Zborowski.

Wiele satysfakcji sprawiają Jubilatowi prelekcje prowadzone na prestiżowych festiwalach na Pomorzu środkowym, takich jak: Kołobrzeskie Wieczory Kameralne, Festiwale Pianistyki Polskiej w Słupsku, Międzynarodowe Festiwale Organowe w Koszalinie, Słupsku, Kołobrzegu i innych miastach, prowadzenie gali operowych i operetkowych, a także różnych uroczystych koncertów. O jego profesjonalnych prelekcjach czytamy w wielu recenzjach, m.in.: *Nastrój koncertu karnawałowego był w dużej mierze dzie-*

Andrzej Zborowski zawsze perfekcyjnie przygotowany prowadzi słuchaczy koncertów przez świat muzyki symfonicznej i operowej.

fot. archiwum Filharmonii Koszalińskiej

łem skromnego człowieka, który na boku estrady mówił: „nasz koncert", tworząc tym wydawało by się niewinnym zwrotem szczególną, gorącą linię między widownią a estradą. Wzbogacał koncert świetnym komentarzem, celnym ciepłym, dowcipnym, wyrażanym piękną polszczyzną, bez cienia showmeńskiej maniery. ...Znany jest nam doskonale z tego, że łączy głęboką wiedzę i kulturę z darem słowa, owego trudnego „słowa o muzyce. (K. Rozbicki - Głos Pomorza 23-24.02.2002r.)

Na szczególne podkreślenie i ogromne uznanie zasługuje jego niezwykła pasja prowadzenia koncertów umuzykalniających w szkołach. Robił to prawie przez całe swoje zawodowe życie. Kiedy przyjechał do Koszalina wszystkie uczennice w nim się podkochiwały. *Pan Andrzej wyglądał jak amant filmowy, a do tego ten aksamitny, ciepły głos. Robił duże wrażenie* – wspominają dziś wytrawne melomanki.

Sam Andrzej Zborowski zaś wyznaje: *Audycje szkolne i koncerty, odbywające się przed południem w rożnych szkołach, to praca dosyć męcząca i nerwowa. Trzeba wcześnie rano wstać, objechać duży teren, wiele szkół. Jako prelegent czułem się zawsze odpowiedzialny za ekipę, byłem dosyć wymagającym szefem. Dbałem, żeby wszyscy byli dobrze ubrani, żeby się nie mylili, żeby się nie spóźniali.*

Władysław Jurek – śpiewak Teatru Wielkiego w Warszawie, dowcipnie to udokumentował w swojej fraszce:

Pan Andrzej Zborowski z Partynia elegant,
Znakomity śpiewak, nie gorszy prelegent,
To chodząca wiedza i niezwykły pedant.
Nie przepuści nikomu nigdy „nie tej" nuty,
Baczy on na krawat i na czyste buty.
W sumie wszystko razem to go bardzo spala,
Toteż zjada tyle co półtora drwala.
Choć z nim wór kanapek, termos dwulitrowy,
By starczyć to mogło, o tym nie ma mowy.

Do dziś Andrzej Zborowski zajmuje się działalnością edukacyjną młodzieży.

– Po przemianach 1989 roku szkolne audycje filharmoniczne oderwały się od tej instytucji, choć nadal prowadzone są pod jej patronatem. W dobie prywatyzacji organizacją tych koncertów zajął się Bogusław Iskrzycki i jego agencja artystyczna „Artos" – mówi Andrzej Zborowski.

Niezwykle ważnym nurtem pracy Jubilata był cykl radiowych audycji umuzykalniających, które prowadził przez dziesięć lat, od 1980 do 1990 r. Audycje te, nagrywane w Rozgłośni Polskiego Radia w Koszalinie, emitowane były w programie ogólnopolskim i lokalnym Polskiego Radia. *– To była inicjatywa pani Barbary Gołembiewskiej, która wówczas kierowała redakcją muzyczną Radia Koszalin. Powiem szczerze, że było to dla mnie duże wyzwanie i przysparzało mi to trochę trudności. Miałem tremę, bo rozmowa z widownią żywą jest zupełnie inna niż praca z mikrofonem, w studiu. Musiałem się przestawić, ale była też duża satysfakcja, bo przychodziły listy z różnych stron Polski, m.in. z Wrocławia, Warszawy, a także z małych miejscowości* – wyjaśnia Andrzej Zborowski.

Jubilat w swoim domowym archiwum ma dziesiątki listów gratulacyjnych i podziękowań od bardzo wielu filharmonii w Polsce, od organizatorów festiwali, stowarzyszeń muzycznych i szkół z różnych regionów kraju. Ma też ogromną kolekcję nagrań płytowych i, w wolnych chwilach (jeśli takowe ma!), lubi leżeć na kanapie i słuchać muzyki – najchętniej operowej, bo jak powiedział Johann Wolfgang Goethe:

Gdzie słyszysz śpiew, tam wstąp,
Tam dobre serca mają.
Bo ludzie źli, ach wierzaj mi,
Ci nigdy nie śpiewają.

Kazimierz Rozbicki

Ta LUTNIA dźwięczy od 65 lat!

Piękny jubileusz 65-lecia istnienia obchodzi chór Lutnia działający przy franciszkańskiej parafii w Koszalinie.

Chór franciszkański LUTNIA powstał pod koniec 1945 roku przy Kościele p.w. Najświętszej Maryi Panny, gdzie już w czerwcu tegoż roku założyli swą siedzibę oo. Franciszkanie; ich dziełem stało się reaktywowanie Kościoła katolickiego na północy środkowego Pomorza – od Bobolic po Kołobrzeg, Koszalin, Darłowo, Sławno, Lębork.

Chórzyści, którzy wystąpili po raz pierwszy z kolędami podczas świąt Bożego Narodzenia 1945, rekrutowali się z pierwszych grup osadników, jacy przybyli do Koszalina w maju i czerwcu, tuż po zakończeniu wojny. W tej ostatniej grupie znajdował się Marcin Sidorowicz, repatriant ze Wschodu, organista kościoła franciszkańskiego w Grodnie. Od razu wziął w swe ręce sprawy muzyczne nowo powstałej parafii, zaczynając przede wszystkim od zorganizowania chóru mieszanego. Jego fachowość, duża wiedza muzyczna i osobista kultura wyznaczyły poziom muzyki kościelnej, a także wzbudziły zainteresowanie muzyką społeczeństwa Koszalina, pochłoniętego w tym pionierskim okresie trudnymi problemami bytowania, budującego dopiero podwaliny nowego życia. Kościół pełnił tu bardzo ważną rolę scalającą napływową ludność przybyłą z różnych stron Polski, a szczególnie z Kresów, zaś chór miał swój duży udział w sferze kultury - udział wykraczający poza funkcje religijne. Przypadło mu towarzyszyć różnym przejawom życia społecznego i uświetniać je swym śpiewem. Przez długi czas była to jedyna forma zorganizowanej działalności kulturalnej w mieście i jego okolicach. Przyjmowany był bardzo gorąco przez ludzi spragnionych polskiej, patriotycznej i religijnej pieśni. Głównie jednak poświęcał się zadaniom, dla jakich został powołany, służąc życiu religijnemu swej parafii, uświetniając uroczystości kościelne, śpiewając w czasie sumy w każdą niedzielę i święto. I robi to do dziś. Właśnie owo asystowanie uroczystościom i wydarzeniom kościelnym wyznacza zarówno historię życia religijnego Koszalina, jak i historię chóru LUTNIA.

Chór śpiewał podczas wizyty prymasów Augusta Hlonda i Stefana Wyszyńskiego, podczas ingresu biskupa Ignacego Jeża do katedry koszalińskiej (1972), na uroczystościach milenijnych w Kołobrzegu z udziałem prymasa Stefana Wyszyńskiego i Episkopatu Polski (1975), w połączonych chórach podczas wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Koszalinie (1991).

W 1988 roku na Diecezjalnym Konkursie Chórów Kościelnych chór LUTNIA zajął I miejsce, w 1989 roku Radio Koszalin nadało kolędy w jego wykonaniu. W grudniu 1992 chór wystąpił na koncercie symfonicznym Filharmonii Koszalińskiej z kolędami i pastorałkami (w katedrze), w 1993, również z filharmonikami koszalińskimi, chór męski zespołu śpiewał na koncercie poświęconym 15- leciu pontyfikatu Ojca Świętego Jana Pawła II, oraz tegoż roku na filharmonicznym koncercie kolęd w katedrze. W 1994 wystąpił w połączonych chórach koszalińskich na koncercie filharmonii poświęconym świętu Konstytucji 3 Maja.

Obecnym miejscem działalności LUTNI jest nowo zbudowany franciszkański Kościół p.w. Świętego Krzyża; na dużym chórze postawiono nowe piękne organy, które pozwalają na pełną barwy oprawę muzyczną nabożeństw.

Marcin Sidorowicz po blisko 70 latach pracy organistowskiej, prowadzenia chórów i orkiestr, a także pełnych obowiązków natury administracyjnej, w 1986 roku przeszedł na emeryturę, w sześć lat zaś później jego chórzyści i wierni parafii koszalińskich odprowadzili tego tak zasłużonego muzyka i wspaniałego człowieka na wieczny spoczynek.

Dzieło Marcina Sidorowicza kontynuuje Wiesław Soja, jego współpracownik i następca przy organach i w pracy z chórem. Wychowanek Salezjańskiej Średniej Szkoły Organistowskiej w Przemyślu oraz szkół muzycznych w Krakowie, muzyk – solista Filharmonii Koszalińskiej – zdobył szacunek i uznanie chórzystów (jest wśród nich kilkoro z owego pierwszego składu chóru, jaki wystąpił w grudniu 1945 roku!) utrzymując w dobrej formie zespół, kultywując jego tradycje i troszcząc się o artystyczny rozwój. On też zapisze nowy rozdział franciszkańskiego chóru LUTNIA w Koszalinie.

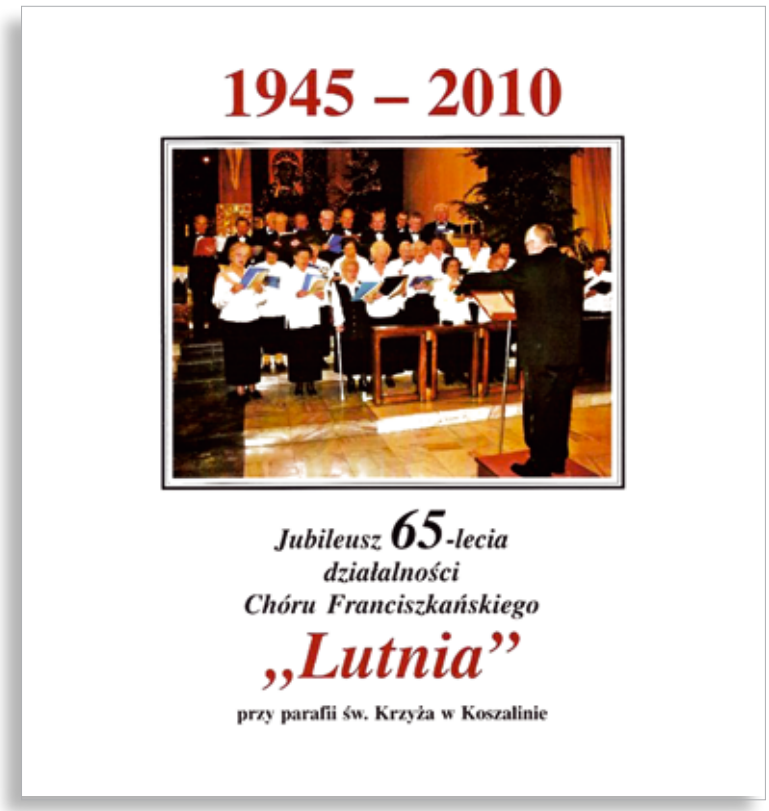

Małgorzata Kołowska

Before sixty four

Sześćdziesiąte urodziny Jupitera J. Podlaszewskiego

Jupi Podlaszewski - polski twórca pantomimy, związany z Koszalinem. Uczeń Stefana Niedziałkowskiego, aktor, reżyser, założyciel międzynarodowej grupy teatralnej Blik Fish.

***Był również założycielem i redaktorem naczelnym lokalnej telewizji „Bryza"* – przeczytać można w internetowej Wikipedii o przewodniczącym skromnemu gronu almanachowego Kolegium Redakcyjnego. Ale nie udział w naszych pracach daje asumpt, aby Jupiemu poświęcić słów więcej w niniejszej publikacji. Istotny powód dają sześćdziesiąte (i kto w to uwierzy!) urodziny, jakie obchodził w roku 2010.**

Mówię Jupi - myślę BLIK

Drugi rok mając okazję pracować ze studentami Politechniki Koszalińskiej przypominam im, zwłaszcza w przededniu kolejnego Tygodnia Kultury Studenckiej, o Teatrze Ruchu BLIK, który przed laty (z górą trzydziestu!) w ówczesnej Wyższej Szkole Inżynierskiej założył Jupi Podlaszewski wraz z Ryszardem Koteckim, zwanym Kotem. To właśnie teatr BLIK (a także „Jer" Jana Wyrwasa i Adama Orzechowskiego – notabene ten drugi jest dyrektorem Teatru Wybrzeże w Gdańsku) wyznaczały wysokie rejestry studenckiej kulturze w Koszalinie, na uczelni w owych czasach całkowicie technicznej (!).

BLIK powstał w 1977 roku, a w 1979, będąc młodą instruktorką teatralną w Wojewódzkim Domu Kultury w Koszalinie po raz pierwszy zobaczyłam ich spektakl – była to „Kantata" prezentowana w Świdwinie, podczas Wojewódzkiego Przeglądu Teatrów Amatorskich. I co tu dużo gadać – BLIK był już gwiazdą, po pierwszych sukcesach brytyjskich. Zwłaszcza w tamtych czasach (mrocznej doby peerelu) to robiło wrażenie! Ale BLIK był znakomity i rzeczywiście w pełni zasługiwał na laury – krajowe, lokalne i te zagraniczne, nie tylko w konkurencji z teatrami amatorskimi! Przede wszystkim nie powielał estetyki wrocławskiego Teatru Pantomimy Henryka Tomaszewskiego, który stworzył rodzaj pantomimicznego „Wzorca z Sevre". BLIK mieścił się w formule teatru ubogiego, ograniczającego środki wyrazu do czystych znaków scenicznych: gestu, który, rzecz jasna, miał znaczenie prymarne, oszczędnego rekwizytu i jeszcze bardziej oszczędnej, umownej scenografii. Rytm, aurę i sens scenicznych opowieści uwypuklała natomiast muzyka, wobec ascezy innych środków scenicznego wyrazu odgrywająca tym ważniejszą rolę. Nie pamiętam szczegółów poszczególnych spektakli, ale ich aurę oscylującą pomiędzy wzniosłością i komizmem, sacrum i profanum, wyważanymi starannie, by nie epatować widza ni jednym, ni drugim. Widziałam wszystkie spektakle: od „Kantaty", przez „Zmartwychwstać", „Advento", „Amen" i „Tajemnicę Radosną". I wszystkie przechowuję we wdzięcznej pamięci jako ciąg wydarzeń scenicznych układających się poetycką opowieść o pełnym tajemnic, marzeń, zmagań z samym sobą i zniewoleniem (jakże wtedy to było czytelne i ważne!) życiem od narodzin do śmierci. Pamiętam rozdającą dobrotliwe klapsy Śmierć graną przez zjawiskową i przejmującą Małgorzatę Podlaszewską, czołową aktorkę BLIK-u; nic dziwnego, że Jupi ją właśnie wybrał na towarzyszkę swego życia; a ona przekazała swój szeroki, ujmujący uśmiech ich synom...

Przy całym uznaniu dla teatralnych, a pantomimicznych zwłaszcza kompetencji Jupiego nie można pominąć współtwórców sukcesów BLIK-u – wspomnianego Kota Koteckiego i słupszczanina Stanisława Miedziewskiego, pod którego wytrawnym reżyserskim okiem do scenicznej szlachetności dojrzewali tak aktorzy teatru jak i jego twórcy.

Mówiąc BLIK nie można nie powiedzieć: *Totus Mundus*, pod tym bowiem hasłem BLIK zainicjował w Koszalinie i Słupsku (razem z tamtejszym teatrem RONDO) Festiwal Teatru Niesfornego, na który zjeżdżały trupy teatralne z Europy – nie tylko zachodniej, bo ta szczególna międzynarodówka teatralna sięgała aż po Morze Białe. Jeden z festiwali odbył się w chmurze radioaktywnego pyłu znad Czarnobyla, co nie sprzyjało oglądaniu spektakli pod gołym niebem – niektóre były uliczne, część prezentowano w amfiteatrze. Pamiętam za to jak dzieciarnia z „Przylesia" biegała za młodymi Holendrami, (a raczej przywiezionymi przez nich gumą do żucia i Pepsi), którzy wystąpili w klubie „W Klocku". Niestety, Totus Mundus w Koszalinie nie przetrwał długo, Słupsk nieco dłużej próbował podtrzymać tę nową „świecką tradycję".

Mówię Jupi – myślę BRYZA

Kiedy „nadejszła wiekopomna chwila" i w 1989 r. ogłoszono koniec PRL a w ślad za tym uwolniona została rzeczywistość medialna, w Koszalinie powstał nie tylko pierwszy bodaj w Polsce prywatny dziennik „Goniec Pomorski" – Jupi publikował tam swoje felietony podpisane „Wasz Skowyczący Bawół") ale także oddział prywatnej szczecińskiej telewizji BRYZA. Zagoś-

Jupi Podlaszewski i jego pantomimiczna młodzież.
W grupie młodych nie zabrakło syna Galla.

fot. Ilona Łukjaniuk

ciła ona na dziewiątym piętrze „Związkowca", gdzie ulokowała się cała redakcja pod wodzą red.nacz. Jupiego Podlaszewskiego. Ekipa była świeża, niezepsuta jakąkolwiek rutyną. W ramówce programu kształtowanego przez Jupiego nie mogło zabraknąć programu poświęconego kulturze. Wymyślił też Jupi cotygodniowy program „Prosto z Parnasu", podczas którego rozmawiał o kulturze z zapraszanymi przez siebie gośćmi.

Tak się złożyło, że Koszalin odwiedził William Wharton, który właśnie promował swoją najnowszą książkę „Opowieści z Moulin de Bruit". Whartona do „Parnasu" nie udało się zaprosić, ale Jupi zaprosił dziennikarkę „Głosu Pomorza", anglistkę Agatę Augusiak i mnie do rozmowy o twórczości pisarza, który w Polsce święcił ogromne tryumfy, jakim dziwili się nawet jego wydawcy w innych krajach. No i tak zaczęła się moja przygoda z „Parnasem", Jupi bowiem dalsze prowadzenie programu zaproponował właśnie mnie. Co niewątpliwie dowodzi jego ogromnej intuicji i trafności w podejmowaniu personalnych decyzji. „Prosto z Parnasu" prowadziłam przez kolejne trzy lata, do końca trwania TV „BRYZA". A doświadczenie to zapisuję do najprzyjemniejszych i najciekawszych we własnej dziennikarskiej biografii.

Mówię Jupi – myślę Olecko

To też jest hasło nierozerwalnie związane z Jupim Podlaszewskim, nie uczestnicząc jednak w żadnym z „Przystanków Olecko" – nie mogę podzielić się żadnymi wspomnieniami. Hasło jednak musi paść, tym bardziej że wiążą się z nim związki z Koszalinem barda Marka Gałązki i jego dość systematyczne występy – a to w Domku Kata a to na prywatnych włościach Państwa Podlaszewskich. Artystyczna więź Jupiego P. z Markiem G. sięga 1992 r.; za rok obaj artyści będą mogli razem świętować jubileusz dwudziestolecia jakże twórczej współpracy.

Mówię Jupi – myślę Anglia

Ku białym klifom Dover podąża myśl ochoczo, związki bowiem Jupiego z Anglią są oczywiste; język Szekspira posiadł perfekcyjnie, bywał tam z BLIKIEM, stamtąd ściągnął aktorów, którzy zasilili kolejną formację teatralną BLIK FISH, z nimi też, jako *native speakers,* prowadzi założoną przez siebie The English Language School of Koszalin. Sama w ogrodach Jupiego poznawałam angielskie nazwy rosnących tam krzewów i drzew, z czułością wspominam angielską nauczycielkę Jean Jones, którą poznałam w szkole Jupiego, a która kilkanaście lat temu była moim uroczym cicerone podczas londyńskiego, majowego weekendu. Z ogromną sympatią wspominam uroczych (przystojnych?) „teacherów" Damiana, Grahama, Caryl Swift – znakomitą aktorkę, która z synem Julianem (po mamie przejął aktorskie geny) na stałe osiedliła się w Polsce. W swym domu (jak pamiętam z pubem - a jakże!) zacny Jubilat zdaje się odnajdywać najlepiej w tej aurze Sztuki i pewnego rodzaju niedbałej elegancji, niewymuszonej, nieco w stylu *dandy*... a jakże przez to angielskiej.

W piosence *When I'm sixty four* wizję przyszłości roztaczali najsłynniejsi Anglicy, czyli The Beatles, pytając w refrenie swą ukochaną (żonę, narzeczoną, kochankę):

Will you still need me, will you still feed me,
When I'm sixty-four

Odpowiem kolegialnie, w imieniu wielu koszalinian i nie tylko: we will, Jupi, we will...

Ewa Miśkiewicz-Żebrowska

55 lat ZPAP na Pomorzu środkowym

Historia kultury plastycznej na środkowym wybrzeżu ma swój początek w roku 1945, kiedy w Białogardzie, niedaleko Koszalina, osiadł Wojciech Sawilski - absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, który w latach trzydziestych XX w. należał do zrzeszenia artystów „BLOK" II Rzeczypospolitej. Po wojnie, po przyjeździe na Ziemie Zachodnie rozpoczął działalność na rzecz koszalińskiego środowiska plastycznego, pełniąc zarazem funkcję kustosza muzeum w Białogardzie do roku 1951.

W 1955 r. Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków powołał swój oddział w Koszalinie. Funkcję pierwszego prezesa piastował Jerzy Niesiołowski, artysta malarz, absolwent Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 1953-1954 środowisko plastyczne zostało wzmocnione przez przybyłych z różnych stron Polski artystów, takich jak: Jerzy Fedorowicz - absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku i ASP w Krakowie (inicjator, organizator i uczestnik Międzynarodowych Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach w latach 1963-1981); Irena Kozera – studiowała w Katowicach i na krakowskiej ASP (aktywna uczestniczka i organizatorka lokalnego życia plastycznego, w latach 1963-1971 współorganizowała „Plenery Osieckie"); Ludmiła Popiel – absolwentka krakowskiego Wydziału Architektury Wnętrz ASP z roku 1954 (współtworzyła i uczestniczyła w plenerach w Osiekach); Ryszard Siennicki - studia ukończył w 1929 r. w Warszawskiej Szkole Rysunkowej (współorganizator i uczestnik „Osiek" oraz pierwszy prezes powołanego w 1963 r. Okręgu Koszalińskiego ZPAP z Oddziałem w Słupsku).

Historia tutejszego oddziału ZPAP to w dużej mierze historia słynnych „Plenerów Osieckich". W 1963 r. Okręg Koszaliński organizuje I Międzynarodowe Studium Pleneru Koszalińskiego w Osiekach, od 1964 r. nazwane Spotkaniami Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki, które trwały do 1981 r., stając się najbardziej znaną i spektakularną imprezą ogólnopolską, promującą najnowsze trendy w sztukach plastycznych.

Dziewiętnaście plenerów w Osiekach przyczyniło się do powstania zbioru sztuki współczesnej, zwanego Kolekcją Osiecką, której początek zainicjował Marian Bogusz, artysta plastyk, absolwent warszawskiej ASP, działacz na rzecz awangardy artystycznej, przekazując w 1963 r. Muzeum w Koszalinie 13 prac z Galerii Krzywe Koło w Warszawie. W kolekcji koszalińskiego Muzeum możemy znaleźć dzieła wybitnych artystów polskich, m. in. takich jak: Henryk Stażewski, Jonasz Stern, Stanisław Fijałkowski, Henryk Berlewi, Alfred Lenica.

W latach 1970-1983 prezesem Oddziału Koszalińsko-Słupskiego ZPAP był Kazimierz Cebula, który w 1990 r. został mianowany Honorowym Prezesem Okręgu Koszalińskiego za zasługi dla środowiska artystycznego.

Prężnie rozwijające się szkolnictwo artystyczne wzmacniało środowisko nowymi artystami. W 1975 r. założono w Koszalinie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, w którym do dziś pracują przybyli do Koszalina artyści plastycy, aktywni członkowie ZPAP. Powołano Biuro Wystaw Artystycznych i należącą do niego Galerię „PRO", z przestronnymi pawilonami przy

ulicy Janka Krasickiego, także Galerię „U" na terenie Urzędu Wojewódzkiego przy ówczesnej ulicy Alfreda Lampego, „Galerię Nadbałtycką" w Salonie MPiK-u oraz Muzeum Okręgowe w Koszalinie. Placówki kulturalne umożliwiały organizowanie licznych i ważnych wystaw, wernisaży, prelekcji i spotkań, promujących środowisko ZPAP w regionie. Artyści koszalińscy i słupscy uczestniczyli w wydarzeniach kulturalnych, jak Ogólnopolskie Plenery Młodych „Miastko".

W stanie wojennym rozwiązano ZPAP, artyści bojkotując państwowe instytucje wystawiennicze tworzyli niezależne życie artystyczne. Dopiero po 1989 r. nastąpiła reaktywacja środowiska plastycznego. W Słupsku Okręg ZPAP powołał, jako pierwszy w Polsce po stanie wojennym, Witold Lubiniecki, absolwent Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu, zostając jego prezesem, by po kilku latach połączyć się znów z Okręgiem Koszalińskim. Także artyści koszalińscy reaktywowali swój Okręg ZPAP, przystępując do stopniowej odbudowy struktur organizacyjnych. Prezesem został wybrany Zygmunt Wujek, rzeźbiarz, absolwent PWSSP w Poznaniu, pełniąc funkcję do 1996 r. Od 1996 r. do 2006 r. funkcję prezesa Okręgu pełniła Ewa Miśkiewicz-Żebrowska, absolwentka Wydziału Grafiki PWSP w Łodzi. W międzyczasie, w latach 2002-2004 prezesem był Marek Łęgowski, absolwent wrocławskiej PWSSP. W latach 2006-2010 funkcję prezesa ZPAP Okręgu Koszalin-Słupsk pełnił Jerzy Ściesiński, wieloletni dyrektor Galerii Sztuki Współczesnej w Kołobrzegu. Od roku 2010 prezesem Okręgu Koszalin-Słupsk ZPAP wybrano ponownie Ewę Miśkiewicz-Żebrowską.

Minione 15 lat to okres wzmożonej pracy

Fragment wystawy „Postawy Roku 2005". fot. Ilona Łukjaniuk

Zarządu nad odbudową struktur organizacyjnych i wznowieniem działalności artystycznej. Organizowano liczne wystawy indywidualne i zbiorowe członków ZPAP. Dzięki inicjatywie artystów-społeczników i życzliwości władz samorządowych zorganizowano i udostępniono środowisku twórców liczne obiekty wystawiennicze w Koszalinie, Kołobrzegu, Białogardzie, Sławnie i Słupsku. W regionie do najważniejszych należą koszalińskie placówki: Muzeum w Koszalinie, Bałtycka Galeria Sztuki i Centrum Kultury 105, Galeria „Ratusz", Galeria „Na Piętrze" Jadwigi Kabacińskiej – Słowik, Galeria Starosty Koszalińskiego, Galeria Centrum Edukacji Nauczycieli, „Centrala Artystyczna", a poza Koszalinem: Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej w Słupsku i Ustce, Galeria Sztuki Współczesnej w Kołobrzegu, Centrum Kultury i Spotkań Europejskich w Białogardzie oraz Dworek Osiecki w Osiekach W wymienionych obiektach odbywają się liczne wystawy, przeglądy i konkursy pod auspicjami ZPAP.

Prezes Okręgu Ewa Miśkiewicz-Żebrowska powołała do życia w 1997 r. doroczną interdyscyplinarną wystawę Okręgu Koszalińsko – Słupskiego ZPAP pn. „Postawy Roku", organizowaną w Muzeum w Koszalinie, przez 10 lat, do 2006 r. Poczynając od 2007 r. „Postawy Roku" zastąpiły „Letnie Prezentacje ZPAP", odbywające się w lipcu i sierpniu w Bałtyckiej Galerii Sztuki w Koszalinie (komisarzem wystaw jest Krzysztof Rećko Rapsa). Zorganizowana w 2010 r. wystawa towarzyszyła jubileuszowym obchodom 55 -lecia ZPAP Okręgu Koszalińsko – Słupskiego.

Od 1998 r. organizowane są w Osiekach Międzynarodowe Plenery Malarskie „Czas i miejsce dla sztuki". Komisarzami plenerów były Ewa Miśkiewicz-Żebrowska i Bożena Giedych, absolwentka Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Do 2010 r. odbyło się 13 plenerów w Osiekach wraz z licznymi wystawami, prezentującymi kilkunastoletnie zbiory malarskie. Do Osiek zapraszani są twórcy, którzy pracowali w Dworku Osieckim przed laty, łącząc przeszłość z teraźniejszością. Wśród nich byli m. in. Erna Rosenstein, Ryszard Lech, Ireneusz Pierzgalski, Krzysztof Meissner, Mieczysław Wiśniewski, Andrzej Słowik, Aleksandra Sieńkowska i inni. Osieki odwiedzają uczniowie dawnych mistrzów, będący rektorami, dziekanami i profesorami uczelni artystycznych, jak Stanisław Tabisz, Zbigniew Purczyński, Zbylut Grzywacz, Jan Rylke, Wojciech Sadley oraz uznani twórcy w kraju i za granicą, jak Józef Wilkoń, Edward Dwurnik, Aleksandra Jachtoma.

Duże znaczenie ma nawiązanie współpracy z miastami partnerskimi Koszalina w Danii, Szwecji, Francji, Niemczech, Finlandii. Prestiż środowiska zaś potwierdzają przyznane członkom ZPAP Złote Odznaki (Ryszard Lech – 2000 r., Jerzy Ściesiński, Ewa Miśkiewicz, Andrzej Słowik – 2010 r.), które są najwyższą formą uznania dla członków rzeczywistych ZPAP za szczególne osiągnięcia w działalności społeczno-organizacyjnej na rzecz środowiska artystów plastyków.

W 2011r. obchodzić będziemy w całej Polsce, w 22 Okręgach, stulecie ZPAP w Polsce. Czynimy starania, by ten jubileuszowy rok stał się swoistym świętem sztuki. Zaplanowaliśmy wiele imprez, których podsumowaniem będzie zorganizowana w Muzeum w Koszalinie środowiskowa wystawa „Postawy Roku z okazji 100 lecia ZPAP". Dzieje Związku Polskich Artystów Plastyków to historia zrzeszonych w nim twórców. To zapis pracy artystycznej, która jest odzwierciedleniem myśli, natchnień i ambicji.

ZPAP skupia 7 tys. twórców reprezentujących wszystkie dziedziny sztuk plastycznych. Jesteśmy obecni w tej rzeszy, wnosząc swój dorobek i świadectwo poszukiwań. Nasz Okręg ZPAP skupia zarówno dojrzałych artystów o znaczącym dorobku, jak i młodych twórców, na początku swojej artystycznej drogi, łącząc doświadczenie z młodością.

Izabela Nowak

Pomorska Ariadna

Mieszkająca w Koszalinie artystka Bożena Giedych pochodzi z urokliwego, położonego na siedmiu wzgórzach Rypina na Ziemi Dobrzyńskiej. Jest absolwentką Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków, aktywnie działa również w Związku Nauczycielstwa Polskiego i w Polskim Stowarzyszeniu Edukacji Plastycznej. Na swoim koncie ma udział w ponad stu wystawach zbiorowych i czterdzieści wystaw indywidualnych w kraju i za granicą – między innymi w Finlandii, Niemczech, Rosji, Słowacji i na Ukrainie. W 2010 roku uroczyście obchodziła 40-lecie swojej pracy twórczej.

Obchody artystycznego jubileuszu Bożena Giedych zaakcentowała czterema indywidualnymi wystawami. Pierwsza z nich odbyła się w warszawskiej Galerii „Młynek", druga – w Galerii MG ART w Považskiej Bystricy na Słowacji. Wystawa, na której artystka zaprezentowała trzydzieści dwie tkaniny, odbyła się pod patronatem Instytutu Polskiego w Bratysławie i zgromadziła wielu znawców i miłośników sztuki zafascynowanych twórczością polskiej artystki. Kolejnym jubileuszowym akcentem była wystawa w koszalińskiej Bałtyckiej Galerii Sztuki, na której wyeksponowano dzieła ze wszystkich gatunków uprawianych przez Bożenę Giedych – rysunki, grafiki, akwarele, malarstwo olejne, projekty zrealizowanych w koszalińskim Domu Biskupów witraży oraz tkaniny. Podsumowaniem roku jubileuszowego była wystawa w Muzeum Ziemi Dobrzyńskiej w rodzinnym Rypinie, gdzie świętowała również swoje wcześniejsze jubileusze - piętnaście i dziesięć lat temu.

Dlaczego 1970 rok artystka uznała za oficjalny początek swojej plastycznej kariery? *W tym czasie zaczęłam tak „na poważnie" zajmować się tkaniną. Ten rok oznaczał również początek indywidualnych wystaw mojego dorobku artystycznego* – wyjaśnia Bożena Giedych. – *Oczywiście, mogłabym dodać trochę więcej lat. Już wcześniej, podczas studiów, moje prace prezentowane były na różnych zbiorowych ekspozycjach, a jedna z tkanin – „Brama Żeglarska" - została zakupiona przez władze Torunia.*

Sztuki plastyczne, które stały się życiowym powołaiem Bożeny Giedych, bardzo wcześnie wkroczyły w życie przyszłej artystki. Uzdolniona plastycznie dziewczynka z zapałam tworzyła wciąż nowe rysunki i już w szkole podstawowej stała się laureatką wielu szkolnych konkursów. Z pewnością talent odziedziczyła po swojej pięknie rysującej mamie. Jej rodzinny dom przesycony był także muzyką, a to za sprawą taty grającego na skrzypcach. Kilkunastoletnia Bożena uczyła się gry na pianinie – te czasy przypomina teraz instrument stojący w jej pełnym obrazów i kwiatów mieszkaniu. Zwyciężyła jednak miłość do plastyki, z którą postanowiła związać swoje życie. Pierwsze podejście na artystyczną uczelnię skończyło się niepowodzeniem, więc skończyła Wydział Techniki na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Nie rozstała się jednak z marzeniami o sztuce i już wkrótce została studentką Wydziału Sztuk Pięknych na Uniwersytecie M. Kopernika w Toruniu.

Kolejnym etapem była praca pedagogiczna, rozpoczęta w Wałczu, gdzie zamieszkała wraz z mężem – architektem. Uczyła przedmiotów artystycznych w Liceum Pedagogicznym, Studium Nauczycielskim i w słynnych „Wałeckich Atenach", czyli Liceum Ogólnokształcącym im. Kazimierza Wielkiego. W 1974 roku przyjechała do Koszalina. Tu związała się z Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych i Studium Nauczycielskim: – *Uczę młodzież, jak patrzeć na świat* – mó-

wi Bożena Giedych. – *Kontakt ze sztuką z pewnością pozytywnie kształtuje osobowość, buduje wrażliwość. Myślę, że ludzie wrażliwi na piękno są także otwarci na innych i potrafią docenić to, co w życiu jest najszlachetniejsze i najważniejsze.*

W Koszalinie Bożena Giedych była współzałożycielką Wojewódzkiego Koła Nauczycieli Plastyków, realizującego różnorodne działania adresowane do uzdolnionych plastycznie nauczycieli i ich uczniów – między innymi Biennale Twórczości Nauczycielskiej pod nazwą „Zabytki Ziemi Koszalińskiej". Od 1991 roku aktywnie działa w Koszalińsko-Słupskim Okręgu ZPAP. Jest współorganizatorką międzynarodowej wymiany wystaw pod nazwą „Sztuka łączy". Wspólnie z prezesem Koszalińsko-Słupskiego Okręgu ZPAP Ewą Miśkiewicz-Żebrowską zainicjowała plenery malarskie w Osiekach, organizowane od 1998 roku pod nazwą „Czas i miejsce dla sztuki". - *Nasz plener łączy z tradycją przede wszystkim miejsce, wyraziście zaznaczone w historii polskiej sztuki współczesnej* – mówi Bożena Giedych. – *To zupełnie nowa inicjatywa, chociaż staramy się kontynuować sprawdzone dawniej formy. Zapraszamy znakomitych artystów, organizujemy spotkania i prelekcje. Mamy też imponujący zbiór prac poplenerowych.*

Muszle. fot. Kazimierz Ratajczak

Z pewnością praca pedagogiczna oraz działalność w roli animatora i promotora kultury plastycznej była bardzo absorbująca. Jednak na pierwszym miejscu – obok oczywiście rodziny, która z czasem powiększyła się o dwie utalentowane plastycznie córki – Bożena Giedych zawsze stawiała twórczość artystyczną. W malarstwie olejnym i w akwareli ma swoje ulubione motywy – kwiaty, pejzaż, martwą naturę, a także ulubione kolory. Jej realistyczne obrazy zachwycają harmonijnym zestawieniem pastelowych, zgaszonych barw, emanują spokojem, zachęcają do kontemplacji urody świata. Artystka przyznaje, że *nie lubi zgrzytów, zarówno w muzyce, poezji, jak i malarstwie.*

W zachwycającym precyzją rysunku Bożena Giedych koncentruje się na pieczołowicie przedstawianych detalach. Potrafi oddać nawet fakturę kwiatu! Zapewnia, że taka sztuka potrafi działać terapeutycznie, o czym przekonała się pokonując kłopoty ze zdrowiem. Nawet podczas pobytu w szpitalu uwieczniała na swoich rysunkach widoki ze szpitalnego okna. I od razu czuła się znacznie lepiej.

Zupełnie odmienne oblicze artystki odnajdujemy natomiast w oryginalnych abstrakcyjnych tkaninach, które dziś stanowią główny nurt jej plastycznej twórczości. – *Moja fascynacja tkaniną rozpoczęła się już w dzieciństwie* – mówi Bożena Giedych. – *Rodzinny dom w Rypinie pełen był huculskich kilimów, stwarzających taki ciepły, przytulny klimat. Koloryt i prostota tych tkanin na zawsze pozostawiły ślad w mojej świadomości. Przyszedł taki czas, że z powodów zdrowotnych musiałam zrezygnować z malarstwa. Zajęłam się więc tkaniną, w której równie pięknie i sugestyw-*

nie można wyrazić siebie. Ale w porównaniu z malarstwem ta sztuka wymaga większej dyscypliny. Obraz w każdej chwili można zmienić, zamalować niektóre fragmenty, natomiast z tkaniną jest zupełnie inaczej. Ale tkanina jest także odmianą malarstwa. Może być płaska, przestrzenna, działa ażurami, zestawieniem barw, materiałów i faktur. Ma nieskończone możliwości! Inspiruje mnie wszystko – chmury, piękne zachody słońca, historyczne i aktualne wydarzenia, antyk, mitologia, przyroda. Jednak tkanina rządzi się innymi prawami niż obraz. Musi być wyrazistym symbolem.

Swoje monumentalne tkaniny artystka zestawia w cyklach tematycznych – „Cztery pory roku", „Okna", „Muszle", „Kompozycje" „Wydarzenia historyczne". Z każdą z nich wiąże się inna historia, każda jest odbiciem przemyśleń i autorskim artystycznym komentarzem. Każda z nich jest również bardzo ważna dla autorki. Wiele tkanin znalazło swoje miejsce w placówkach muzealnych. W Muzeum Watykańskim eksponowana jest reliefowa, wykonana z góralskiej wełny w kolorze ecru tkanina przygotowana przez artystkę jako dar Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego dla papieża Jana Pawła II. Tkaniny i obrazy autorstwa Bożeny Giedych znajdują się również w Galerii Wojsk Lotniczych w Poznaniu, Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, Ministerstwie Obrony Narodowej, w zbiorach Muzeum Regionalnego w Kraśniku Lubelskim, Państwowego Muzeum na Majdanku w Lublinie, Muzeum w Alupce na Krymie (Ukraina), w Muzeum Ziemi Dobrzyńskiej w Rypinie, w Galerii „Kunst aus Polen" w Berlinie (Niemcy), w Galerii AG ART. w Považskiej Bystricy na Słowacji oraz w Galerii „N" w Koszalinie. Są także ozdobą wielu kolekcji prywatnych w kraju i za granicą.

Obok tych tkanin trudno przejść obojętnie. Ich wyrazistą urodę, a także oryginalność i precyzję kompozycji podkreślił historyk sztuki Bogdan Jankowski: *Świat tkanin Bożeny Giedych jest wizją sztuki współczesnej i najdawniejszej, pięknej i intrygującej, duchowej i materialnej, jest światem wiecznie tkanym przez Ariadnę dla współczesnego Tezeusza...* Dzieła koszalińskiej artystki zachwyciły także słowackiego teoretyka sztuki Milana Mazúra, który we wstępie do katalogu jubileuszowej wystawy Bożeny Giedych napisał: *Twórczość włókienniczą polskiej artystki rozumiem jako cząstkową, specjalistyczną sondę do autorskiego twórczego myślenia związanego z problematyką ręcznie tkanych gobelinów. Rozwija w nich wiele możliwości monumentalnej sztuki dekoratywnej połączonej z własnymi, jakby malarskimi dążeniami, jej dzieła wnoszą do tej techniki nowy ciężar struktur materiałowych, przewartościowanie koloru i kształtu, a przede wszystkim oddają technikę gobelinów (...) Bożena Giedych wyznaczyła kierunek, w którym podąża polska szkoła tkaniny. Osiągnęła we włókiennictwie wyraz artystyczny, który bardzo trudno byłoby naśladować. Autorka bowiem, podążająca za swoim jasnym programem, jest niedościgniona.*

Bożena Giedych dwa razy otrzymała stypendium twórcze Ministra Kultury i Sztuki. Kolejną nagrodą, przyznaną przez MKiS był udział w plenerze plastycznym na Krymie, który często wspomina. Zauroczyły ją piękne krymskie pejzaże i wspaniali artyści, których wówczas poznała.

Bożena Giedych jest laureatką wielu konkursów plastycznych. Zdobyła między innymi Grand Prix I Biennale Sztuk Plastycznych „ARS'91" w Warszawie za tkaninę „Powstanie Warszawskie", dwukrotne wyróżnienie CBWA „Zachęta" w Warszawie oraz wyróżnienie na Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki w Lublinie.

„Pomorska Ariadna" – jak określił Bożenę Giedych Lucjan Hanak – otrzymała za swą artystyczną twórczość oraz działalność na rzecz upowszechniania i animacji kultury Złoty Krzyż Zasługi, Odznakę Honorową „Za Zasługi w Rozwoju Województwa Koszalińskiego", Złotą Odznakę ZNP, odznakę „Zasłużony Działacz Kultury", Medal Pamiątkowy „Za Zasługi dla Koszalina", Odznaczenie Rady Miasta „Zasłużony dla Miasta Rypina", Medal Komisji Edukacji Narodowej, Nagrodę Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego, Nagrodę Starosty Koszalińskiego i Nagrody Prezydenta Miasta Koszalina.

Maria Idziak
Andrzej Słowik

KTSK i 50 plenerów

Czy pamiętamy pierwszy zorganizowany przez nas plener? Oczywiście, to była zima w Czaplinku, w 1984 roku. Plener został przygotowany przy współpracy Czaplineckiego Towarzystwa Kultury. Pracownia w Czaplineckim Ośrodku Kultury, mieszkanie i wyżywienie w restauracji „Słoneczna". Zimno i śnieżnie. Artyści głównie ze środowiska koszalińskiego. Do Czaplinka jeździliśmy zimą przez następne kilka lat.

Ile zorganizowaliśmy plenerów? Ponad pół setki, ale nie udało nam się dokładnie policzyć. Przewijały się różne koncepcje i wielu różnych artystów z kraju i z zagranicy.

Były plenery dla artystów profesjonalnych, plenery łączące artystów i młodzież twórczą – absolwentów liceów plastycznych i studentów, plenery tylko dla młodzieży, plenery adresowane do artystów awangardowych, plenery „papierowe". Te ostatnie skupiały twórców pracujących różnymi technikami mającymi związek z papierem.

Kiedy gościnnie uczestniczyliśmy w różnych plenerach i warsztatach twórczych, dochodziliśmy do wniosku, że trzeba wypracować swoją niepowtarzalną formułę pleneru.

Podstawowym jej elementem stała się wspólna pracownia pozwalająca na wspólne tworzenie i wzajemną inspirację. Wszyscy nasi goście bardzo to sobie cenią. Nawet jeśli nie potrafią pracować w grupie, to po jakimś czasie przychodzą ze swoimi farbkami. W pracowni słucha się muzyki, wieczorami ogląda filmy, rozmawia, czasem tańczy. Oczywiście każdy plener kończy się pokazem powstałych prac, na który zapraszamy mieszkańców oraz przyjaciół. Współpracujemy też ze szkołami, organizując spotkania autorskie i zapraszając dzieci do pracowni na warsztaty plastyczne. Wypracowany przez nas model pleneru jest mile widziany przez współpracujące z nami, zapraszające nas osoby – inaczej mówiąc naszych dobroczyńców, dzięki którym możemy spotykać się w miłym artystycznym gronie i wspólnie pracować. Wszystkim tym osobom jesteśmy ogromnie wdzięczni za życzliwość. Współpraca z tzw. biznesem – głównie hotelarskim - zaowocowała powstaniem kilku dość dużych kolekcji malarstwa współczesnego. Jedna z takich kolekcji – należąca do Hotelu „Polanin" w Połczynie Zdroju - została zaprezentowana w Muzeum w Koszalinie.

Wracając do historii, zapytałam Andrzeja na czym polega nasz sukces i to, że ciągle nam się chce zapraszać kolegów artystów do wspólnej pracy. Na pierwszym miejscu Andrzej wymienił kontakty towarzyskie. Miło jest przebywać i pracować z przyjaciółmi. Artysta zwykle jest osobą pracującą samotnie w swojej pracowni. Plener jest przede wszystkim wydarzeniem towarzyskim. Z Andrzejem świetnie się dogadujemy, mamy więc nadzieję, że zorganizujemy jeszcze kilka sympatycznych i twórczych spotkań.

I tak w telegraficznym skrócie: po zimowym Czaplinku (siedem plenerów), pojawiły się nowe miejsca plenerowe, z którymi również związani byliśmy po kilka lat. Bobolice – współpraca z Ośrodkiem Kultury i Klubem Tunel. Część plenerowej kolekcji znajduje się dziś w Izbie Regionalnej. Później było Górzno k. Brodnicy –

dziewięć plenerów, Karlino i plener „Zapraszam do pracy". Wreszcie cykl plenerów trwający do dziś pod hasłem PAPIER - trzynaście plenerów w Połczynie Zdroju, trzy w Starym Resku koło Połczyna, kilka w Sianożętach, no i obecnie w Starej Wiśniewce k. Złotowa oraz w Pałacu w Ramlewie. Z naszej statystyki wynika, że było ich dotychczas około pięćdziesięciu.

Wzięło w nich udział ponad 100 artystów, a ile prac powstało? Togo nie da się policzyć.

Organizację plenerów wspierało i wspiera do dziś Koszalińskie Towarzystwo Społeczno – Kulturalne. W pierwszych latach nie mieliśmy problemów finansowych. Plenery dotowane były przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie. W latach dziewięćdziesiątych sytuacja zaczęła się komplikować. Musieliśmy odwołać się do sponsorów – miłośników sztuki. Zaczęliśmy współpracować z firmami, później z właścicielami hoteli, domów wczasowych itp. Tę współpracę cenimy sobie najbardziej, bo dzięki niej powstają w różnych miejscach żywe kolekcje sztuki. Każdemu plenerowi towarzyszy niewielkie, wykonywane ręcznie wydawnictwo, zawierające tekścik o sztuce lub o plenerze oraz rysunki poszczególnych artystów. Oto kilka katalogowych fragmentów.

50 plenerów.

fot. archiwum KTSK

Wojciech Ciesielski

Dekada z neoawangardą

10 lat „Lubieszewa"

W roku 2010 spotkania Artystów w Lubieszewie odbyły się po raz dziesiąty. Jest to impreza od początku organizowania całkowicie prywatnie, funkcjonująca na absolutnych obrzeżach, a jednak dla Koszalina niesłychanie ważna, z dwóch powodów. Po pierwsze: tradycja plenerowych spotkań artystycznych ma w tym mieście bogatą, bo już niemal półwieczną historię. Trwa ona od 1963 roku, od powołanych wtedy Spotkań Artystów, Naukowców i Teoretyków Sztuki w Osiekach. Wypracowano wtedy zupełnie nową koncepcję spotkania artystycznego. Znamienna jest tu sama nazwa, która wskazuje na propozycję stworzenia platformy do artystycznej dyskusji. Bożena Kowalska w swojej książce „Polska awangarda malarska" dostrzegła i doceniła tę innowacyjność wskazując na Osieki, jako na wzór dla wielu innych, podobnych inicjatyw.

Po zakończeniu „Osiek" w 1981 roku, następowały kolejne próby kontynuowania przerwanej stanem wojennym tradycji, między innymi plenerami w Złocieńcu, Karlinie czy - już po 1989 roku - Europejskimi Spotkaniami Artystów w Bornem Sulinowie. O bezpośrednim związku i chęci naśladowania tych ostatnich wspomina nawet Stanisław Wolski, jeden z organizatorów spotkań lubieszewskich, w folderze wydanym z okazji dziesięciolecia. Jest to zatem nieustanna walka o utrzymanie ciągłości i neoawangardowej spuścizny w Koszalinie. W czasie trwania spotkań do niewielkiej wsi nad jeziorem Lubie przyjeżdża wielu artystów z całego kraju. Odbywają się wykłady, prezentacje, wystąpienia, no i przede wszystkim toczą się rozmowy o sztuce. Z Lubieszewem od lat jest związana także grupa studentów i absolwentów Instytutu Wzornictwa, działającego na Politechnice Koszalińskiej; dla niektórych ten „letni fakultet" to doskonała okazja do poznania w zupełnie inny sposób twórczości wielu artystów. O wadze tych postaw i działań nie należy chyba nikogo przekonywać.

Drugim powodem, dla którego Spotkania Artystów w Lubieszewie dla Koszalina mają wielką wartość, to ich spuścizna, wystawy i prezentacje, ślad zostawiany w samym mieście. W roku 2010 takim wydarzeniem było „10 dni z neoawangardą", rozpoczęty 14 października cykl trzech imprez przygotowanych wspólnie z prowadzoną przez Ryszarda Ziarkiewicza Galerią Scena. Jedną z nich była wystawa zaaranżowana w Centrali Artystycznej (przy ulicy Modrzejewskiej), prezentująca fotografie wykonane przez Zygmunta Rytkę (Warszawa), Zbigniewa Taszyckiego (Poznań) i Waldemara Wojciechowskiego (Szczecin) w trakcie ich pobytów w Lubieszewie. Kolejnym elementem był pokaz dokumentacji dotychczasowych plenerów, przygotowany przez drugiego z organizatorów, Andrzeja Ciesielskiego. Plansze umieszczone w „Scenie" przy placu Polonii, zostały wykonane w charakterystycznym stylu„Mojego Archiwum" tegoż artysty. Były to więc obiekty zarówno do oglądania jak i czytania – autorski „patent" prezentowania dokumentów artystycznych, demonstrowany wielokrotnie w całym kraju.

Centralne miejsce w programie tego „festiwalu neoawangardy" zajęła wystawa przygotowana w tymczasowej filii „Sceny", w Pałacyku Myśliwskim przy ulicy Piłsudskiego. Swoje prace pokazało tu troje artystów, wieloletnich uczestników spotkań. W pierwszym pomiesz-

Zbiory Fundacji „Moje Archiwum". fot. archiwum galerii „Scena"

czeniu zostały umieszczone obiekty i fotografie z cyklu „Owo" Aleksandry Ska (Poznań). Dziewięć tabliczek przywodzących na myśl artefakty z gabinetu biologicznego, zawierało spreparowane wkładki higieniczne. Zamknięte niczym w formalinie, przypominały kobiece narządy intymne. Naprzeciwko znalazły się barwne fotografie zdeformowanych męskich członków, szokujące na pierwszy rzut oka, niepokojące i fascynujące równocześnie, jak preparaty dziwolągów w muzealnych słojach lub na wystawach anatomicznych.

Spektrum różnych mediów wykorzystywanych przez artystkę jest bardzo szerokie, od instalacji, poprzez obiekty, fotografię, aż po projekcje wideo. W swoich realizacjach posługuje się często różnorodnymi masami plastycznymi, silikonem, tkaninami, włosami, metalowymi narzędziami, a nawet ciastem. Podkreślanym przez krytyków wyróżnikiem jej prac jest ich haptyczność, prowokująca do ich dotykania. Ten rodzaj sensualności może być jednym z kluczy do odbioru prac zaprezentowanych w Koszalinie. Za drugi niech posłuży idea Lamelli - czyli czegoś bardzo płaskiego i poruszającego się jak ameba - zaczerpnięta z prac Jacquesa Lacana: koncepcja libido, czystego instynktu, nieśmiertelnego życia, którego nie sposób się pozbyć. Nieśmiertelność ta jest obsceniczna, nastawiona jedynie na trwanie i reprodukcję.

Aleksandra Ska w swoich pracach bada życie, analizuje cielesność jako element oddzielający ją od zewnętrznego świata, lecz także jako obcą formę podporządkowującą się jedynie własnym prawom. Przedmiotem analizy staje się nie tylko obserwacja kobiecego ciała, lecz także stosunek do obcej, męskiej obecności, innego wszechświata. Artystka podejmuje dialog ze wzorami kultury i stereotypami, stawia pytania o kobiecość, namiętności, o to, co wyparte i skrywane w podświadomości.

Jerzy Grzegorski (Łódź), drugi artysta prezen-

tujący swoje prace na wystawie, współprowadzi łódzką galerię „Wschodnia" od początku jej istnienia. Zaangażowany w jej działalność oraz w organizowanie różnego rodzaju imprez artystycznych w Koszalinie nie pojawiał się zbyt często. Ukończył studia na PWSSP w Łodzi na Wydziale Malarstwa i Grafiki, jednak ostatecznie zainteresował się instalacją. Jak sam kiedyś skomentował swoją twórczość: *Zawsze dążyłem do tego by moja twórczość nie była jednoznaczna, ale zawierała kilka poziomów. Konsekwencją tego było przejście od działań na płaszczyźnie, w świecie zdarzeń opowiedzianych, do zdarzeń rzeczywistych, które mają swój wyraz fizyczny. [...] Drugi poziom [ich istnienia] zawiera się w konotacjach do świata konstrukcji reliktowych lub industrialnych. Trzeci poziom, to poziom funkcjonowania utworów w świecie abstrakcji, w świecie umysłu, w świecie głęboko pojętej estetyki*

Zaprezentowane w Koszalinie cykle fotografii są w pewnym sensie powrotem do malarstwa, jako do poszukiwania barwnych relacji i układów kompozycyjnych w obrębie płaszczyzny. Zestawy zdjęć zbudowane są z różnych ujęć prezentujących podobne motywy połączone w jeden obiekt. Artysta stosuje swobodne kadrowanie, które umieszcza fotografowany obiekt często niemal na krawędzi, powtarza też ujęcia, po upływie pewnego czasu, przy zmienionym świetle. W ten sposób fotografowany przedmiot zostaje pozbawiony swojego „obiektywnego" znaczenia, staje się istotny jedynie jako element estetyczny. O fotografii jako o medium manipulującym i kreującym, mimo pozorów mechaniczności zapisu, powiedziano już dużo, tutaj ten proces jest unaoczniony w sposób wyjątkowo subtelny.

W pewnym okresie swojej twórczości Jerzy Grzegorski często wykorzystywał w swoich realizacjach stearynę, materiał kruchy, delikatny, podatny na topienie i znikanie pod wpływem ciepła. Ta efemeryczność materii daje się odnaleźć także w omawianych pracach. Są to jakby zapisy chwilowych wrażeń, zatrzymanych pozornie w kadrze fotograficznym, lecz tak naprawdę w ułomnej ludzkiej pamięci. Za-

Spektakl iluzji Danuty Dąbrowskiej. fot. archiwum galerii „Scena"

pamiętane odczucia, barwy, temperatura, nastrój chwili, absolutnie subiektywne zamknięte w obrazach, przekazane są widzom.

W ostatniej sali pałacyku umieszczona została instalacja Danuty Dąbrowskiej (Szczecin) „Visual snow". Odnosi się ona do zaburzenia widzenia, nazywanego śniegiem optycznym, lub śnieżeniem migrenowym. Bywa ono przejściowe lub permanentne, objawia się w postaci licznych białych lub półprzezroczystych migających kropek w części lub w całym polu widzenia. Nie jest schorzeniem oczu; raczej uznaje się je za jeden z głównych symptomów powikłania migrenowego.

W sali zostały zawieszone prostokątne i okrągłe, czarne tablice z wykreślonymi na ich powierzchni siatkami zbudowanymi z białych punktów, i perpektywicznie zwężającymi się tunelowo ku środkom plansz. Przywodziły na myśl specjalne pomiarowe układy, pozwalające dokładnie określić położenie obiektu w przestrzeni. W rogu pomieszczenia ustawiono projektor, którego obraz odbijał się od umieszczonego naprzeciwko lustra i powiększony, był rzutowany na całą powierzchnię pokoju. Na ścianach, oknach, na zwiedzających, na każdym dostrzegalnym elemencie pojawiały się migoczące, wibrujące chaotycznie białe plamki. Przez chwilę każdy mógł doświadczyć tego optycznego wrażenia.

W swojej twórczości Danuta Dąbrowska zajmuje się relacjami pomiędzy światem postrzeganym a filtrującą go świadomością, podwójnym widzeniem zawartym w obrębie jednostki. Optyczne i mentalne zależności tego co widzimy opierają się zarówno na biologicznych i fizycznych prawach, jak i na własnych wyobrażeniach i domniemaniach. Jak sama wspomina, fascynuje ją również zjawisko ruchu, projekcji obrazów na płaszczyznę, a zwłaszcza ich moc całkowitego pochłaniania uwagi. Migotanie kinowego obrazu, świateł i cieni w fałszywej przestrzeni to, mówiąc jej słowami, „spektakl iluzji". W realizacji „Visual snow" widzowie zostają jakby „wciągnięci" do owej mentalnej przestrzeni. „Śnieżenie" niepodlegające prawom optyki, jest wytworem umysłu, lecz całkowicie przetwarza obraz przekształcając widziany świat w iluzję.

Wymienieni artyści od wielu lat związani są ze spotkaniami w Lubieszewie. Można powiedzieć, że ta wystawa w pewnym sensie ujawniła wspólnotę duchową artystów tam przyjeżdżających. Znamiennym jest bowiem, że wystawa, choć pozbawiona tytułu, opowiada o różnych sposobach postrzegania otaczającego nas świata. Jak stwierdził Ryszard Ziarkiewicz „Lubieszewo to postawa" – można dodać, postawa uważnego i wnikliwego obserwatora. Dobrze, że z okazji dziesięciolecia spotkań mieszkańcy Koszalina mieli okazję, dzięki sztuce, spojrzeć inaczej na rzeczywistość wokół nich, o ile tylko zeszli na chwilę z udeptanej ścieżki i wstąpili do galerii.

Małgorzata Kołowska

Szlachetna, a ryzykowana dekada

10-lecie Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik"

Przed pięcioma laty, w pierwszym almanachu „Kultura Koszalińska", wybitny pisarz, poeta i krytyk literacki zarazem Piotr Kuncewicz napisał: „Miesięcznik" jest najmocniejszym potwierdzeniem starej prawdy, że prowincjonalizm to rodzaj postawy lub charakterologicznego skrzywienia, a nie klątwa czasu i miejsca. Tym to zacnym piórem odnotowaliśmy wówczas – a, przypomnijmy, był to rok 2005 – pięciolecie istnienia miesięcznika „Miesięcznik".

Niepostrzeżenie minęło kolejne pięć lat. Piotr Kuncewicz zmarł w roku 2007 i nie możemy Go więcej kłopotać prośbami o kolejną jubileuszową laudację. Z ówczesnego wszelako tekstu każde słowo zachowało swą aktualność, a jedyne, co się zmieniło, to „wiek metrykalny" „Miesięcznika". Pisał więc wówczas Piotr Kuncewicz dalej: *Wydawanie pisma społeczno-kulturalnego jest zabiegiem równie szlachetnym, co i ryzykownym, dlatego polski rynek wydawniczy straszy „czarnymi dziurami" po wielu sławetnych tytułach takich czasopism.*

Tym razem nie ma żadnej „czarnej dziury", ale jest tytuł, który utrwalił swoje miejsce na prasowym rynku ogólnopolskim, prawda, że w jego niszowej, bo poświęconej kulturze, części. Co legło u podstaw tego niewątpliwego sukcesu? Odpowiedź Piotr Kuncewicz dal już pięć lat temu, pisząc: *(...) Szeroki – krajowy i europejski oddech „Miesięcznika" czerpie tlen nie tylko z „kadrowego zaplecza", w którym się skrzy dosłownie od dobrych nazwisk publicystów, naukowców i dziennikarzy, ale także z doboru tematyki, która zmusza piszących i czytających do postrzegania świata jako systemu naczyń połączonych, a historii jako cywilizacyjnego continuum, którego ogniwem jest współczesność przeżywana „tu i teraz".*

Poręczny format i oryginalna szata graficzna, a także najszlachetniejszej wody eklektyzm, to dwa dodatkowe walory pisma, które „rozpina" przestrzeń życia umysłowego ponad kosodrzewiną konsumpcyjnego wyścigu szczurów i codziennym mieleniem wolnorynkowych żaren, które, niestety, niezbyt chętnie oddają część swojego „urobku" na wspomaganie kultury, a zwłaszcza pism kulturalnych i literackich.

Wówczas Piotr Kuncewicz pisał o *zawartości 66 wydanych dotąd numerów (w tym – kilku podwójnych)*. Dziś miałby podwojony materiał analityczny, ostatnie bowiem, kwietniowo-majowe wydanie „Miesięcznika" w roku 2011 opatrzone jest numerem 129/130. Poza tą aktualizacją pozostałe stwierdzenia nie straciły swej ważności: *„Miesięcznik" stał się swoistą „pieczęcią" życia umysłowego i kulturalnego regionu oraz niezastąpionym informatorem i recenzentem jego bogatej i nie zawsze z perspektywy Warszawy zauważanej – oferty kulturalnej. Warto dodać, że jest informatorem i recenzentem szczególnie życzliwym, co nie znaczy, że bezkrytycznym. Jest to wartość niecodzienna na rynku prasowym, którego standardy informacyjne i recenzenckie zaczynają wyznaczać tabloidyzujące się pisma uwikłane w „bitwę o czytelnika" (...) Bez*

Maria Ulicka i Piotr Jedliński. fot. Ilona Łukjaniuk

względu na to, jak się potoczą losy „Miesięcznika", już dziś wiadomo, że będzie przez dziesięciolecia nieocenioną kopalnią wiedzy o regionie – o jego twórczych mieszkańcach, ich kulturze i życiu umysłowym.

Losy potoczyły się szczęśliwie. „Miesięcznik" wszedł w swoje drugie dziesięciolecie, choć redaktor naczelna Maria Ulicka pisała we wstępniaku do numeru jedenastego, wieńczącego rok 2010: *Muszę przyznać: nie bardzo wierzyłam, że dotrwamy takiego słusznego dla niszowego pisma wieku, często miałam chwile zwątpienia, a nawet - załamania. Szczególnie wówczas, kiedy na listy w sprawie pomocy naszemu „Miesięcznikowi" do tych, którym naprawdę powinno na nim zależeć, którzy uważają się za przyjaciół koszalińskiej (i nie tylko) kultury - otrzymywaliśmy grzeczne, ale niedające żadnej nadziei odpowiedzi w rodzaju: doceniamy, ale nie możemy. A jednak - wspaniałe grono moich współpracowników (bez etatów) z Izą Nowak na czele oraz prawdziwych przyjaciół kultury - nie zawiodło!*

Niech nie zawodzą nadal! Wszak w jedności siła. Choć i to wiemy skądinąd, że „wśród prawdziwych przyjaciół psy zająca zjadły". Tę prawdę jednak włóżmy... między bajki.

Izabela Nowak

Oficyna ze znakiem jakości

Dziesięć lat MILLENNIUM

Opublikowane w 2000 roku albumy Najwybitniejsi twórcy i artyści Koszalina 1945-2000, Koszalin 1901-2000 oraz Ryszard Lech. Ziemia Koszalińska i Słupska w grafice i karykaturze z edytorskim impetem rozpoczęły działalność koszalińskiej Agencji Wydawniczej MILLENNIUM założonej i prowadzonej przez Bogdana GUTKOWSKIEGO. Od tej chwili staraniem wydawnictwa ukazały się dwadzieścia trzy książki – albumy, powieści, tomiki poetyckie, zbiory opowiadań i eseje krytyczno-literackie. Znacząco wpisały się one w nurt literatury ambitnej i poszukującej, wzbogacając życie kulturalne i literackie Koszalina. Ich swoistym „znakiem firmowym" jest zawsze zwracająca uwagę starannością i szlachetną urodą szata edytorska oraz pragnienie, by pokazać światu wyjątkowe osobowości artystyczne.

Agencja MILLENNIUM jest mikro-oficyną od 2000 roku skoncentrowaną na wydawaniu i promowaniu twórczości literackiej regionu Pomorza Środkowego – przedstawia swoje wydawnictwo Bogdan Gutkowski. – *Ten swoisty „regionalizm" jest w pełni świadomym wyborem. Mieszkam na Ziemi Koszalińskiej i właściwie mniej interesują mnie wydarzenia o ogólnopolskim „polu rażenia". Mam świadomość, że tutaj również powstają bardzo wartościowe utwory literackie, którymi raczej nie zainteresują się wielkie koncerny wydawnicze. Staram się więc, by ujrzały światło dzienne i trafiły do rąk czytelników.*

Pierwsza z „Millennijnych" publikacji – pięknie wydany i bogato ilustrowany obrazami i fotografiami album *Najwybitniejsi twórcy i artyści Koszalina 1945-2000* – to prezentacja sylwetek koszalinian, którzy zaznaczyli swą obecność w architekturze, muzyce, plastyce i teatrze, a także podsumowanie pięćdziesięciu pięciu lat koszalińskiego życia kulturalnego. Kolejne, równie efektowne edytorsko wydawnictwo albumowe – *Koszalin 1901-2000* Zdzisława Pacholskiego, ilustruje rozwój Koszalina w minionym stuleciu. Obok widokówek z początków wieku, herbów Koszalina i zdjęć archiwalnych, w albumie znalazły się znakomite współczesne fotografie. Oryginalnością wyróżnia się trzeci z opublikowanych w 2000 roku przez MILLENNIUM albumów – *Ryszard Lech. Ziemia Koszalińska i Słupska w grafice i karykaturze*. Wydawnictwo ilustrowane jest linorytami przedstawiającymi pejzaże i zabytki dawnego województwa koszalińskiego oraz utrwalonymi w konwencji błyskotliwej karykatury portretami polityków, artystów, dziennikarzy, lekarzy, prawników i hierarchów kościelnych. Warto podkreślić, że promocji pierwszego z albumów towarzyszył koncert symfoniczny z udziałem znanego dyrygenta Macieja Niesiołowskiego i Koszalińskiej Filharmonii, natomiast z okazji wydania albumu prac Ryszarda Lecha zorganizowano wystawę dzieł artysty, prezentowaną w Koszalinie, Sławnie, Słupsku, Kołobrzegu, Darłowie i Połczynie-Zdroju.

Interesujące portrety ludzi, którzy w drugiej połowie XX wieku współtworzyli kształt życia społecznego, politycznego i kulturalnego Koszalina, znalazły się w książce *Z przeszłości w przyszłość* autorstwa dziennikarza Piotra Pawłowskiego Na tę publikację złożyło się dziesięć obszernych wywiadów z wybitnymi mieszkańcami Koszalina. Różne dziedziny aktywności zawodowej, odmienne temperamenty,

różnorodność przeżyć, barwne wspomnienia i prywatne zainteresowania składają się na pasjonujące życiorysy nierozerwalnie splecione z historią – tą wielką i tą związaną z tworzeniem w Koszalinie swej własnej „małej ojczyzny". Rozmówcami Piotra Pawłowskiego są m.in.: w ostatnich dniach życia uhonorowany kardynalską purpurą Ignacy Jeż, parlamentarzyści Krzysztof Majka i Ryszard Ulicki, artysta malarz Andrzej Słowik, kompozytor Andrzej Cwojdziński, literat Czesław Kuriata, lekarz Zdzisław Maciejewski i dziennikarz Andrzej Czechowicz. - *Otrzymujemy dziś książkę wyjątkową* – mówiła podczas promocji red. Jadwiga Koprowska z Radia Koszalin. – *Większość małych społeczności o bogatych tradycjach dba, by wspomnienia ludzi mieszkających w tych miastach czy miasteczkach ukazywały się regularnie. W Koszalinie nie ma takiego zwyczaju. Właściwie tylko Agencja „Millennium" wypełnia tę lukę."*

Halszka Olsińska, Małostki.

Jednocześnie oferta wydawnicza MILLENNIUM systematycznie poszerzana jest o literaturę par excellence piękną – ukazuje się powieść znanego środkowopomorskiego twórcy Anatola Ulmana *Cigi de Montbazon*, tomik wierszy ks. Henryka Romanika *Słucham*, oraz poezja satyryczna Henryka Livora-Piotrowskiego zebrana w tomie *Zbawcy i zabawcy*. Kolejną interesującą propozycją okazał się zbiór opowiadań *Złoto żałobne* autorstwa Mariana Pankowskiego, poety, prozaika, dramatopisarza, krytyka literackiego i tłumacza, emerytowanego profesora Universitè Libre w Brukseli, uznawanego za swoistą „ikonę artysty krytycznego i niepokornego". W roku 2007 staraniem MILLENNIUM ukazała się również książka Tadeusza Zubińskiego *Wieża i inne opowiadania* – pełna zadumy i nostalgii opowieść o przemijaniu, pogoni za marzeniem, o przeznaczeniu determinującemu ludzkie losy, o niespełnionych tęsknotach, sekretnych namiętnościach, a jednocześnie o końcu pewnej epoki.

W trakcie minionej dekady ukazywały się kolejne tomiki koszalińskiej poetki, felietonistki, publicystki i krytyka literackiego, Halszki Olsińskiej. Jej twórczość wpisuje się w nurt poezji głęboko humanistycznej, prowokującej do przemyśleń nad kondycją współczesnego człowieka. Swoje refleksje, a także wnikliwą analizę rzeczywistości autorka zamyka w sugestywnych wierszach – klarownie skonstruowanych i znakomicie pointowanych. Za sprawą MILLENNIUM do rąk czytelników trafiały kolejno tomiki: *Jego omnipotencja*, *Mniejsza całość, Małostki* - zbiorek uroczych poetyckich miniaturek i *W stronę Monsalwatu*. W roku 2009 ukazał się obszerny zbiór poezji Halszki Olsińskiej *Wiersze zebrane i trochę nowych.*

Kolejną poetką, której twórczość oficyna Bogdana Gutkowskiego promuje, jest Liliana Abraham Zubińska. Tomik *Cisza wie* jej autorstwa to kreowany subtelnym piórem świat kobiecych emocji i pragnień. - *Jak to właściwie jest, że ogromna liczba kobiet „zawłaszcza" terytorium poezji? A wobec całego szeregu dokonań*

literackich piszących pań, jakie miejsce zajmuje w nim niewielka objętościowo książeczka Liliany Zubińskiej? – zastanawiał się podczas promocji książki recenzent tomiku Andrzej Turczyński. – *Ktoś mniej ode mnie podejrzliwy odczyta zawarte w niej wiersze jako typowo kobiece, zwiewne i delikatne liryki. Jednak po chwili namysłu można dostrzec, że te wiersze zmierzają ku bardzo odległym i bardzo głębokim horyzontom...*

Od początku w ofercie wydawniczej MILLENNIUM szczególne miejsce zajmuje twórczość jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy polskich, a także eseisty, krytyka literackiego, dramaturga i tłumacza, Andrzeja Turczyńskiego, laureata wielu nagród literackich. W 2001 roku ukazał się *Ząb mądrości* – zbiór esejów krytyczno-literackich analizujących twórczość Jarosława Iwaszkiewicza. Tę tematykę Andrzej Turczyński kontynuował także w zbiorze *Pan Bóg, pisarz i diabeł*. MILLENNIUM wydało także zbiory opowiadań *Znaki napowietrzne* i *Dietdomszczyzna* – swoiste rozliczenie autora z traumatycznym doświadczeniem czasu dzieciństwa i młodości. W roku 2009 ukazuje się zbiór *Uzurpacje, Eseje paraboliczne*, który okazał się wyjątkowo interesującą pozycją w obejmującym ponad czterdzieści książek dorobku literackim Turczyńskiego. *Uzurpacje*, w których prawda splata się z literacką fikcją, urzekają wirtuozerią słowa, nieposkromioną wyobraźnią, a także niezwykle oryginalnym spojrzeniem na tradycję i kulturę europejską.

W szarzyźnie codzienności pragniemy odrobiny baśni (...) – pisał recenzent *Uzurpacji*, Ryszard Hetnarowicz (Omówienie twórczości Andrzeja Turczyńskiego znaleźć można w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2009 – recenzja opowiadania „Jawnogrzesznica i Pan" a także w niniejszym tomie – dop. red.). – *Na swój sposób tej baśni potrzebują także mądrość, wiedza i nauka. Znużone roztrząsaniem spraw istotnych – bardziej lub mniej, ale zawsze brzemiennych w konsekwencje – pogrążone w samotności dociekań nagle tworzą utopię, która pozwala im odkryć... marność dotychczasowych dokonań i konieczność zmierzania do celów wręcz nieosiągalnych. Andrzej Turczyński doskonale to zrozumiał.*

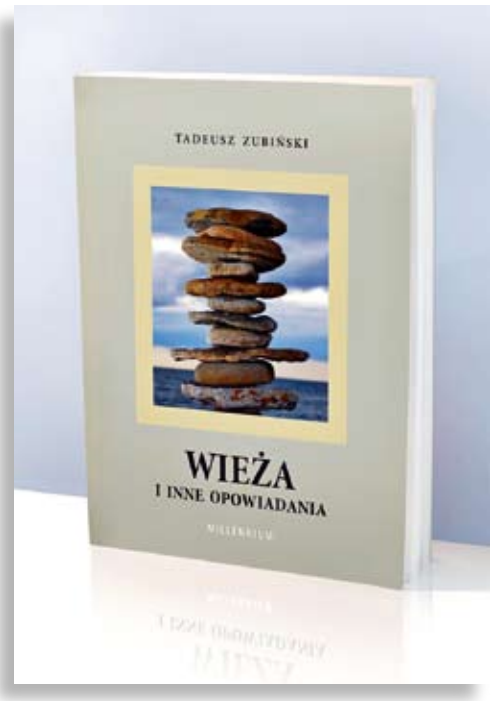

Tadeusz Zubiński, Wieża i inne opowiadania.

Jego Uzurpacje *są esejami przepełnionymi erudycją i reinterpretacjami wątków mitologicznych. Poruszają tematy zdawałoby się odlegle od otaczającej nas rzeczywistości, ale w swej wymowie... kuszące aktualnymi odniesieniami. Zresztą uprawnia do nich autor, który co i rusz każe nam odwoływać się do naszych błahych, codziennych doświadczeń. By kilka wierszy dalej zaprosić na salony myśli, w których przychodzi nam prowadzić dialog z arystokracją słowa. I tak trwa ta zabawa wywiedziona z samotniczej wędrówki ostępami mądrości (...).*

Jubileuszowy, 2010 rok w historii Agencji MILLENNIUM zaznaczył się kolejną książką Andrzeja Turczyńskiego – tomikiem poezji *SZRON*.

NASI W ŚWIECIE

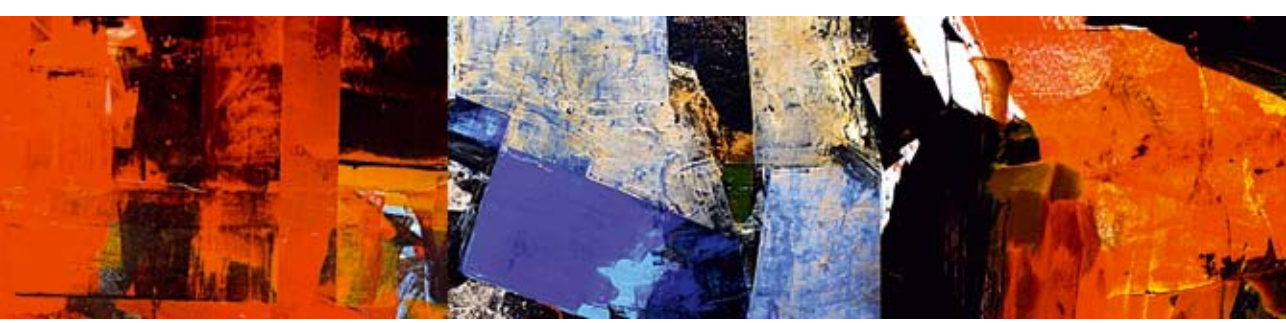

Ks. Arkadiusz Jędrasik

Arcymistrzostwo „nad strunami”

Nowa płyta Agaty Szymczewskiej

Jesień roku 2010 była dla koszalińskiej skrzypaczki Agaty Szymczewskiej bardzo bogata w ciekawe artystyczne wydarzenia. W połowie października pojawiła się jej kolejna płyta z wielkimi koncertami skrzypcowymi. Były też koncerty w prestiżowych salach, m.in. w Londynie i seria koncertów w Polsce. Agata Szymczewska rozwija swoją karierę w sposób wolny, ale przemyślany, konsekwentnie wspina się po stopniach prowadzących na sam szczyt artystycznych osiągnięć i międzynarodowego uznania.

Pamiętamy, jak po ogłoszeniu jej zwycięstwa w Międzynarodowym Konkursie im. Henryka Wieniawskiego powiedziała dziennikarzom: *to, że wygrałam wcale nie znaczy, że z dnia na dzień zacznę grać jeszcze lepiej. Ja tu przyjechałam po prostu pięknie zagrać. Uwielbiam grać, sprawia mi to przyjemność i każdy koncert traktuję jako wyzwanie*. I rzeczywiście słowa te są jej credo artystycznym. Na prezentowanej tu płycie znajdują się nagrania *Koncertu skrzypcowego g-moll* op. 26 Maxa Brucha, *Koncertu skrzypcowego e-moll* op. 64 Feliksa Mendelssohna oraz *Legendy* op. 17 Henryka Wieniawskiego. Skrzypaczce towarzyszy Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus pod dyrekcją Maestro Tadeusza Wojciechowskiego (*Koncert skrzypcowy* Brucha i *Legenda* Wieniawskiego) oraz pod dyrekcją Maestro Johna Axelroda (*Koncert skrzypcowy* Mendelssohna). Płyta została wydana przez Universal Music Polska przy współpracy Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena, które sprawuje artystyczną pieczę nad jej karierą muzyczną.

Agata Szymczewska urodziła się w 1985 roku w Gdańsku. Naukę gry na skrzypcach rozpoczęła w wieku 6 lat w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie. Jest absolwentką Akademii Muzycznej im. I. J. Paderewskiego w Poznaniu w klasie prof. Bartosza Bryły. A teraz już pracuje w poznańskiej uczelni. Studiowała też w Hochschule für Musik und Theater w Hannoverze w klasie prof. Krzysztofa Węgrzyna. W październiku 2006 roku została laureatką I nagrody i Złotego Medalu oraz Nagrody Publiczności TVP Kultura XIII Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu. Na swoim koncie ma także inne, liczne sukcesy, wystarczy wspomnieć, że jest zwyciężczynią Lotos Gdańsk Classic Prize (2005) oraz laureatką Międzynarodowego Konkursu Concerto Competition w Calgary, Kanada (2003) oraz Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. A. Yampolskiego w Moskwie (2006).

Koncertowała już w wielu krajach Europy, m.in. w Théâtre des Champs-Élysées w Paryżu, Victoria Hall w Genewie, Concertgebouw w Amsterdamie, Berwaldhallen w Sztokholmie, Teatrze Bolszoj w Moskwie, w Wigmore Hall i Royal Festival Hall w Londynie, a także w Chinach, Korei, Japonii, Kanadzie oraz Izraelu. Ma też na swoim koncie koncerty z wieloma znakomitymi orkiestrami, m.in. z Sinfonią Varsovią, Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Narodowej, Lahti Symphony Orchestra, Vilnius State Symphony Orchestra, NOSPR-em, Sinfonią Iuventus, Orkiestrą Kameralną PR „Amadeus” oraz w wielu filharmoniach w całej Polsce pod batutą m.in. Krzysztofa Pendereckiego, Andreya Bo-

reyko, Antoniego Wita, Jerzego Maksymiuka, Sauliusa Sondeckisa, Moshego Atzmona, Jacka Kaspszyka, Jana Krenza.

W 2005 roku na zaproszenie Maestro Seijiego Ozawy objęła stanowisko koncertmistrza orkiestry pod jego kierownictwem podczas tournée po Japonii i Chinach. Od wielu lat uczestniczy w zainicjowanej przez Maestro Ozawę prestiżowej Summer Music Academy w Szwajcarii, gdzie pracuje pod okiem wybitnych artystów jak np. Pamela Frank, Nobuko Imai, Sadao Harada czy Robert Mann.

Otrzymywała liczne stypendia m.in. od Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci, Prezesa Rady Ministrów, Fundacji Yehudi Menuhin Live Music Now, Gerd-Bucerius Stipendium der Deutsche Stiftung Musikleben, Gundlach Musikpreis w Hannoverze oraz Ministerstwa Kultury w ramach programu „Młoda Polska". A w 2006 roku została uhonorowana takimi nagrodami, jak „Paszport Polityki" i Nagroda TVP Kultura w kategorii Muzyka Poważna.

Do jej wielkich sukcesów należy bez wątpienia udział w lutym 2009 roku w obchodach setnej rocznicy urodzin Grażyny Bacewicz. Razem z Krystianem Zimermanem, Kają Danczowską, Ryszardem Groblewskim i Rafałem Kwiatkowskim wykonywała kwintety fortepianowe Grażyny Bacewicz. Tournée piątki artystów zwieńczyło nagranie płyty CD dla wytwórni Deutsche Grammophon. Niestety, płyta kolejny już rok czeka na wydanie.

Również w 2009 roku Agata Szymczewska otrzymała nagrodę „London Music Masters", przyznaną po raz pierwszy przez komitet złożony z członków London Philharmonic Orchestra, Wigmore Hall i Royal College of Music. W październiku tego roku zadebiutowała w Wigmore Hall, co zaowocowało zaproszeniem do wzięcia udziału w koncercie w Royal Festival Hall z London Philharmonic Orchestra, którą poprowadził Osmo Vanska. Koncert ten odbył się na początku października 2010 roku, m.in. z tej też okazji powstała najnowsza płyta koszalińskiej skrzypaczki.

Od swych pierwszych publicznych występów Agata Szymczewska wykazywała fenomenalne uzdolnienia i niezwykłą dojrzałość. Jej interpretacje jawią się jako prawdziwe muzyczne kreacje, doskonałe w wymiarze emocjonalnym, formalnym i technicznym, imponują pięknem i kulturą brzmienia, frazy, logiką narracji. Aby wszystkie te cechy w pełni mogły zaistnieć, potrzebny jest instrument na miarę mistrzowskiej klasy artysty. Obecnie Agata Szymczewska gra na skrzypcach Antonia Stradivariego (Cremona, ca. 1680) z Niemieckiej Kolekcji Instrumentów użyczonych przez Deutsche Stiftung Musikleben.

Agata Szymczewska nagrała swoją pierwszą studyjną płytę w 2008 r. Album ten był prezentem władz Koszalina dla skrzypaczki w podziękowaniu za wygraną w Konkursie Wieniawskiego i promowanie miasta. Nagranie zrealizowano przy wsparciu Filharmonii Koszalińskiej i Wydawnictwa Muzycznego Acte Préalable. (recenzja tej płyty, także autorstwa ks. A. Jędrasika, znajduje się w publikacji „Kultura Koszalińska. Almanach 2008 – dop. red.) W tym samym roku Agata Szymczewska nagrała repertuar Mozartowski z poznańską orkiestrą Agnieszki Duczmal „Amadeus" oraz bardzo piękny album z *Koncertem skrzypcowym* Mieczysława Karłowicza z orkiestrą Sinfonia Varsovia pod dyrekcją Jerzego Maksymiuka. Rok później uczestniczyła w nagraniu płyty *Aqua e Vinho*. Najnowszy album Agaty Szymczewskiej jest jej kolejnym wielkim sukcesem fonograficznym. Zanim omówimy to wydawnictwo, najpierw słów kilka godzi się poświęcić twórcom trzech kompozycji na nie się składających

Feliks Mendelssohn-Bartholdy (1809-1847) urodził się w Hamburgu w bogatej rodzinie żydowskich bankierów, wzrastał w Berlinie. Był człowiekiem obdarzonym licznymi talentami (był świetnym pianistą i dyrygentem, ale tworzył też znakomite akwarele), który oddał się całkowicie swojej sztuce. Z wielką namiętnością tworzył i prezentował muzykę kameralną – tak było np. w przypadku *Tria fortepianowego* op. 49. Przyczynił się też do ponownego odkry-

cia dzieł Jana Sebastiana Bacha; to dzięki niemu, ochrzczonemu Żydowi, *Pasja według świętego Mateusza* osiemdziesiąt lat po śmierci Bacha stała się znana w całej Europie. Mendelssohn działał także społecznie: walczył o to, aby edukacja muzyczna była nie tylko przywilejem wyższych sfer, w związku z tym założył Konserwatorium w Lipsku. Jego *Koncert skrzypcowy e-moll* miał swoją premierę w 1845 roku w Lipsku; grali wtedy orkiestra Gewandhausu i jej pierwszy skrzypek Ferdinand David, z myślą o którym Mendelssohn skomponował swoje dzieło i który konsultował partię solową skrzypiec. O samym koncercie Mendelssohna wielu artystów mówi: „jego interpretacja to jest kwestia pewnej przejrzystości, elegancji brzmienia, wewnętrznej równowagi, którego język jest tak namiętny, tak gwałtowny". Sama muzyka Mendelssohna zawiera często wskazówkę tempa *appasionato,* znajdujemy ją np. w pierwszym rytmie *Koncertu skrzypcowego* i w finale *Tria fortepianowego*. Ta dynamiczna energia zasila także interpretację tempa wolnego, zadanie wykonawcy polega zatem na „połączeniu czystości wyrazu z siłą namiętności". Finał koncertu jest całkowicie typowy dla Mendelssohna, odnajdujemy w nim ten rodzaj „tańca elfów", który pobrzmiewa w jego twórczości począwszy od 1825 roku i jego *Oktetu* op. 20, a który następnie stosował często w szybkich rytmach i scherzach. Muzyka *Koncertu skrzypcowego* wymyka się słownemu opisowi; jest subtelna, fantastyczna, łączy wszystko to, co stanowi o wielkości muzyki: wirtuozerię, czystość ekspresji, głębię uczuć, całkowite oddanie się ekspresji muzycznej. To cecha geniuszu, ta muzyka jest po prostu nieśmiertelna. Jej lekkość stanowi nie lada wyzwanie dla wykonawcy.

Henryk Wieniawski (1835-1880) był ceniony nie tylko jako wirtuoz dysponujący fenomenalną techniką, ale także jako wielki liryk. W relacjach często opisywano go jako „poetę skrzypiec". Był ostatnim wirtuozem skrzypiec, który przeszedł do historii muzyki również jako kompozytor. W jego utworach obecne są oba te przymioty: brawurowa wirtuozeria oraz liryzm. Dzięki Wieniawskiemu do europejskiej literatury skrzypcowej wszedł polonez. Wiele jego miniatur było typowymi, salonowymi utworami – sentymentalnymi, albo popisowymi, nierzadko wykorzystującymi popularne rytmy taneczne. Liryzm w twórczości Wieniawskiego uosabia *Legenda*, skomponowana podobno jako wyznanie miłości do Izabeli Hampton, żony artysty. Wykonywana jest nie tylko w oryginalnej wersji na skrzypce z orkiestrą, ale jeszcze częściej z fortepianem, *Legenda g-moll* op. 17 powstała w 1859 roku w Ostendzie. Tęsknota, ból i miłość emanują z każdego elementu dzieła, z których każdy podporządkowany został nadrzędnym celom wyrazowym: molowa tonacja, liryczna, śpiewna melodia, balladowa nastrojowość, stopniowanie napięcia poprzez narastające tremolo akompaniamentu, kontrast tonacyjny – w części środkowej G-dur. Utwór jest typowo romantyczną miniaturą, która zawiera duży ładunek ekspresji.

Max Bruch (ur. 1838 w Kolonii, zm. 1920 we Friedenau koło Berlina), rozgłos zyskał właśnie dzięki *Koncertowi g-moll na skrzypce i orkiestrę,* którym, już po jego prawykonaniu w Koblencji w roku 1867, zainteresował się wybitny skrzypek Józef Joachim; skorygował on partyturę i przez swoje wirtuozowskie wykonania przyczynił się do popularyzacji dzieła. Pomiędzy skrzypcowymi koncertami Ludwiga van Beethovena, Feliksa Mendelssohna i Johannesa Brahmsa József Joachim dzieło Maxa Brucha uważał za „najwspanialsze i najbardziej czarujące ze wszystkich czterech". Partia skrzypiec pełna jest wirtuozowskich pasaży, dwudźwięków, tryli oraz efektownych arpeggiów. Kompozytor w pełni ukazuje możliwości tego instrumentu (m.in. wykorzystuje niemal całą skalę skrzypiec oraz różnorodne artykulacje).

Jakie jest zatem wykonanie powyższych dzieł przez Agatę Szymczewską, towarzyszącą jej młodą orkiestrę i obu dyrygentów? Mówiąc najkrócej: znakomite!

Kiedy szukamy w płytotece koncertów w wy-

„Bruch, Wieniawski, Mendelssohn", wykonawca: Agata Szymczewska, orkiestra Sinfonia Iuventus pod dyr. Tadeusza Wojciechowskiego i Johna Axelroda. Universal Music Group, październik 2010.

konaniu Jaschy Heifetza, Nathana Milsteina, czy Anne-Sophie Mutter, chcemy porównywać, wyłuskiwać co smaczniejsze kąski. Ogarnia nas niemal duch hazardzisty. Do takiej „gry" włączając interpretacje Agaty Szymczewskiej także w nich znajdujemy wiele arcyciekawych fragmentów. To nagranie od strony solistki jest dopracowane, efektowne, widowiskowe i niezwykle ciekawe w każdej minucie. Dzieła Brucha i Mendelssohna, a także *Legenda* Wieniawskiego (szkoda, że nie ma tu obu *Koncertów* tego kompozytora, bo byłoby to pierwsze ich nagranie w XXI wieku) wypadają bardzo romantycznie, jednak ani przez chwilę nie towarzyszy nam uczucie nudy czy zniecierpliwienie, jakie niekiedy towarzyszą słuchaniu dzieł na wskroś ogranych i znanych. Tu doświadczamy czegoś wręcz przeciwnego. W każdym z koncertów urzeka naturalność prowadzonej frazy, muzyka płynie bardzo swobodnie, ale zawsze tak, jak tego sobie życzy zarówno solistka, jak i każdy z dyrygentów, którzy są bardzo wrażliwi na kompozytorskie sugestie w partyturze np. dotyczące tempa. Muzyczne akcenty i sploty orkiestrowe porywają i zmuszają do skupienia się na muzyce. Każda fraza imponuje pięknem muzyki i szlachetnością oddawanych uczuć. Choć w orkiestrze Sinfonia Iuventus istnieje duża rotacja młodych muzyków, co nie pozwala uniknąć pewnych mankamentów, czystość i lekkość jej brzmienia są godne uznania. Oba koncerty muzycznie są dobrze uformowane. Dyrygenci mocno podkreślają spontaniczny romantyczny charakter tych dzieł.

Agata Szymczewska gra z polotem i wirtuozerią. W obu koncertach skrzypcowych jest natchniona, wysublimowana, może ze szczyptą staroświeckości. Dodaje to koloru jej interpretacji, niezwykle kuszącej, powabnej, zamyślonej z sercem przepełnionym nostalgią. Smyczek w jej dłoni (zwłaszcza w legato) „unosi się" nad

strunami. Nie brakuje tu jednak wielkich emocji, czasem wręcz interpretacyjnej egzaltacji, ale oczywiście w dobrym tego słowa znaczeniu. Skrzypaczka nigdy nie przekracza bowiem granicy dobrego smaku. To Bruch i Mendelssohn delikatny, czasem ściszony, ale i lekki, taneczny, figlarny, z humorem, któremu nie brak, gdy trzeba, dosadności i zdecydowania, rozmachu - zwłaszcza ekspozycji tematów i ich przetworzenia, które u Agaty Szymczewskiej zyskują bardzo emocjonalny i osobisty charakter. W częściach szybkich zdaje się trochę zbyt mało drapieżna, mimo, że skrzypce brzmią ostro, miejscami nawet chropowato, przez co zyskuje na sile oddziaływania sama muzyka. W częściach wolnych jest rozmarzona, delikatna, dźwięk skrzypiec jest perlisty, ciepły oraz intensywny w brzmieniu. We fragmentach granych piano (zwłaszcza u Mendelssohna) lekkość i delikatność oraz współpraca z orkiestrą i dyrygentem dają znakomity efekt umiejętnego operowania napięciem w konstruowania dramaturgii całego koncertu. Słuchając tej interpretacji od razu zauważamy, że skrzypaczka podporządkowała sobie młodą orkiestrę, a w dyrygentach znalazła znakomitych partnerów. Efektem tej współpracy jest dla mnie jedna z lepszych, subtelnych i uduchowionych interpretacji w epoce cyfrowej XXI wieku. Ta nowa płyta Agaty Szymczewskiej jest dla mnie jedną z jej najpiękniejszych. Bez dwóch zdań zaliczam koszalińską artystkę do najwybitniejszych polskich skrzypaczek naszych czasów, która ma wielki talent prezentacji muzyki w arcymistrzowski sposób. Oby potrafiła i miała dość sił w poprowadzeniu swej kariery w najlepszym stylu. Choć dla sprawiedliwości dodam, że stawiam ją obok płyt z tymi *Koncertami skrzypcowymi* mistrzów poprzedniej epoki.

*

„Bruch, Wieniawski, Mendelssohn", wykonawca: Agata Szymczewska, orkiestra Sinfonia Iuventus pod dyr. Tadeusza Wojciechowskiego i Johna Axelroda. Universal Music Group, październik 2010.

Maria Słowik-Tworke
Beata Górecka-Młyńczak

Uczyć się od największych...

Agata Szymczewska – wybitna skrzypaczka, laureatka ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów, podbija muzyczny świat, a wspiera ją Impresariat Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena, którego prezesem jest Elżbieta Penderecka. Rok 2010 obfitował w życiu skrzypaczki w znaczące wydarzenia. Opowiada o nich w wywiadzie udzielonym dziennikarkom Redakcji Muzycznej koszalińskiej rozgłośni Polskiego Radia. O wydanej przez Universal Music Polska swej nowej płycie Agata Szymczewska powiedziała:

A.Sz.: Niewątpliwie był to sukces i moja wielka osobista satysfakcja. Tym większa, że udało mi się nagrać płytę, którą wymyśliłam od samego początku, we wszystkich szczegółach; z repertuarem, który chciałam nagrać, z artystami, z którymi już współpracowałam i których bardzo cenię.

To Twoja pierwsza płyta autorska.

A.Sz.: Płyta autorska, choć repertuar nie jest wybitnie oryginalny. Koncerty skrzypcowe Brucha i Mendelssohna już parę osób nagrało. Na pewno nowością jest to, że dodałam „Legendę" Henryka Wieniawskiego. Zależało mi na tym, żeby na płycie znalazła się muzyka tego kompozytora. Jego twórczość jest mi bardzo bliska, łączy mnie z nią wiele pięknych wspomnień.

Cieszę się, że moje propozycje repertuarowe zostały przez wszystkich zaakceptowane, że miałam stuprocentową kontrolę nad tym, co się znajduje na płycie od strony muzycznej i graficznej. Universal Music Polska dał mi wolną rękę w pełnym zakresie.

W tych koncertach czuję się bardzo dobrze, znam je od dziecka, towarzyszyły mi we wszystkich etapach mojego rozwoju. Są one bardzo popularne i kochane przez melomanów. Chciałam, aby ta płyta trafiła w ręce nie tylko koneserów, ale do szerokiego grona słuchaczy. Ona nie wymaga jakiegoś ogromnego poświęcenia, może nawet gdzieś w tle towarzyszyć słuchaczom w czasie rozmowy, przy herbatce czy cieście.

Tej płyty słucha się fantastycznie. Twoja interpretacja przykuwa uwagę, jest pełna żaru, polotu. Jest bardzo emocjonalna. To wielka sztuka.

A.Sz: Przyznaję, że sama lubię jej słuchać i często włączam ją sobie nawet przy domowych pracach, czasami też się zatrzymuję, by stwierdzić, że to dobrze wyszło. Oczywiście jest też wiele spraw, z których nie jestem zadowolona, ale to zostanie naprawione przy następnej płycie.

Trzynastego października ubiegłego roku zadebiutowałaś w Londynie w słynnej Royal Festival Hall pod batutą Osmo Vanska. Twoje wykonanie Koncertu Mendelssohna publiczność przyjęła owacją na stojąco, były bisy i świetne recenzje. Jak doszło do debiutu z Londyńskimi Filharmonikami?

A.Sz. W ciągu ostatnich lat 13 października 2010 roku był dla mnie dniem szczególnie pamiętnym. Na koncert z Filharmonią Londyńską długo czekałam. Był on efektem kilku zdarzeń, które miały miejsce w roku 2009. Zostałam laureatką nowego konkursu „London Music Masters", który jest organizowany przez najważniejsze londyńskie instytucje muzyczne. Jedną z konkursowych nagród był recital w Wigmore Hall. Szczęście mi dopisało, bo wśród publiczności był dyrektor Filharmonii Londyńskiej, który po recitalu przyszedł do mnie do garderoby i zaproponował wykonanie koncertu Mendels-

sohna w Londynie. Koncert był transmitowany przez BBC, sala wypełniona po brzegi; 2700 osób w Royal Festival Hall - jednej z największych sal koncertowych na świecie! Było mnóstwo dziennikarzy, również z Polski, sponsorów, dyrektorów festiwali, część mojej rodziny, która przyjechała do Londynu, reprezentacja Impresariatu Elżbiety Pendereckiej. To był naprawdę wielki dla mnie wieczór i ogromne przeżycie.

Agata Szymczewska. fot. Miłosz Wozaczyński

Co w praktyce daje wspomniana nagroda „London Music Masters"? Czego jeszcze się po niej spodziewasz?

A.Sz.: To jest nagroda indywidualna, dopasowana do potrzeb laureata. Podczas wywiadu z ludźmi, którzy decydowali o przydziale nagród, padło pytanie - czego oczekuję i w czym mogliby mi pomóc? Bez zastanowienia odpowiedziałam, że dla mnie bardzo atrakcyjny jest kontakt z kulturą najwyższych lotów. Tu mam na myśli nie tylko muzykę, ale szeroko pojętą sztukę. I to się udało. Za każdym razem jak przyjeżdżam do Londynu - przeważnie na dwa lub trzy tygodnie - dostaję grafik wypełniony po brzegi. Jestem zapraszana na różne koncerty, spektakle i wernisaże. Byłam m.in. na otwarciu wystawy van Gogha; na spektakl baletowy w operze w Covent Garden dostałam miejsce w loży honorowej. Kiedy poznałam dyrektora opery, powiedziałam mu, że jestem tu pierwszy raz, że bardzo mi się spodobało i że chętnie bym tu powróciła. On natychmiast zaproponował kolejny spektakl. I właśnie takimi ludźmi jestem tam otoczona. Nie ma rzeczy niemożliwych - co tylko sobie wymyślę, udaje się zrealizować. Idąc na koncerty też mam okazję poznania dyrygentów, solistów czy muzyków z orkiestry. Mogę z nimi porozmawiać. To jest bardzo ważne, że nie jest się anonimowym, że się nie jest solistą nr 483, tylko muzykiem znanym z imienia i nazwiska. To wszystko później przekłada się na jakość grania i radość występowania.

W tej prestiżowej sali w Londynie przed tobą grała też słynna Anne - Sophie Mutter. Podobno nawiązałyście kontakt.

A.Sz.: Z Anne Sophie Mutter miałam możliwość poznać się wcześniej, przy okazji jej koncertu w Krakowie. Natomiast na początku grudnia byłam w Monachium. Moim marzeniem było, aby jej coś zagrać, a nawet móc popracować nad pewnymi utworami.

W tamtejszej filharmonii od wczesnego ranka pracowałyśmy nad koncertami Brahmsa i Brucha. To było niezwykłe spotkanie. Anne Sophie Mutter jest osobą, którą podziwiam. Od moich wczesnych lat była dla mnie wzorem do naśladowania. Podczas tego spotkania byłam tak skoncentrowana, że do dziś pamiętam dokładnie każde słowo, wszystko co do mnie mówiła. Wywarło to ogromny wpływ na moje podejście do gry na skrzypcach i do muzyki.

Jeśli podążę za jej wszystkimi wskazówkami, to za parę miesięcy możemy się spodziewać jakiegoś takiego większego przełomu w mojej grze.

Anne Sophie Mutter właściwie wyznacza obecne kanony wykonawcze.

A.Sz.: Ją można albo kochać, albo nienawidzić, ale na pewno nie da się przejść obojętnie wobec jej gry. Jest to jednak bez wątpienia wielkiej klasy artystka. Oczywiście nie zamierzam być jej kopią, ale uczyć się i korzystać z jej doświadczeń, bo naprawdę warto. Być może za parę miesięcy będę miała znowu po temu okazję.

Zabiegi o możliwość udziału we wspomnianej już lekcji trwały dwa lata. I tu ogromnie dziękuję pani Elżbiecie Pendereckiej i jej mężowi, maestro Krzysztofowi Pendereckiemu. Zawsze mi zależało na tym, by uczyć się od tych największych artystów. Oni mają już sprawdzone metody, do których ja pewnie też doszłabym za kilka lat, ale jeśli można tego dokonać szybciej, to warto z takimi ludźmi porozmawiać, czasami nawet na dość błahe tematy, bo nawet wówczas przemycają oni jakieś mądrości życiowe czy muzyczne, które wystarczy zapamiętać.

Rok 2010 to również pełne sukcesów koncerty w Polsce, w Szanghaju, Berlinie, a także koncert i nagranie płyty z muzyką kameralną.

A.Sz.: Tak. Na początku roku 2010 powstała jeszcze jedna płyta z moim udziałem.

To był autorski projekt Łukasza Kuropaczewskiego, wybitnego gitarzysty, z którym znamy się od wielu lat. Przypadkowo wystąpiliśmy w Filharmonii Narodowej w Warszawie z okazji jubileuszu Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci, no i tak ta współpraca nam się spodobała, że postanowiliśmy wspólnie przygotować większy repertuar. Kiedy się okazało, że to naprawdę dobrze idzie - Łukasz postanowił to wszystko uwiecznić na płycie.

Do współpracy zaprosił jeszcze trójkę świetnych młodych artystów: Annę Marię Staśkiewicz, Katarzynę Budnik i Marcina Zdunika. W piątkę nagraliśmy dwa kwintety, duety i tria Vivaldiego, Gismontiego, Bartoka, Boccheriniego. To była dla mnie wyjątkowa współpraca, ponieważ z gitarą nigdy wcześniej nie miałam przyjemności grywać. To była nowa przygoda, nowe doświadczenie, które też miało duży wpływ na moją grę.

Grasz na skrzypcach Antonia Stradivariusa z roku 1680.

A.Sz.: Te skrzypce, niestety, nie są moje. Należą do niemieckiej fundacji instrumentów muzycznych, która w drodze konkursu wypożycza je niemieckim obywatelom, bądź studentom, którzy w Niemczech już parę lat mieszkają. W lutym 2007 r. (pół roku po konkursie Wieniawskiego), zgłosiłam się na taki konkurs i został mi przyznany instrument Stradivariusa, wtedy tylko na rok. Zaletą tego systemu jest to, że można przedłużać termin posiadania instrumentu, oczywiście tylko drogą konkursową. No i jeżdżę do Hamburga na te okropne przesłuchania, na które trzeba przygotować półtoragodzinny program.

Potem komisja daje tylko dziesięć minut, ale wybiera np. początek kaprysu, fragment Mozarta, kawałek Beethovena itd. Zanim człowiek w ogóle zdąży się zorientować, co gra, to już słyszy: dziękujemy bardzo. W ten sposób komisja jest jednak w stanie natychmiast sprawdzić, czy ktoś ćwiczy, jest w formie i czy może na tym instrumencie dalej grać.

W tym roku miałam wielkie szczęście, ponieważ udało mi się ten instrument uzyskać na dwa kolejne lata, do roku 2012.

Małgorzata Kołowska

Od wielkiej wiolinistyki po braek dance

Koszalińska kultura na EXPO 2010

Recitale skrzypaczki Agaty Szymczewskiej, wystawa „Mur Chiński" plastyczki Doroty Waligóry oraz występy zespołu hip-hopowego „Top Toys", złożyły się na program promocji kulturalnej Koszalina, zorganizowanej przez Biuro Komisarza Generalnego Sekcji Polskiej EXPO 2010. Koszalińska „drużyna" gościła w Szanghaju od 12 do 14 czerwca 2010 r.

Otwarty 1 maja Pawilon Polski był jednym z najliczniej odwiedzanych; każdego dnia przybywało tu ok. 30 tys. osób. Mniej więcej już w połowie trwania EXPO odnotowano wizytę pięciomilionowego gościa. „Przed Polskim Pawilonem na EXPO 2010 w Szanghaju od rana do zmroku ustawiają się długie kolejki zwiedzających. Organizatorzy szacują, że w ciągu najbliższych 6 miesięcy polską wystawę odwiedzi ponad milion osób. Bryła Polskiego Pawilonu, której elewacja nawiązuje do tradycyjnej ludowej wycinanki, jest jednym z najbardziej rozpoznawanych symboli tegorocznego EXPO". Być może koszalińska obecność była tylko niewielką cegiełką, z pewnością jednak współtworzyła sukces potwierdzony tak liczną obecnością odwiedzających.

Ze względu na rangę i prestiż przedsięwzięcia, podczas EXPO 2010 zgodziła się zagrać młoda, utalentowana i uznana skrzypaczka Agata Szymczewska - czytamy na stronie www.koszalin.pl: *- Artystka urodziła się w Koszalinie, jest obecnie studentką Akademii Muzycznej w Poznaniu i Hochschule für Musik und Theater w Hanowerze. W latach 1997-2004 była laureatką pierwszych nagród na ogólnopolskich konkursach skrzypcowych (m.in. w Gdańsku, Poznaniu i Warszawie). Ponadto otrzymała I nagrodę na Międzynarodowym Konkursie w Zell an der Pram w Austrii, Gundlach Musikpreis w Hanowerze, jest też laureatką konkursu w Calgary oraz konkursu im. A. Yampolskiego w Moskwie. Jest stypendystką Yehudi Menuhin Live Music Now, zwyciężczynią 13. Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu. Występowała we Francji, Szwajcarii, Anglii, Austrii, Holandii, Izraelu, Kanadzie, a także w Japonii i Chinach jako koncertmistrz orkiestry pod batutą Seiji Ozawy.*

(W Szanghaju) Artystka występowała pięć razy dziennie z repertuarem trwającym około 15 minut. Repertuar został dostosowany do chińskiego odbiorcy. W programie jej mini-recitalu znalazły się utwory polskich kompozytorów - Henryka Wieniawskiego oraz Grażyny Bacewicz. „Jeśli jest szansa na dłuższy występ, dodaję fragmenty sonat i partit Jana Sebastiana Bacha" - powiedziała Polskiemu Radiu Agata Szymczewska. Polska skrzypaczka zwraca uwagę na atmosferę towarzyszącą występom na EXPO, która znacznie odbiega od atmosfery skupienia panującej zazwyczaj w salach koncertowych. „Wielka ilość aparatów, fleszy, telefonów komórkowych. Nagrywają czym tylko mogą. Ludzie skarżą się, że stoję w złym miejscu, bo nie można mi zrobić zdjęcia. Warunki są inne niż w europejskich salach koncertowych" - dodaje Szymczewska - zanotował dziennikarz Radiowej Agencji Informacyjnej Tomasz Sajewicz.

Szkoła „Top Toys" została założona w 1996 r. w Koszalinie. Gwiazdą zespołu jest Diana Sasza

Staniszewska, słynna w Polsce jako finalistka konkursu „You Can Dance". Artystka jednocześnie została uznana za najlepszą naśladowczynię stylu tańca Michaela Jacksona. „TOP TOYS" to jednocześnie zespół tańca nowoczesnego, skupiający młodzież z Koszalina i okolic. Grupa poszczycić się może licznymi nagrodami i wyróżnieniami zdobytymi podczas konkursów i turniejów tanecznych w kraju oraz za granicą. Reprezentacja szkoły Tańca „Top Toys" w składzie: Diana Staniszewska, Kornelia Dubrownik, Maciej Orłowski, Sebastian Potyrała i Marcin Konopacki pięć razy dziennie występowała przed Pawilonem Polskim, budząc entuzjazm tłumnie gromadzącej się publiczności. W ciągu 4 dni ich występy przed Pawilonem Polskim obejrzało ponad 10 tys. osób! Dodatkowo odbyły się interaktywne warsztaty taneczne dla gości EXPO 2010. Zespół wystąpił także na specjalnym pokazie zorganizowanym przez Pawilon Finlandii.

Z wielkim zainteresowaniem spotkała się także plastyczna, interdyscyplinarna impresja koszalińskiej artystki Doroty Waligóry na temat kultury chińskiej. Chińczycy co prawda dziwili się niebieskim smokom, bo te utrwalone w tamtejszej tradycji powinny być czerwone, ale spojrzenie Europejki może im samym pozwoliło na nowo odkryć własną kulturę.

Filtrem, przez który przechodzą moje emocje, jest wyobraźnia. I dopiero ona je krystalizuje - nadaje im kształt. Nieważne, co jest zaczynem - przyroda, ludzie, sytuacja. Wszystko gotuje się w jednym tyglu. Miesza - bulgocze i, aby nie wybuchło, musi mieć ujście w twórczości. – mówi Dorota Waligóra. - *Już jako dziecko uwielbiałam podróże. Chociaż wtedy były to najczęściej wyjazdy z tatą na grzyby i ryby. Dzięki niemu zobaczyłam Mazury, Bieszczady, Wawel i Malbork. Później, już z moją rodziną, byliśmy w tylu pięknych miejscach. I za każdym razem, patrząc z zachwytem*

Wystawa Doroty Waligóry na Expo 2010. www.expo2010.com

na zachody słońca, gaje oliwne, turkusowe zatoki, mosty i katedry, myślę - „tego mi nikt nie zabierze". Wspomnienia są na zawsze - tak jak marzenia. A zachłanność moja na zobaczenie wszystkich cudów świata jest nieuleczalna. I może z miłości do podróży wziął się pomysł na zrobienie wystaw, które będą moim ukłonem w stronę kolebek kultury na świecie. Ponieważ pracuję z tak szlachetnymi materiałami jak porcelana i jedwab, oczywiste było, że zacznę od Chin. Ale chciałam opowiedzieć o nich moją historię, moją bajkę, to, co sobie wyobrażam, gdy myślę - Chiny.

Dorota Waligóra urodziła się w Koszalinie. Ukończyła studia na wydziałach grafiki Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku i we Wrocławiu. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków i „Grupy Kołobrzeg". Pracowała jako pedagog w Liceum Plastycznym w Koszalinie. Jest współorganizatorem i komisarzem Międzynarodowych Plenerów Malarskich „Czas i miejsce dla sztuki" w podkoszalińskich Osiekach, Międzynarodowego Pleneru Malarskiego w Ustroniu Morskim i warsztatów ceramicznych „Pracowni Alternatywnej" w Chodzieży. Uczestniczy też w wielu krajowych i międzynarodowych plenerach malarskich. W latach 2002-2004 założyła i prowadziła Galerię Sztuki Współczesnej „ŁĄKA" w Kołobrzegu. Od 2004 roku jest kuratorką dorocznej wystawy interdyscyplinarnej ZPAP „Postawy Roku" i wystaw w Galerii Ratusz w Koszalinie. W dorobku artystycznym ma realizacje malarstwa architektonicznego, wzornictwa przemysłowego i instalacje. Zajmuje się też malarstwem, grafiką, fotografią i ceramiką unikatową. Swoje prace prezentowała na ponad 20 wystawach indywidualnych i ok 50 zbiorowych (m.in. w Koszalinie, Kołobrzegu, Krakowie, Słupsku, Olkuszu, Ustroniu, Częstochowie, Chodzieży, Bolesławcu, Neubrandenburgu, Sztok-

Diana Sasza Staniszewska.

www.expo2010.com

holmie, Herne, Berlinie). Jej prace znajdują się w zbiorach prywatnych m.in. w Niemczech, Danii, Kanadzie, Grecji, USA, Włoszech.

Szanghaj przywitał nas upałem, wilgocią i zamglonym niebem. Zaskoczeni byliśmy od pierwszej chwili ogromem lotniska Pudong. A potem - jak u mistrza Hitchcocka - napięcie ciągle rosło. Już widok tysięcy autokarów na parkingach EXPO 2010 i tłumy ludzi zmierzających w kierunku terenów wystawowych, mogły mówić o rozmiarach imprezy. Lecz po przejściu kilku, ściśle kontrolowanych przez ochronę bramek, znaleźliśmy się w olbrzymim, sprawnie funkcjonującym mieście z całą jego infrastrukturą. Świetnie zaprojektowanym i czytelnie oznakowanym. Podzielonym szerokimi ulicami i pasażami na strefy kontynentów. Z własną komunikacją, sklepami, restauracjami, skwerami i zacienionymi miejscami do odpoczynku. Mijając kolorowe pawilony strefy europejskiej dotarliśmy w końcu do Pawilonu Polskiego . Ażurowa konstrukcja, która na pierwszy rzut oka kojarzy się z origami złożonym z łowickiej wycinanki, budzi ogromne zainteresowanie. Już w pierwszych dniach trwania EXPO zaliczona została do najpiękniejszych pawilonów. I znowu tłumy ludzi stojących spokojnie w wielogodzinnej kolejce.

Zmęczeni upałem wchodzimy do ciemnego, rozświetlanego pulsującymi światłami korytarza. Na piętrze biuro Komisarza Sekcji Polskiej. Krótkie omówienie naszego kilkudniowego pobytu i promocji Koszalina. Ponieważ przesłaniem i jednym z haseł tegorocznej Światowej Wystawy EXPO 2010 jest: „Ludzie kreują miasto", jako przedstawiciele Koszalina staramy się pokazać to, co najcenniejsze i najlepsze w naszym mieście. I mimo, że zainteresowanie naszym pawilonem i tak jest duże, dopiero profesjonalnie przygotowana, kolorowa i żywiołowa prezentacja naszej ekipy zadziwiła i zachwyciła zarówno pracowników Sekcji Polskiej, jak i przede wszystkim tłumy zwiedzających.

Wizytówką tego, co przygotowaliśmy, jeszcze przed wejściem do pawilonu, były występy na otwartej scenie zespołu „TOP TOYS", który natychmiast zdobył serca chińskiej publiczności, a młodzi fani czekali na każdy ich występ. Wewnątrz pawilonu kolejne atrakcje przyciągały tłumy odbiorców sztuki. Krótkie koncerty skrzypcowe naszej najwybitniejszej wiolinistki Agaty Szymczewskiej i wystawa „Mur Chiński" Doroty Waligóry, której inspiracją była kultura i sztuka starożytnych Chin. Wszystkie trzy - tak różne od siebie, interdyscyplinarne prezentacje kulturalne, wzbudziły ogromne zainteresowanie zarówno zwiedzających jak i chińskich mediów. Już drugiego dnia świetnie działające biuro prasowe Sekcji Polskiej zorganizowało konferencję prasową, na którą przybyli tłumnie dziennikarze mediów zarówno szanghajskich jak i ogólnokrajowych. A pierwsze wzmianki o pobycie artystów z Koszalina znaleźliśmy już następnego dnia w gazecie dostarczanej codziennie do hotelu. Polscy dziennikarze z biura prasowego, którzy uprzedzali nas wcześniej o zdystansowaniu chińskich kolegów, zaskoczeni ich zainteresowaniem gratulowali nam sukcesu, który niewątpliwie osiągnęli nasi artyści. Ich sztuka i profesjonalizm przemówiły do wszystkich. A liczne wywiady, których udzielali, prośby o autografy i wspólne zdjęcia były wyrazem szacunku i akceptacji. Świadczyły, że to faktycznie „Ludzie tworzą miasto". Cieszymy się z gorącego przyjęcia i żałujemy tylko, że tak mało mieliśmy czasu na zwiedzanie tego pięknego, ogromnego miasta - Perły Orientu - które tak życzliwie nas przyjęło. Mamy też wszyscy nadzieję, że jeszcze tam kiedyś wrócimy – tak na stronie. www.ustroniemorskie.pl Dorota Waligóra opisała wrażenia z pobytu w Szanghaju na EXPO 2010.

Koszt udziału miasta w EXPO 2010 szacowany był na blisko 150 tys. zł (100 tys. zł z budżetu Koszalina oraz około 50 tys. zł, które przekazała Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości).

Antoni Szoska

„Maluję – bo żyję”

O malarstwie abstrakcyjnym Krzysztofa Rećko Rapsy

Choć upłynęło już z górą sto lat od narodzin malarstwa abstrakcyjnego, w dalszym ciągu jest ono obecne w pejzażu współczesnej sztuki. Można w tym wypadku mówić o kolejnych jego mutacjach w zmieniającym się kontekście. Dzisiaj nie jest już tak spektakularnym wyrazem artystycznego eksperymentu czy wolności twórczej, jak to było w okresie pionierskim czy w czasach jego odrodzenia się pod postacią amerykańskiego abstrakcyjnego ekspresjonizmu w latach 50. XX w., czy też europejskiego taszyzmu oraz malarstwa materii w latach 60., kiedy to wzbudzało silne emocje i kontrowersje. Związane one były z radykalizmem plastycznych przedstawień, nie mających odniesienia do rzeczywistości, a tym samym tworzących autonomiczny świat sam dla siebie, który nierzadko łączył się z komentarzem filozoficznym samego twórcy. Dotyczyło to zarówno klasyków abstrakcji jak i późniejszych ich kontynuatorów.

W odniesieniu do malarstwa abstrakcyjnego paradoksem jest fakt, że powstało tak wiele tekstów i słownych interpretacji omawiających obrazy, które, jak żadne inne, mówią same za siebie, w istocie nie przedstawiając niczego lub przedstawiając nic - co ma związek z asemantycznością i przypisaniem ich do sztuki nieprzedstawiającej czy też niefiguratywnej. Tę osobliwą sytuację związaną z odbiorem malarskiej abstrakcji można tłumaczyć tym, że choć na poziomie potocznego odbioru mogą owe kompozycje zwyczajnie cieszyć oko grą form i plam barwnych niczym odwzorowane refleksy światła na przedmiotach lub odbijające się na powierzchni wody, to jednak jest w nich zawarty ów wyższy sens plastyczny o bardziej wyrafinowanych znaczeniach.

Znana i ceniona jako estetyk i teoretyk sztuki Maria Gołaszewska pisze o sztuce abstrakcyjnej jako o wręcz „kopernikańskim przewrocie”. Odwołując się do twórcy malarstwa abstrakcyjnego Wasilija Kandinsky’ego tak oto ujmuje jego znaczenie: *Za najbardziej znaczący, jednoznaczny, czytelny akt zmiany rozumienia sztuki, a zarazem decydujące dla całej awangardy XX wieku dokonanie artystyczne, uważa się Kandinsky’ego jako swoistą inaugurację sztuki abstrakcyjnej, nieprzedstawiającej, niezależnej od dotychczasowych kanonów piękna, od trwającej od czasów starożytnych doktryny mimesis. A był to namalowany w roku 1910 bez tytułu, bez programu literackiego obraz, na którym artysta zestawił plamy barwne, kształty linearne, amorficznie rozmieszczone na Cezanne’owskim płótnie na blejtramie, miast przedstawienia, odtwarzania czegokolwiek. Mimo pewnych pozorów zbliżania się do tej koncepcji „malarstwa czystego” (barwy i linie zakomponowane wedle zamiaru artystycznego niezależnego od jakiegokolwiek modelu, który miałby być malarsko odwzorowany), uznaje się, że dokonanie Kandinsky’ego było przewrotem artystycznym, zbliżonym niemal do creatio ex nihilo.*

Przypomnijmy, że owo „rewolucyjne” pojawienie się pierwszego obrazu abstrakcyjnego narodziło się z wizualnego zaskoczenia, a zarazem zdziwienia, jakie spotkało malarza, kiedy ujrzał własny obraz przypadkowo ustawiony do góry nogami. Tym samym to, co wcześniej było swojskie i rozpoznawalne – dodajmy: w sensie

estetycznym - nagle stało się czymś nie do poznania. Co jednakowoż, jak się okazało, wniosło nowe ożywcze wartości do sztuki i jako czysto wizualne doświadczenie dało początek „improwizacjom", „impresjom" i „kompozycjom". Każde z tych haseł, zapożyczonych z tytułów pierwszych obrazów abstrakcyjnych, oznacza odpowiednie działania na płótnie, odnoszące się do procesów markujących chromatyczne ślady, kleksy czy plamy na powierzchni malarskiego dzieła, będącego niezwykłym zapisem istnienia w znaczeniu zarówno estetyczno-osobowym jak i estetyczno-metafizycznym. Jak bowiem wynika to z artystycznej praktyki obrazy abstrakcyjne odnosić się mogą do emocji płynących z głębin podświadomości, jak to miało miejsce choćby u przedstawicieli abstrakcji ekspresyjnej, jak również do pojmowanej w sensie ontologicznym pramaterii. Użyte w tym celu środki malarskie rozciągają się od form bimorficznych do różnych postaci geometrii czy też swoistej eksplozji bezformia w malarstwie gestu. Nie oznacza to jednak zupełnej dowolności przedstawienia. I, choć patrząc na niektóre z tych dzieł możemy odnieść wrażenie, że cokolwiek, jakikolwiek ślad na oprawionym w ramy płótnie mógłby uchodzić za obraz abstrakcyjny lub też, że dziełem takim mogłyby być bazgroły szympansa, to mimo wszystko w przypadku sztuki abstrakcyjnej mamy do czynienia z tradycją plastyczną generującą różne „języki", posiadające własną wizualną gramatykę a także indywidualne, niepowtarzalne idiomy, które dadzą się wizualnie i właściwie czytać jedynie w odniesieniu do całokształtu twórczości danego artysty. Choć z drugiej strony trzeba przyznać, co czyni między innymi w swoim krytycznym tekście Józef Czapski, że istnieje pewna pozorna łatwość tworzenia abstrakcji, przejawiająca się w nadprodukcji, której niejako sprzyjał taszystowski przypadek czy pollockowskie rozlewanie farby na płotnie leżącym na ziemi.

Dzisiaj abstrakcyjne „boje" ucichły i mamy do czynienia raczej z wyrafinowaną kulturą abstrakcji będącej rezultatem wyższej edukacji. Malarstwo abstrakcyjne Krzysztofa Rećko Rapsy sytuuje się w polu owej kultury malarskiej. Jego płótna ukazują, jak ze swobodą posługuje się on różnymi konwencjami abstrakcji, jednocześnie poddając bądź to analizie bądź kondensacji własne przeżycia i emocje, które tworzą aluzyjny pejzaż tego, co nazwalibyśmy „okolicą", „miastem" i „duszą". Zważywszy na dynamikę obrazowania w kładzeniu plamy i gwałtowność kreski można powiedzieć, że jego obrazy są kolorystyczno-graficznymi zdarzeniami, stawiającymi odbiorcę w roli świadka, który ogląda przemieszczające się tektonicznie sąsiedztwa wyobrażonego pejzażu bądź też swoiste malarskie reguły chaosu z niemal sejsmicznym użyciem pędzla.

Artysta na ogół nie tytułuje swoich obrazów, tym samym niejako oddając inicjatywę interpretacyjną wrażliwemu i kompetentnemu kulturowo odbiorcy. W jego twórczości znajdujemy jednak pewne wyjątki, kiedy pojawia się ty-

fot. archiwum Zbigniewa Janasika

tuł ukierunkowujący tematycznie. Nie oznacza to jednak, że mamy do czynienia z „ilustracją". Tytuł w tym przypadku ma charakter dalece metaforyczny jeśli łączyć go z tym, co widzimy na płótnie. W szerszym sensie można również przypisać tym tytułowym wyjątkom sens paradygmatyczny, odnoszący się do wspomnianych wyżej aluzyjnych pejzaży, które zdają się tworzyć zespół motywów przewodnich w jego sztuce. Odwołujemy się tutaj do kilku prac, zatytułowanych odpowiednio jako: „Bitwa morska", „Skaleczone miasto", „Kompozycja" oraz „Ostatnia Wieczerza".

Pierwszy z nich namalowany został w duchu abstrakcjonizmu ekspresyjnego. Na płótnie oglądamy dramatyczne zderzenia i przenikanie się szarobłękitnych i szarobrązowych plam barwnych, pociętych a gdzie niegdzie wręcz poszarpanych graficznymi liniami i pasmami, które tworzą nieregularną siatkę, gdzieniegdzie porwaną, postrzępioną. Zza tych sejsmicznych form, niczym przez dziurę czy wyrwę, wystrzeliwuje w nas białe puste światło. Oto kierując się tytułem obraz „bitwy morskiej", która nie jest jakimś historycznym wydarzeniem, staje się na naszych oczach doświadczeniem egzystencjalnym artysty malarza zmagającego się z materią form uzyskiwanych przy pomocy barwnych plam na płótnie. Tytuł obrazu w tym przypadku jest pretekstem dla rozstrzygnięć czysto plastycznych, kreujących przeżycie jako wizualny mit psychologiczny.

Z kolei obraz „Skaleczone miasto" zdradza zupełnie inne podejście, zarówno w sensie formalnym jak i znaczeniowym. Mamy tu do czynienia z aluzją historyczną, odwołującą się do zamachów w Nowym Jorku. Dodajmy, że ten spektakularny akt terrorystyczny sprowokował silne emocje u wielu artystów i to zarówno z kręgów literackich jak i tych, którzy uprawiają sztukę asemantyczną. W obrazie Rapsy w jego estetycznym sensie odnajdujemy nawiązanie do malarskiego miasta z czasów awangardy, lecz nie tyle w treści co w formie, jaką był *collage*. Przedstawia on geometryczny zestaw prostokątów o różnych wymiarach, środkami malarskimi stosowanymi w odrębny sposób, w polu każdego z nich osiągając efekt fotografii. Stosuje przy tym cezanne'owskie formy geometryczne, zderzone z mniej lub bardziej spontanicznym „kleksem", powstałym na zasadzie kontrolowanego przypadku. Obraz ten jest wyważoną plastycznie grą pomiędzy pewną ilustracyjnością a budowaniem wartości czysto formalnych.

Podobny efekt osiąga on w „Ostatniej Wieczerzy", stosując przy tym bardziej ascetyczne środki, które geometrię tego płótna zbliżają do malewiczowskiego suprematyzmu zderzonego z impresyjnie, a tym samym po malarsku - refleksyjnie ujętym motywem religijnym odniesionym do historii sztuki. Oglądamy tutaj zdecydowany podział płaszczyzn na trzy plany z centralną dominacją krzyżowej formy monochromatycznej czerni, w kontrastowym sąsiedztwie pasemka głębokiej czerwieni oraz laserunkowo potraktowanego tytułowego motywu w ciepłych ugrach i cynobrach, z wyłaniającym się z nich kształtem białego nakrycia stołu tej mitycznej wieczerzy.

Wreszcie obraz zatytułowany „Kompozycja". Jak wcześniej wspomniano temat ten jest nie tyle tytułem, co wskazaniem na plastyczną metodologię, którą prawie zawsze przyrównywano do muzyki. W odniesieniu do dzieła Rapsy czytamy w kompozycji kolorystyczne tony nie wolne od aluzyjności tym razem odniesionej do przestrzeni pracowni. Ujawnia się tutaj jakby autotematyczność malarstwa, ale też wydobywający się zeń obraz duszy artysty dramatycznie zmagającej się z formą. Jak powiedziałby Carl Gustaw Jung mamy tu do czynienia z archetypem „Cienia". W tym konkretnie obrazie manifestuje się on w przewadze barw zimnych, ciemnobłękitnych, z lekka tyko rozświetlonych cieplejszymi akcentami. Tutaj również dominują motywy geometryczne.

Podsumowując ten przegląd wybranych obrazów, które rzucają światło na dotychczasową twórczość Rapsy, można powiedzieć, że ze swobodą porusza się on w konwencjach sztu-

fot. archiwum Zbigniewa Janasika

ki abstrakcyjnej - zarówno tej geometrycznej, lirycznej jak i ekspresyjnej, nadając im indywidualny rys nasycony dramatyzmem i poddając je gimnastyce własnej duszy. Z biografii artysty dowiadujemy się, że od samego początku całkowicie i autentycznie poświecił się malarstwu abstrakcyjnemu. W związku z tym wydaje się, że bliski mu jest pogląd Tadeusza Kantora, wedle którego: *Malarstwo jest manifestacją życia. Pytanie „dlaczego maluję?" brzmi jak pytanie „dlaczego żyję?". Jeśli prawdą jest, że artysta spala się w swej twórczości, to jego dzieło jest popiołem.*

*

Krzysztof Rećko Rapsa w 2010 roku miał szereg wystaw w kraju i poza granicami, w tym bardzo prestiżowe w Galerii Pałacu Republiki w Mińsku na Białorusi, w Galerii Tizengauza w Grodnie oraz w Centrum Sztuki Współczesnej w Krakowie. Wystawę w Grodnie zaszczycił swoją obecnością m.in. konsul RP Jacek Doliwa, a także rektor Uniwersytetu w Grodnie i tamtejszy świat artystyczny. W Mińsku również był przedstawiciel Polskiej Ambasady, dyrektor Instytutu Polskiego, rektorzy uczelni z Mińska i Grodna. Wydarzenie prezentowała TV Plus, w telewizji białoruskiej został wyemitowany wywiad z koszalińskim artystą. Jego sztukę recenzowali za wschodnia granicą znakomici krytycy sztuki, jak prof. dr. Szaura Fiedrowicz, kierownik Katedry Sztuk Pięknych w Grodnie prof. Aleksiej Bogustov, Natalia Pawlenko i Maryna Czajko.

W styczniu 2010 r. Krzysztof Rećko Rapsa został wyróżniony Koszalińskim Orłem za sukcesy twórcze w kraju i za granicą. W marcu zaś został nagrodzony przez Prezydenta Koszalina w dziedzinie twórczości.

Jolanta Rudnik

Radio – sposób na życie

„Za utrwalenie niezwykłych losów Kaszubki, która stała się mimowolną ofiarą historii, za pokazanie niszczącej siły totalitaryzmu i budującej siły solidarności między ludźmi oraz za głęboko humanitarne przesłanie audycji, podkreślającej prawo każdego człowieka do szczęścia i własnego miejsca na ziemi" – tak brzmi uzasadnienie przyznania Grażynie Preder, dziennikarce Radia Koszalin, głównej nagrody VIII Ogólnopolskiego Konkursu na Reportaż Radiowy „Pogranicze" za reportaż pt. „Jakby do nieba przyszła".

Grażyna Preder opowiedziała o Gertrudzie Jutrzence-Trzebiatowskiej, którą przed samym końcem II wojny światowej wywieziono na Syberię. Gertruda urodziła się i mieszkała w Borowym Młynie na Kaszubach. Wojna skomplikowała losy jej rodziny, podobnie jak wielu innych kaszubskich rodzin. Zmarł ojciec, braci wcielono do Wermachtu. W 1942 roku późniejsza bohaterka reportażu poznała niemieckiego żołnierza, który przyjechał odwiedzić matkę, także mieszkającą w Borowym Młynie. Gertruda i Hans zakochali się w sobie. Po kilku miesiącach, podczas jego kolejnego urlopu, wzięli ślub. Gdy wojna się skończyła Gertruda pojechała do Berlina szukać męża. Wtedy porwali ją radzieccy żołnierze. Najpierw trafiła do obwoźnego domu publicznego, potem do syberyjskich łagrów. Ratując życie, wzięła ślub z Rosjaninem pracującym w obozie. Nie miała kontaktu z rodziną przez kilkadziesiąt lat. Do Borowego Młyna wróciła z Syberii dopiero w 1998 roku.

Grażyna Preder poznała bohaterkę swego reportażu kilka lat później. O losach kobiety opowiedział jej Benedykt Reszka – historyk i regionalista pochodzący z Borowego Młyna. To przede wszystkim dzięki jego determinacji udało się odnaleźć Gertrudę na Syberii i sprowadzić do Polski. Dziennikarkę poruszyło w tej historii wiele, a między innymi to, że Benedykt Reszka szukał Gertrudy na prośbę jej niemieckiego męża. Po wojnie otrzymał wiadomość o jej śmierci, kilka lat później ożenił się, a gdy druga żona zmarła – rozpoczął poszukiwania Gertrudy, bo czuł, że ją odnajdzie i znów będą razem. Niestety, wróciła do Polski kilka miesięcy po śmierci Hansa. Zdążył się on jednak dowiedzieć, że ukochana żyje.

Grażyna Preder jest przekonana, że historia życia Gertrudy Jutrzenki-Trzebiatowskiej to dowód na to, że nigdy nie należy się poddawać. Gertruda wróciła do Polski po ponad pięćdziesięciu latach. Nie zapomniała polskiego języka, mówi też gwarą kaszubską. Pamięta ludzi, którzy kiedyś mieszkali obok niej, miejsca i wydarzenia z młodości.

Losy Gertrudy Jutrzenki-Trzebiatowskiej to jedna z wielu historii, które poznała i opowiedziała Grażyna Preder przez ponad 30 lat dziennikarskiej pracy w radiu. Pytana o to, co ją najbardziej porusza, wymienia wielu ludzi, zaskakujące sytuacje i niezwykłe spotkania. Ciągle ją coś zaskakuje, a życie kreuje losy, których nie stworzyłby żaden pisarz czy scenarzysta. *Nam się wydaje* – mówi Grażyna Preder – *że tylko w książkach są niesamowite historie. To prawda niepełna. Obok nas są ludzie, którzy przeżyli więcej niż napisano w całej literaturze. Przeżyłam wiele niezwykłych spotkań, a niektóre z nich opisałam dźwiękiem.*

Wiele z tych opowieści to historie o miłości, chociażby „Maria na całe życie", reportaż nagrodzony w Ogólnopolskim Konkursie na Reportaż Radiowy „Polska i świat". Jest to historia Pol-

ki wywiezionej z Warszawy po Powstaniu Warszawskim na roboty do Niemiec. Tam poznała Belga, także przymusowego robotnika. Ona była kobietą prawie 40-letnią, żoną i matką, on - znacznie młodszy. Zakochali się w sobie, a ich miłość była nieprawdopodobna. Po wojnie kobieta wróciła do Polski. Zmarł jej mąż i sama wychowywała syna. Gdy Belg odkrył, co dzieje się z miłością jego życia, rzucił dostatnie życie w swoim kraju i przyjechał do Polski. Nie znał języka, polskiej mentalności oraz realiów życia w komunistycznym państwie. Miłość jednak zwyciężyła, a Belg zakochany w Polce okazał się dla niej najwspanialszym człowiekiem, jakiego mogła sobie wymarzyć. Mówił do niej i w Polsce, i wcześniej w Niemczech: „Maria, ty jesteś moja na całe życie".

Grażyna Preder, wspominając ludzi, o których opowiadała w swoich audycjach, mówi o wątpliwościach, które towarzyszyły realizacji jej ostatniego reportażu; traktuje on również o miłości, tym razem jednak o miłości złej, zakazanej, kazirodczej. Kilkudziesięcioletni mężczyzna nie kontaktował się przez lata ze swoją córką. Po 25 latach ona go odnalazła i pokochała, jednak nie tak, jak córka kocha ojca, ale jak kobieta kocha wyśnionego mężczyznę. Żyją ze sobą od 5 lat. W całej koszmarnej historii jest też jej dziecko z poprzedniego związku. Kobieta nie może mieć go przy sobie, bo żyje z własnym ojcem, czyli dziadkiem własnego dziecka. Godzi się na taki układ. *Czy poświęciła dziecko dla złej miłości?* – zastanawia się Grażyna Preder. *- Bohaterka reportażu twierdzi, że nie. Czy możemy zrozumieć, co nią kieruje? Czy jest możliwe, by patologiczne uczucie do własnego ojca tak zdominowało jej umysł, że nie jest w stanie myśleć racjonalnie i dbając o własne „szczęście" może zapomnieć o dziecku? Ona wychowywała się bez ojca, teraz jej syn żyje bez obojga rodziców. Dra-*

Grażyna Preder podczas pracy. fot. Ilona Łukjaniuk

mat, sytuacja skrajna, temat tabu, na ogół ludzie nie ujawniają takich historii. Oni się ujawnili, bo uważają, że nie robią niczego złego. Mówią, że nie krzywdzą innych, chcą walczyć o szczęście dla siebie. Może gdzieś w Europie...

Mimo że kulturowo i z każdego innego punktu widzenia taki związek jest naganny, to zadaję sobie pytanie: czy mogę kategorycznie powiedzieć, że ich potępiam? – zastanawia się dziennikarka. *Nie taka jest zapewne moja rola – niech ocenią słuchacze. A poza tym, paradoksalnie, przy całej drastyczności związku ojca z córką, dostrzegam w ich relacjach coś, co nosi znamiona miłości. Wiem, że brzmi to co najmniej dwuznacznie.*

Na tematy swoich reportaży Grażyna Preder trafia w różny sposób. O kazirodczej miłości dowiedziała się przypadkiem. Zakochana w ojcu kobieta szukała w radiu pomocy w sprawie dziecka, które jej odebrano. Już podczas pierwszego spotkania z całą otwartością opowiedziała o sytuacji, w której się znalazła. Grażyna Preder postanowiła dowiedzieć się dlaczego do tego doszło. Kiedy wiedziała wiele, pojawiły się bardzo silne wątpliwości. Czy upubliczniać sytuację w reportażu, czy opowiadać historię ludzi, którzy w powszechnym rozumieniu są przestępcami, czy mówić o czymś, co chcielibyśmy wyprzeć ze świadomości? Postanowiła działać według starej zasady mistrzów zawodu: profesjonalny dziennikarz odsuwa emocje na drugi plan. Najważniejsze jest racjonalne działanie. - *Jestem dociekliwa, pokazuję problem z różnych stron, zgodnie z zasadami etyki, a jednak* – przyznaje – *emocje czasami mnie pochłaniają. Nie mogę być daleko od osób, które pokazuję, przeżywam to, o czym mówią, współczuję im albo się razem z nimi cieszę. Bywa, że angażuję się w pomoc dla bohaterów swoich reportaży. Inaczej się nie da, bo jeśli ktoś odkryje przede mną swoją duszę, to ja nie mogę powiedzieć: wiem, co chciałam wiedzieć i dziękuję. Z wieloma bohaterami moich audycji do dzisiaj utrzymuję kontakty, często bardzo miłe. Lubię wiedzieć, co się z nimi dzieje. Reportaż to najtrudniejsza forma dziennikarstwa. Daje jednak autorowi olbrzymią satysfakcję chociażby z tego powodu, że pozwalają poznawać ludzi – tych zwykłych i tych niezwykłych. Wszyscy są ważni.*

Grażyna Preder ukończyła studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Przygodę dziennikarską rozpoczęła w radiowęźle studenckim. Tam dowiedziała się, że rozgłośnie Polskiego Radia w Kielcach, Białymstoku i Koszalinie poszukują dziennikarzy. Wybrała Koszalin, który leży najbliżej jej rodzinnej Bydgoszczy. Miasta nie znała, a do pracy przyjmował ją nieżyjący już Tadeusz Gawroński. Grażyna Preder wspomina: *Jechałam do Koszalina przekonana, że popracuję tutaj trochę i, gdy zwolni się miejsce w Bydgoszczy, to tam wrócę*. Jednak została w Koszalinie, bo wciągnęły ją i radio, i ludzie, i miasto.

Początki, jak to bywa w obcym miejscu, nie były łatwe. Długo trwało zaprzyjaźnianie się z Koszalinem. Ale miała tutaj mieszkanie i to ją najbardziej trzymało, a poza tym morze, jeziora, lasy. Potem było małżeństwo, dziecko i, jak przyznaje po latach, to syn tak naprawdę nieświadomie uczył ją Koszalina, bo z nim przemierzała go wzdłuż i wszerz – odkrywała piękno i subtelności tego miasta.

Praca daje jej dużo satysfakcji. W Radiu Koszalin zajmuje się nie tylko reportażem, ale także literaturą i teatrem. Od początku pracy w tutejszej rozgłośni, także dzięki kolegom redakcyjnym Czesławowi Kuriacie i Henrykowi Livorowi Piotrowskiemu, poznawała środowisko literackie, zaprzyjaźniła się z Leszkiem Jakubem, Piotrem Bednarskim i Anatolem Ulmanem. Przyznaje, że literatura to obszar, na którym zawsze czuła się dobrze. W ślad za tymi zainteresowaniami poszły radiowe adaptacje licznych powieści. Najwięcej przyjemności sprawiła jej adaptacja powieści Aleksandra Jurewicza, pisarza mieszkającego w Gdańsku, ale pochodzącego z okolic Świdwina, do którego jego rodzina przybyła z okolic Lidy. Dziennikarka wiedziała o jego zainteresowaniach kresowych. Umówiła się z pisarzem na rozmowę, wiedząc, że kończy on pisanie powieści „Popiół i wiatr". Poprosiła

o możliwość dokonania radiowej adaptacji. Aleksander Jurewicz się zgodził. Po latach można powiedzieć, że jest to jedna z najwartościowszych książek, jakie adaptowała, bo chociaż dotyczy historii rodziny pisarza, to jest synonimem losów wielu ludzi, którzy po wojnie dotarli na „ziemie odzyskane" z dawnych wschodnich obszarów polskich. Tutaj od nowa budowali swój świat. Aleksander Jurewicz potrafi opowiadać o tym świecie w sposób fascynujący – i o tym dawnym, kresowym i o tym, który zastał tutaj. Tytuł „Popiół i wiatr" mówi o kruchości naszego życia, o tym, jak niewiele zostaje - tylko popioły bliskich roznoszone przez wiatr.

Obecnie Grażyna Preder śledzi w swoich audycjach twórczość pisarki z Kołobrzegu Elżbiety Herezińskiej. *Kiedy napisała swoją pierwszą książkę, wywiad rzekę z ambasadorem Izraela w Polsce, myślałam, że bliższa jest jej pasja dziennikarska, fakty, a nie fikcja. Tymczasem, ku mojemu zdumieniu, zaczęła pisać książki historyczne, chociaż tak naprawdę historia (a szczególnie średniowiecze) jest tylko pretekstem do pokazania natury ludzkiej*. Grażyna Preder uważa, że Elżbieta Herezińska to pisarka fascynująca, która dołączy do tych najwybitniejszych w literaturze współczesnej.

Grażyna Preder przeprowadziła także wywiad-rzekę z Jackiem Kaczmarskim, poetą, pieśniarzem oraz bardem „Solidarności". Było to tuż przed jego wyjazdem do Australii. Wtedy uważał, że opuszcza Polskę na stałe i że Australia będzie jego ostatnim adresem. *Przekonanie Kaczmarskiego do długiej rozmowy poszło mi dosyć łatwo* – wspomina Grażyna Preder. – *Może potrzebował tego, może się żegnał tuż przed wyjazdem, rozliczał, chciał zamknąć polski rozdział swojego życia*. Na przeprowadzenie wywiadu miała tylko sześć dni. Jacek Kaczmarski był niezmiernie wymagającym rozmówcą. Pracowali przez sześć dni od godziny dziewiątej rano do dwudziestej pierwszej. *„Jego szczerość i otwartość były tak duże, że wbijało mnie to często w fotel i momentami nie wiedziałam, jak kontynuować rozmowę. Wielu wątków nie wykorzystałam, czego dzisiaj żałuję... Nie spodziewałam się bowiem, że aż tak się przede mną odsłoni i czułam pewnego rodzaju respekt, który kazał mi unikać zadawania pewnych pytań. Dzisiaj umiałabym je zadać i tę szanse wykorzystać, bo już więcej wiem o życiu, więcej sama przeżyłam, jestem bogatsza o własne doświadczenia".* Książka „Pożegnanie barda" ukazała się w 1995 roku. Dzisiaj jest prawie nie do zdobycia. Niedawno jeden z egzemplarzy był wystawiony w portalu Allegro i osiągnął bardzo wysoką cenę. Do Grażyny Preder często piszą młodzi ludzie, którzy na nowo odkrywają postać Jacka Kaczmarskiego, są zafascynowani jego twórczością. Studenci piszą o nim prace magisterskie. *To była niesamowita przygoda* – wspomina Grażyna Preder.

Dziennikarstwo radiowe to dla niej nie tylko zawód, ale i sposób na życie. I to ogromnie satysfakcjonujący. *Poznałam wielu wspaniałych ludzi, wysłuchałam wielu opowieści. Miałam okazję dotrzeć do wielu miejsc, o których nie dowiedziałabym się, gdybym nie była dziennikarką. Rejestrowałam rozmowy, spory, wydarzenia, muzykę, dźwięki pochodzące z bardzo różnych miejsc, do których słuchacze sami nie mogliby dotrzeć. Nie wyobrażam sobie życia bez radia. Zbliża się już ten czas. kiedy powinnam powiedzieć dosyć, ale ciągle sobie tego nie wyobrażam. Radio to bardzo ważna część mojego życia*.

„Tutaj-Here-Hier" – ciąg dalszy...

O prezentowanej w 2009 roku w Mielnie wystawie „Tutaj, Here, Hier" pisał Ryszard Ziarkiewicz w Almanachu „Kultura Koszalińska 2009", jako znaczącym wydarzeniu podsumowywanego wówczas roku. Nie możemy tego wydarzenia pominąć także w obecnej publikacji, ponieważ podjęte z inicjatywy Zdzisława Pacholskiego przedsięwzięcie także w roku 2010 pozostawało żywym i istotnym doświadczeniem, tak artystycznym jak i społecznym i historycznym.

W marcu 2010 roku wystawa zagościła w białogardzkim Centrum Kultury i Spotkań Europejskich. Przy tej okazji Z. Pacholski pisał: *„Tutaj" to nie tylko przestrzeń, w której zawieszone było, lub jest, nasze życie, to również obszar w nas samych. My - koszaliński Żyd z Londynu, Niemka z Austrii, której rodzinne korzenie są stąd, Niemiec - kurator sztuki i dwaj pomorscy Polacy - wszyscy opowiadamy tę samą historię. To, co nas łączy, to miejsce i źródło wspólnej historii o Koszalinie i jego okolicach; to, co nas różni to język, polityka, wiara, pochodzenie, praca, miejsce zamieszkania. Sięgamy nie tylko do własnych korzeni, ale czerpiemy „doświadczenie miejsca" zarówno z dorobku intelektualnego przeszłości, jak i teraźniejszości. Wystawa „tutaj" jest rezultatem całkowitej wolności tworzenia i otwartości, jest próbą przekraczania barier językowych, kulturowych i narodowych. Jest również rezultatem zauroczenia widokami i zjawiskami przyrody oraz uświadomieniem sobie, ze Pomorze jest i było ojczyzną wielu ludzi. Jesteśmy stąd i to nasze „tutaj" nie daje się porównać z czymkolwiek innym".*

W projekcie udział wzięli:.

1. **Ute Höschele** – Austria. Pisarka, autorka kilku nagrodzonych opowiadań, publikacje: Austria, Niemcy, Polska, bohaterka audycji radiowej „W cieniu dobrego drzewa" nagrodzonej I nagrodą w konkursie „Wspólna Europa" w Polska 2007, korzenie Ute Höschele sięgają Pomorza, stąd są jej przodkowie.
2. **Leslie Baruch Brent** – Wielka Brytania. Urodzony w Koszalinie w 1925, współzdobywca nagrody Nobla w dziedzinie immunologii -1960, ofiara holokaustu, jeden z bohaterów dwóch filmów dokumentalnych o Kindertransportach. Autor fundamentalnego dzieła naukowego „A History of Transplantation mmunology" oraz autobiografii „Sunday's child?", członek honorowy wielu prestiżowych stowarzyszeń i instytucji naukowych w całym świecie.
3. **Martin Rehkopp** – Niemcy. Dyrektor artystyczny Międzynarodowego Centrum Sztuki Współczesnej klasztor Bentlage w Rheine, kurator i organizator wielu krajowych i międzynarodowych projektów i wystaw sztuki współczesnej. Redaktor licznych katalogów sztuki. Od wielu lat związany z artystami z Polski, a zwłaszcza z Pomorza Zachodniego.
4. **ks. Henryk Romanik** – Polska. Biblista, poeta, wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego w Koszalinie, autor książek: „Wypłyń na głębię", „Apokalipsa koszalińska", „Do domu Pana", „O Żydach w Koszalinie", współautor albumu „Koniec świata w Iwięcinie".
5. **Zdzisław Pacholski** – Polska. Artysta fotografik, członek ZPAF, „odkrywca" Leslie Barucha Brenta, wystawy: Polska, Niemcy, Portugalia, Holandia, udział w Biennale Sztuki w Sao Paulo, honorowy członek Niemieckiego Stowarzyszenia Twórczego Welbrgener Kreis w Północnej Nadrenii-Westfalii, autor i wydawca książek: „Koszalin 1901-2000", współautor i wydawca „Koniec świata w Iwięcinie", komisarz polskiej odsłony wystawy „Anna Frank historia na dzień dzisiejszy".

Historia wystawy „Tutaj-Here-Hier" trwała nadal w roku 2010, przekraczając granice Polski. W Tygodniku Koszalińskim „Miasto" nr 18 (57), w artykule zatytułowanym „Sztuka jednoczy ludzi", czytamy: *Wystawa Zdzisława Pachol-*

skiego „Tutaj-Here-Hier", o której nie raz pisaliśmy w naszej gazecie, święci sukcesy za granicą. Tym razem wkomponowała się w cenną ideę powoływania Europejskich Stolic Kultury, której celem jest wzajemne poznanie i międzykulturowy dialog ludzi na starym kontynencie. (...)

Miano Europejskiej Stolicy Kultury zyskał cały region Zagłębia Ruhry, w tym 6 miast: Essen, Duesseldorf, Dortmund, Duisburg, Oberhausen i Bochum. Tylko w stolicy regionu, Düsseldorfie, są czynne obecnie trzy wielkie wystawy: Joseph Boys „Parallelprozesse", Nam June Paik w Kunst Palast (wspólnie z Tate Liverpool) i Quatrenalle sztuki 2010. Codziennie przez te świątynie sztuki i obiekty kultury przewijają się tysiące zwiedzających. (...)

W klimacie festiwalu sztuki w Północnej Nadrenii-Westfalii, w granicznym mieście Bocholt (Niemcy-Holandia) nastąpiło otwarcie wystawy pn: „Zweite Halbzeit" („Druga połowa meczu"). Zaproszenie do udziału w wystawie otrzymał też Zdzisław Pacholski. - *Wystawiam dwa swoje cykle fotograficzne:* „The beauty you can reach" – 8 prac w formacie 70 x 100 centymetrów i „Tutaj-Here-Hier" – 5 prac w formacie 50 x 70 centymetrów. *Zarówno wystawa jak i moje prace podejmują ważny dyskurs sztuki z historią i poto*czną *rzeczywistością* - mówi. Chodzi o pozycję artysty i sztuki wobec degradującego wpływu wszechobecnej kultury masowej na kondycję współczesnego człowieka. (...) (opr. m.k.)

„Zweite Halbzeit" Kunsthaus, Bocholt, Niemcy. Organizatorzy: Welbergener Kreis i Kunstverein Bocholt. Wystawa czynna od 12 września do 24 października 2010 r.

Wystawa „Tutaj-Here-Hier". Leslie Baruch Brent przy znalezionej przez Zdzisława Pacholskiego macewie z grobu jego dziadka. Tak historia zatoczyła koło.

fot. Zdzisław Pacholski

Małgorzata Kołowska

Pragnienia się nie starzeją?

Rzecz dzieje się w garderobie teatralnej, do której aktorka wróciła po latach w związku z mającym się odbyć jej benefisem. Przyniosła ze sobą dwie walizki sukien, gazet i aktorskich trofeów. Do garderoby wprowadza ja młodsza przyjaciółka, która obecnie korzysta z tego pomieszczenia... - czytamy w didaskaliach.

- Kobieto, po jaką cholerę przytargałaś ten cały kram – tym pytaniem Aktorka 2 wita przybywającą swą starsza przyjaciółkę.

- Aktor jest jak wielbłąd. Pokonuje przestrzeń sceniczną. Bardzo często bez jedzenia i picia... No, powiedzmy z piciem jakoś sobie radzi... Ale ta, jak każdy wielbłąd, dźwiga swój garb. Na starość staje się dromaderem. Przybywa mu drugi garb. Niesie w nim latka, sukcesy, porażki, wspomnienia i coraz więcej rzeczy, które zastępują mu scenę, bo zaczyna na niej bywać coraz rzadziej. Czy nie zauważyłaś, że prawie nikt nie chce pisać sztuk dla starych aktorów, a zwłaszcza – aktorek?

Tak zaczyna się sztuka Ryszarda Ulickiego. To *bilans życia dwóch dojrzałych wiekiem aktorek. Słuchowisko z udziałem Teresy Lipowskiej, tegorocznej laureatki Wielkiego Splendora i Grażyny Barszczewskiej, która uzyskała tę prestiżową nagrodę w 1999 r. Dwie dojrzałe aktorki spotykają się, by świętować w kameralnym, dwuosobowym gronie jubileusz jednej z nich. Obie kobiety lata świetności mają już za sobą, podczas rozmowy nie szczędzą sobie złośliwości, ale i z rozrzewnieniem wspominają dawne lata. Przy butelce koniaku jubilatka podsumowuje swoje zawodowe i prywatne życie* – tak do wysłuchania opartego na sztuce koszalińskiego autora spektaklu zachęcał Pr 1 PR.

Niewątpliwym atutem tego słuchowiska były kreacje dwóch tak wybitnych i zasłużonych dla teatru radiowego aktorek, jak Teresa Lipowska i Grażyna Barszczewska.

Sztuka w roku 2010 ukazała się drukiem, nakładem Wydawnictwa Adam Marszałek.

Teatr Polskiego Radia w Jedynce:
Ryszard Ulicki, „Zdrówko pana dyrektora"; reż. Janusz Kukuła; opracowanie muzyczne: Marian Szałkowski; realizacja akustyczna: Paweł Szaliński
obsada: Teresa Lipowska (Aktorka 1 – Jubilatka) i Grażyna Barszczewska (Aktorka 2 – młodsza przyjaciółka)
premiera w 1 PR Polskiego Radia 8 grudnia 2010 r.

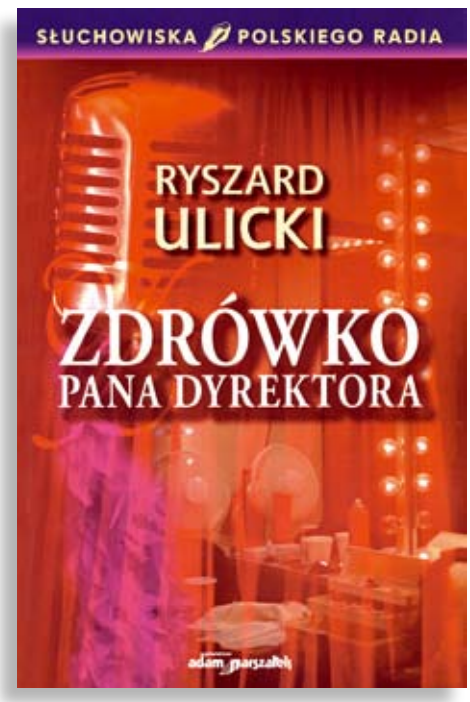

Ryszar Ulicki, Zdrówko pana dyrektora.

POŻEGNANIA I WSPOMNIENIA

Katarzyna Sobczyk (1945-2010)

Prawdziwe jej imię brzmiało Kazimiera. Kasia jednak wyjątkowo pasowało do Jej okrągłej buzi z dołeczkami w policzkach, zadartego noska, tego dziewczęcego uroku, jakim czarowała Polaków od pierwszych swych estradowych poczynań.

W II Liceum im. Broniewskiego, do którego trafiłam w roku 1972, wciąż wspominano Kasię Sobczyk, wtedy już gwiazdę, jak podczas przerw między lekcjami, siedząc na okiennych parapetach, wyśpiewywała piosenki - bo śpiew to był Jej żywioł. Pytana, czym jest dla Niej śpiewanie odpowiadała: - *Wszystkim. Tym, czym woda dla ryb. Zresztą ja właśnie jestem spod znaku Ryb. Gdybym po raz drugi miała wybierać swoją drogę życiową, zapewne też bym śpiewała.*

Katarzyna Sobczyk (właściwie Kazimiera Sawicka) urodziła się 21 lutego 1945 r. w Tyczynie. Swoją przygodę z piosenką rozpoczęła w 1961 r. śpiewając w działającym przy koszalińskim Wojewódzkim Domu Kultury zespole amatorskim Biało-Zieloni. W roku 1963 została solistką zespołu Czerwono-Czarni. Tak wspominała tamte chwile: *W 1964 roku pojechałam na festiwal do Opola. Tam zaśpiewałam specjalnie dla mnie napisaną piosenkę „O mnie się nie martw". Otrzymałam wtedy pierwszą nagrodę, co w tamtych czasach było niesamowitym sukcesem. Rok później znów przyjechałam do Opola, tym razem z piosenką „Nie wiem czy to warto". Znów wyśpiewałam pierwsze miejsce... Był rok 1966. To wówczas powstała piosenka „Mały Książę". W 1967 r. została nagrana, a z końcówką roku w plebiscycie radiowym uznana za najlepszą piosenkę roku. Ten sam plebiscyt przyznał mi tytuł Piosenkarki Roku. W tym samym czasie nagrałam jeszcze piosenkę „Nie bądź taki Szybki Bill" do serialu „Wojna domowa". Tego roku otrzymałam również nagrodę publiczności w Opolu za piosenkę „Trzynastego". Serca najmłodszej publiczności zaskarbiłam sobie bijącą rekordy popularności piosenką pt. „Hipopotam"...*

W latach 80. Katarzyna Sobczyk wyjechała do USA. Tak mówi o tym okresie: *Pobyt w Stanach był dla mnie okresem dość twórczym. Wraz z Jackiem Kaflem wydaliśmy płytę pt. „Ogrzej me serce". Kolejna płyta, którą nagrałam, nosiła tytuł „Niewidzialne".*

Podczas opublikowanej w „Superekspresie" 26 lipca 2010 roku - dwa dni przed śmiercią Katarzyny Sobczyk - rozmowy, dziennikarka pytała: - *Wiele lat spędziła pani w Chicago, z powodzeniem tam koncertując. Niejednokrotnie przyznawała, że był to dla niej wyjątkowo udany czas. W Stanach nagrała pani dwie płyty. Jednak w 2008 roku podjęła pani decyzję o powrocie do Polski. Dlaczego?*

- Wtedy już byłam chora. Nie chciałam, żeby leczyli mnie tamtejsi lekarze. Nie, nie dlatego, że nie miałam do nich zaufania, ale wtedy, co zrozumiałe, miałam różne nastroje. No i w przypływie tych najgorszych myślałam sobie, że jakby co, to wolę być między swoimi, w Polsce. I chociaż miałam już wyznaczony czas operacji strun głosowych, spakowałam trochę najbardziej niezbędnych rzeczy, wzięłam pieniądze, jakie na moją terapię zebrali przyjaciele podczas koncertów, wsiadłam w samolot - i już. A tu oddałam się pod opiekę specjalistom z Centrum Onkologii.

Kasia Sobczyk wróciła do Koszalina, który z mieszanymi emocjami witał „swoją" gwiazdę. A jednak kiedy we wrześniu 2008 roku przyjaciele zorganizowali w koszalińskim amfiteatrze koncert dla zdobycia funduszy na Jej leczenie – publiczność nie zawiodła. Mimo choroby Kasia odwdzięczyła się „Małym Księciem"- więcej zaśpiewać nie mogła.

Ostatnie miesiące swego życia spędziła w warszawskim hospicjum. Do końca wierzyła, że wygra z rakiem. Krzysztof Klimek, jej menedżer i przyjaciel wspomina: *Zawsze, gdy się do niej przychodziło, to kazała poczekać i po 20 minutach wychodziła ładnie ubrana, umalowana. Nie poddawała się.*

Kasia Sobczyk zmarła 28 lipca 2010 roku, w wieku 65 lat. Zawsze była i w pamięci wszystkich pozostanie nie jako Katarzyna jednak, ale Kasia właśnie.

Małgorzata Kołowska
fot. Janusz Wegler

Ryszard Major (1948-2010)

Był absolwentem filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz reżyserii w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Szczególnie chętnie inscenizował teksty literatury polskiej. Wyreżyserował ponad sto spektakli teatralnych, z czego ponad 20 w Teatrze Wybrzeże. W Gdańsku przygotował m.in. „Teatr osobny" Mirona Białoszewskiego, „Marię Stuart" Fryderyka Schillera, „Iwonę, księżniczkę Burgunda", „Ślub", „Operetkę" i „Historię" Witolda Gombrowicza, „Bal w operze" Juliana Tuwima, „Wieczór Trzech Króli" Williama Szekspira, „W małym dworku" Witkacego oraz „Proces" Franza Kafki. Pracował także w gdańskim Teatrze Miniatura i Teatrze Miejskim w Gdyni.

Był założycielem studenckiego Teatru Pleonazmus, który działał w latach 1970-76. Było to znaczące zjawisko w ówczesnym życiu teatralnym, kiedy to dokonywała się Druga Reforma Teatru, któremu w całości poświecił swoją wydaną w 1979 roku książkę Tadeusz Nyczek. W latach 1975-82 Ryszard Major pracował w gdańskim „Wybrzeżu" jako etatowy reżyser. Potem był kierownikiem artystycznym Teatru Współczesnego w Szczecinie (1982-90), dyrektorem Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie (1990-93), dyrektorem Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim (1995-2002) i etatowym reżyserem tej samej sceny (2002-04) oraz reżyserem w Teatrze Polskim w Szczecinie (od 2009 roku). Jego pożegnalnym spektaklem był „Bal manekinów" Brunona Jasieńskiego, którego premiera odbyła się w Teatrze Wybrzeże w lutym 2010 roku. Miesiąc później Ryszard Major został uhonorowany Nagrodą Teatralną Marszałka Województwa Pomorskiego za całokształt twórczości.

Trzy lata spędzone przez Ryszarda Majora w Koszalinie każą wspominać Go z wdzięcznością. Bo podczas każdego ze swych tutejszych sezonów teatralnych stworzył jedno przestawienie, które bez obaw popełnienia błędu można nazwać wybitnym. Trzy wielkie dzieła sceniczne podczas trzech lat? Czy można sobie coś więcej zamarzyć w mieście wielkości Koszalina, z jedynym teatrem zawodowym – repertuarowym, czyli godzącym różne gusta i potrzeby?

„Molierówna" Jeana Anouille'a (premiera 21 października 1990) to pierwszy z tych spektakli zrealizowanych przez Ryszarda Majora w BTD, z wybitną kreacją Ewy Nawrockiej i jego scenicznym odkryciem – młodziutką Marzeną Wieczo-

rek w roli tytułowej. Moliera zagrał Kazimierz Tałaj. Pusta scena, na niej jedynie wóz, jakim przemieszczają się wędrowni artyści – jak wóz Tespisa symbolizujący los aktora - wokół którego toczy się całe życie Moliera, jego wieloletniej kochanki i jej córki a jego wychowanicy, z którą łączy go stosunek niekoniecznie ojcowski tylko.

Rok później na Dzień Teatru Major wyreżyserował „Krzesła" Ionesco – znowu z wielkimi kreacjami – kolejną Ewy Nawrockiej i – gościnnie partnerującego jej gdańskiego aktora Jerzego Łapińskiego. Wreszcie w trzecim majorowym sezonie „Białe małżeństwo" Różewicza. Także i tu błysnęła – talentem (i nagą a urodziwą piersią) Marzena Wieczorek jako Bianka. Na drugim biegunie tej rozpiętej między niewinną młodością a wyuzdaną (już tylko platonicznie) starością tragikomedii sytuuje się Dziadek świetnego w tej roli Mieczysława Błochowiaka. Pośród tych trzech wielkich przestawień jest kilka mniejszych – dosłownie, bo na małej scenie wyreżyserowanych, wdzięcznych, dowcipnych miniatur jak choćby „Zielone dziecko" Henri Camusa czy „Teatrzyk Zielona Gęś" wg Gałczyńskiego. Bo Ryszard Major gustował także w wyrafinowanym, scenicznym dowcipie, formach lżejszych, quasi kabaretowych – ale tych zawiązanych z tradycją kabaretu literackiego, broń Boże politycznego.

Potem jeszcze na jubileusz BTD (czterdziestopięciolecie) i kolejny Miedzynarodowy Dzień Teatru Ryszard Major wyreżyserował „Marię Stuart" Juliusza Słowackiego, której premiera odbyła się 27 marca1999 r. Spektakl piękny, wysmakowany, upozowany niejako – taką też kreację stworzyła Agnieszka Ćwik w roli tytułowej. Jeśli to przedstawienie porywało, to przede wszystkim wysmakowaną urodą sceniczną, w czym zasługa Ewy Krechowicz, towarzyszki życia Ryszarda Majora i scenografki.

Właśnie za ten teatr nie mizdrzący się do widza, a jednak uwodzicielski, piękny ale bez blichtru, błyskotliwy ale intelektualnie, nie zaś mamiący sztuczkami – cenię Ryszarda Majora jako jednego z najwybitniejszych twórców powojennego teatru w Polsce, poczynając od Jego studenckich poczynań, na repertuarowym – by nie rzec mieszczańskim - teatrze kończąc. Sam Ryszard Major był artystą całkowicie pozbawionym ambicji celebryckich (wówczas jeszcze to pojęcie nie było tak powszechne), stroniącym raczej od mediów.

Koszalin miał szczęście, przez trzy sezony goszcząc tego znakomitego Artystę.

Małgorzata Kołowska
fot. archiwum Teatru im. J. Osterwy
w Gorzowie Wielkopolskim

Roman Wojcieszak (1941-2010)

Jak to, Roman Wojcieszak nie był z Koszalina? Pewnie wielu kolegów dziennikarzy, a przede wszystkim grono czytelników jego cotygodniowego cyklu „Lekko wstecz", w którym ostatnio na łamach „Miasta" dzielił się z nami historią, przypominał ludzi i miejsca i wydarzenia związane z Koszalinem, zdziwiło się po Jego śmierci. Z takim zaangażowaniem i umiłowaniem pisał przecież o tym mieście, o swoim mieście...

Tymczasem, nad Dzierżęcinkę przyjechał w 1969 roku z Wielkopolski. Urodził się bowiem w Pleszewie, 30 października 1941 roku. Stu-

diował w Poznaniu, na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Po ukończeniu studiów w 1964 r. pracował w Wojewódzkiej Bibliotece Pedagogicznej, potem prowadził oddział „Gazety Poznańskiej" w Koninie i Kaliszu. Stamtąd przyjechał nad morze. Przez całe swoje życie związany był ze słowem pisanym; z miesięcznikiem „Pobrzeże" (starsi koszalinianie pamiętają pewnie ten periodyk), potem naszym lokalnym „Glosem" – „Koszalińskim" i „Pomorza". Stąd przeszedł w 2001 roku na emeryturę. Nie to, żeby był już za stary...

Z Romanem – tak, Romanem, bo choć z racji różnicy wieku mógłbym być pewnie jego dzieckiem, to jednak w dziennikarskim fachu rzadko kto mówi komu na pan – los zetknął mnie w redakcji „Głosu Pomorza" na początku lat dziewięćdziesiątych. Mnie młodego, gniewnego reportera z tym wtedy w sile wieku mężczyzną-sekretarzem redakcji. Zawsze chodzącym ze stertą jakichś papierzysk do przeczytania pod pachą. Tak, gdy nie było komputerów dziennikarskie teksty powstawały na maszynach do pisania, a później przed drukiem czytały je czujne redaktorskie oczy. Także oczy Romana.

Był jednym z najlepszych redaktorów, z jakimi miałem do czynienia. Takim, co to wychwyci każdy, najmniejszy nawet błąd. Ne tylko ortograficzny czy stylistyczny, ale także rzeczowy. Roman był po prostu chodzącą encyklopedią. I jak to „encyklopedia" - Jego wiedza obejmowała przeróżne dziedziny życia, co w gazetach codziennych, poruszających tak różną tematykę (od sportu, kultury aż po naukę) – tym bardziej było cenne.

Do tego był człowiekiem wielkiej kultury osobistej. Nie słyszałem, by komuś poprawił materiał w taki sposób, żeby dziennikarz miał do niego pretensje. Zawsze, nawet gdy były jakieś drobne wątpliwości dotyczące tekstu, kontaktował się z autorem. Spokojnie i rzeczowo. Bez wykrzykiwania na korytarzach, co też ten X znowu za brednie powypisywał...

Kiedyś zastanawiałem się, skąd Roman miał tak rozległą wiedze. Wystarczyło Go odwiedzić w Jego mieszkaniu, i już wiedziałem skąd. Proste – z książek! Jego domowa biblioteka to w przeważającej większości jednak nie powieści, lecz... słowniki i encyklopedie. Chyba wszystkie, jakie zostały w Polsce wydane! Pamiętam jak Go kiedyś spytałem, po co Mu kolejne wydanie wielotomowej encyklopedii. Tylko na mnie dziwnie popatrzył.

To był człowiek, który dużo wiedział, a mimo to ciągle sprawdzał...

Gdy tworzyliśmy cztery lata temu (w roku 2005 – dop. red.) nową gazetę Dziennik Koszaliński „Miasto" – zaprosiliśmy Romana. By nam pomógł i wsparł swym doświadczeniem. Nie odmówił. Także dzięki Jego zaangażowaniu „Miasto" zaistniało na koszalińskim rynku wydawniczym. Od samego początku wymyślił sobie całostronicowy cykl „Lekko wstecz", w którym opisywał, co działo się w Koszalinie w nie tak odległej przeszłości: 50, 40, 30 lat temu. Nawet choroba i częste pobyty w szpitalach nie przerwały tej pracy. Gdy czuł się lepiej przygotowywał od razu kilka odcinków, które do redakcji przynosiły potem Jego córka bądź żona. Ostatnie „Lekko wstecz" zamieściliśmy 7 maja. W poniedziałek 24 maja 2010 roku Roman Wojcieszak zmarł.

W środę pożegnaliśmy Go na koszalińskim cmentarzu.

A wiecie, gdzie Go ostatni raz spotkałem? W czytelni koszalińskiej biblioteki. Z ukochanymi książkami pod pachą...

I takim Go będę pamiętał.

Stanisław Kiełb

Tekst opublikowany
w Tygodniku Koszalińskim „Miasto" nr 8/2010
fot. www.gk24.pl

Henryka Rodkiewicz (1921-1990)

Była jedną z tych osób, które nobilitowały Koszalin – była charyzmatyczną osobowością, skupiającą wokół siebie ludzi równie niepokornych i poszukujących, artystką, która nie zadowalała się rutyną. Sama o sobie zwykła mówić, że jest zbyt inteligentna, by być tylko aktorką, dlatego reżyserowała, tworzyła scenariusze, pisała wiersze. Była zbyt twórcza, by wpisywać się w ramy teatru repertuarowego – założyła więc własny teatr. Cóż, że amatorski, skoro w krótkim czasie o Teatrze Propozycji „Dialog" było głośno w całym kraju, a luminarze tamtych czasów o aktorach „Dialogu" pisali „Złotouści".

Urodziła się w 1921 roku w Wilnie. Gimnazjum Ogólnokształcące im. Elizy Orzeszkowej ukończyła w 1939 roku. W latach 1945-48 studiowała polonistykę na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz pracowała w starostwie nieszawskim jako referent ds. kultury. Potem przez kilka lat była kierownikiem referatu kultury w Katowicach i jednocześnie – reżyserem eksperymentalnego Teatru Dziecka przy Zarządzie Głównym Związku Górników. W latach 1950-51 była aktorką Teatru Rapsodycznego w Krakowie, w 1951-53 – kierownikiem literackim Teatru Młodego Widza w Poznaniu, a następnie – innych teatrów poznańskich. W następnych sezonach grała w Kielcach, Tarnowie, Rzeszowie i Koszalinie. Poza pracą aktorską – reżyserowała, specjalizując się w estradzie poetyckiej. Od 1945 roku współpracowała z amatorskim ruchem teatralnym.

Od 1959 roku, kiedy założyła wraz z grupą recytatorów-amatorów zespół teatralny i stowarzyszenie – związała się z „Dialogiem", chociaż w ciągu następnych kilku lat wyjeżdżała jeszcze poza Koszalin, pełniąc funkcję kierownika literackiego w Teatrze Lalki w Szczecinie oraz grając i reżyserując w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Od 1965 roku na stałe osiadła w „Dialogu" – w przenośni i niemalże dosłownie, bowiem traktowała go nie tylko jako miejsce działalności twórczej, ale – jak dom rodzinny, przyjazny wszystkim, którym bliskie są słowa z „Testamentu" Stefana Jaracza: Żądam od każdego teatru służby ideowej – aby teatr, choćby w skromnym zakresie, wiedział, czego chce i aby robił wszystkie wysiłki do realizacji swych zamierzeń.

To przesłanie twórcy teatru „Ateneum" i wielkiego rzecznika upowszechniania sztuki teatralnej pośród mas społecznych umieszczane było w programach teatralnych, jeszcze wtedy, gdy Henryka Rodkiewicz przeszła na emeryturę. Dodajmy od razu – była emerytką jedynie formalnie, do końca swych dni obecna w „Dialogu" jako jego dobry duch, mentor młodszych, a także reżyser - mniejszych co prawda form teatralnych, ale wciąż twórcza.

Jako aktorkę i reżysera z całą pewnością ukształtował Ją Mieczysław Kotlarczyk, w którego słynnym krakowskim Teatrze Rapsodycznym pracowała przez dwa sezony. Także w „Dialogu" poświęciła się temu, by przestrzeń sceniczną wypełniać słowem poetyckim i by „odpowiednie dać rzeczy słowo". Teatr Rapsodyczny przysposabiał dla potrzeb sceny teksty dla niej nie tworzone, mające jednak potecjał teatralny pozwalający tworzyć niezwykłe widowiska – bo nie tylko przecież słuchowiska, choć to właśnie Henryka Rodkiewicz zapraszała publiczność na spektakle „teatru przy stoliku" i głośne czytanie nowo ukazujących się w miesięczniku „Dialog" sztuk teatralnych – ten właśnie miesięcznik wyraził zgodę nie tylko na używanie jego nazwy, ale i charakterystycznej i do dziś stosowanej czcionki!

W sierpniu 1959 roku w Teatrze Propozycji „Dialog" odbyła się pierwsza premiera - „Go-

dzina myśli" złożona z utworów Juliusza Słowackiego. *Wtedy zaczął rodzić się zespół, w pracy nad ową godziną myśli politycznej i społecznej, zastanawiająco wówczas aktualnej. Młodzi ludzie, utalentowani recytatorzy „poznali wówczas wagę słowa, jego siłę, znaleźli dla tego słowa współczesnego adresata*. - pisała Jadwiga Ślipińska przy okazji dziesięciolecia „Dialogu".

7 marca 1960 roku odbyła się premiera spektaklu „Nie będzie końca dialogu" opartego na scenach z tragedii Ajschylosa, Eurypidesa i Sofoklesa. Wielkie konflikty sumienia, wielkie dramaty, wielkie kreacje sceniczne... Spektakl zwany przez „dialogowców" też tryptykiem antycznym dał hasło, niosące niekończącą się nadzieję... „nie będzie końca dialogu"... Oczywiście premier było znacznie, znacznie więcej. Te najważniejsze to także „Pieśn o wyprawie Igora" – staroruska bylina, „Róża" wg Żeromskiego, „Pochwała głupoty" – inscenizacja filozoficznego traktatu Erazma z Rotterdamu, „Nasza mała stabilizacja" wg Różewicza, „Źdźbła trawy" wg Walta Whitmana, wspaniałe monodramy, „Dalej będę musiała iść sama" Zuzanny Kaniuk – bolesne zwierzenia Anne Philippe, wdowy po wybitnym aktorze, ikonie lat 50. i 60 światowego kina, „Pieśń szczurołapa" Adolfa Domina, „Obrona Sokratesa" Jerzego Domina, „Bobok" Elżbiety Okupskiej...

Teatr to sprawa wyboru i człowiek musi wybierać z tego bogactwa, jakie go otacza. Trzeba umieć wybierać i być za to odpowiedzialnym. Ot i cała filozofia życia – mówiła Henryka Rodkiewicz. - *Każdym programem proponujemy wyjście z konfliktów, konfliktów starych jak ludzkość i jak ludzkość trwałych, wyjście z konfliktów przez porozumienie się ludzi między sobą, przez miłość, przez nadzieję... Przy pomocy antyku wypowiadamy nadzieję: klęskę fizyczną ludzi, którzy o coś walczą i ich zwycięstwo moralne. Teksty współczesne w tym programie pełnią funkcję pomocniczą. Dopowiadają antyk, przybliżają go do niezbyt przygotowanego widza.*

Za sprawą Henryki Rodkiewicz w Koszalinie, nieopodal Domku Kata, który wywalczyła dla „Dialogu" i do którego dobudowała „Szopę", w której spełniała się Jej własna wizja „teatru ogromnego" – choć jakże kameralnego - stanął pomnik Cypriana Kamila Norwida. Jego twórczość propagowała poprzez zrealizowane przez siebie spektakle i poprzez konkurs recytatorski, jaki przetrwał do dziś.

Była jedyna i niepowtarzalna. Wspaniała. I nieznośna – choćby przygarniając kolejne kocie pokolenia, które, co tu dużo mówić, przydawały teatrowi przy ul. Grodzkiej dość specyficzne walory zapachowe. Ale też teatr ów, nie tylko początkowa salka kominkowa czy późniejsza duża scena w „Szopie" nie były miejscami wymuskanymi: tam wbijało się gwoździe w drewnianą podłogę, w którą wsiąkła niejedna kropla aktorskiego potu a w czarnych zasłonach krył się sceniczny kurz, bez którego nie ma TEATRU. A we foyer – bo było wtedy foyer – królował „koci" portret Henryki Rodkiewicz autorstwa kołobrzeskiej artystki Ireny Zahorskiej.

Wymuszała respekt swą wyprostowaną – by nie powiedzieć wyniosłą sylwetką, przeszywającym spojrzeniem zza szkieł w „kocich" (jakże by nie!) oprawkach okularów, ascetycznym stylem noszenia się, zazwyczaj na szaro, w proste dzianiny (zimą uwielbiała wielbłądzią wełnę, latem len) - niczym włosiennice niegdysiejszych eremitów. Charakterystycznym gestem przygładzała spięte wysoko nad czołem, gładko zaczesane do tyłu włosy, długimi wąskimi palcami trzymała nieodłącznego papierosa... W jej głosie kryła się miękkość kociej sierści i ostrość pazurków. A mówiła pomału, z namysłem, nienaganną polszczyzną...

Była wyrafinowaną intelektualistką, co sprawiało, że była tak niezwykła, a zarazem jakże była zwyczajna gdy częstowała herbatą i zapraszała z uśmiechem „proszę, dziecineczko serduszko, niech pani usiądzie". Nie znaczy to, że była łatwa w obcowaniu z ludźmi – była wymagająca, niezależna (gdy trzeba mistrzyni dyplomacji wobec władz, ale i bezlitosna w obnażaniu miałkości czy, mówiąc wprost, głupoty niektórych decydentów w tamtych czasach), bezkom-

promisowa, niekiedy obcesowa, wobec „Dialogu" była prawdziwie po matczynemu zaborcza. Ale też wykształciła sporą gromadkę aktorskich „dzieci" (własnych nie miała, także z małżeństwa wycofała się dochowując wierności teatrowi) – to Jerzy Domin (jeszcze rok temu zagrał w rocznicowym spektaklu „Słowacki", w tegorocznym „Miłoszu" już nie dał rady wystąpić), Wacław Dąbrowski, Jerzy Litwin, Stefania Tomaszewska, Mirosław Krom... A ilu już odeszło na niebiańskie sceny? A byli też młodzi, którzy dzięki Henryce Rodkiewicz wstąpili na zawodową drogę „przez labirynt zwany teatr": gdy zacząć od panów to Edward Żentara i Lech Dyblik, także nieżyjący już Darek Siatkowski. Spośród pań to przede wszystkim (jedynie?) wielka, wspaniała i coraz wspanialsza (jak ona to robi!) aktorka - Elżbieta Okupska!

Przebogata biografia artystyczna owocowała wspaniałymi przyjaźniami – zyskała je też dla Koszalina, dokąd przyjeżdżali tak wspaniali twórcy teatralni, jak Irena i Tadeusz Byrscy, krakowska scenografka Irena Pikiel, malarka i poetka Erna Rosenstein wraz z mężem historykiem i krytykiem literackim prof. Arturem Sandauerem, a także wybitny rysownik Szymon Kobyliński, który dowcipnie i jakże trafnie „wpisał" postać Henryki Rodkiewicz w fasadę Domku Kata. Bo jedynie Ona mogła powiedzieć „Dialog to JA".

Małgorzata Kołowska
fot. archiwum STP „Dialog"

Kalendarium
wybranych wydarzeń kulturalnych w Koszalinie w 2010 roku

MUZYKA

Filharmonia Koszalińska im. Stanisława Moniuszki

7-8 stycznia „Gala straussowska"; Ruben Silva – dyrygent, Marta Wyłomańska – sopran
14-15 stycznia koncert karnawałowy; Stanisław Fiałkowski – dyrygent, Andrzej Dąbrowski – śpiew, Chórek Studia Artystycznego im. Haliny i Krzysztofa Ziembińskich
22 stycznia Emmerich Kálmán, „Księżniczka czardasza" – operetka w 3 aktach; Ruben Silva – dyrygent, Gabriela Silva i Monika Rajewska – sopran, Witold Wrona i Tomasz Madej – tenor
28-29 stycznia koncert karnawałowy; Sławomir Chrzanowski – dyrygent, Irena Jarocka – śpiew, Chórek Studia Artystycznego im. Haliny i Krzysztofa Ziembińskich
5 lutego koncert karnawałowy; Bohdan Jarmołowicz – dyrygent, Jerzy Połomski – śpiew, Janusz Sent – fortepian, Chórek Studia Artystycznego im. Haliny i Krzysztofa Ziembińskich
19 lutego koncert symfoniczny; Eugene Tzigane – dyrygent, JoAnna Ferrer – skrzypce
26 lutego koncert symfoniczny; David Handel – dyrygent, Jolanta Reszelska – fortepian
5 marca koncert z okazji 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina; Ruben Silva – dyrygent, Karolina Nadolska – fortepian
19 marca koncert symfoniczny; Jacek Kraszewski – dyrygent, Katarzyna Duda – skrzypce
9 kwietnia „Operowe przeboje chóralne"; Ruben Silva – dyrygent, Chór Opery Nova z Bydgoszczy
21 kwietnia koncert w hołdzie ofiarom tragedii w Smoleńsku; Tomasz Tokarczyk – dyrygent, Gabriela Silva – sopran
23 kwietnia „Śpiewaj ze mną...."; Janusz Przybylski – dyrygent, Katarzyna Dondalska – sopran koloraturowy, Natan Dondalski – skrzypce
7 maja koncert muzyki hiszpańskiej; Tomasz Tokarczyk – dyrygent, Adam Woch – gitara
14 maja „Święto Polskiej Niezapominajki 2010"; Jan Walczyński- dyrygent, Anna Serafińska – śpiew, Michał Moc – akordeon
28 maja koncert uczniów ZPSM w Koszalinie; Dobrochna Martenka – dyrygent
4 czerwca zakończenie sezonu 2009/2010; Ruben Silva – dyrygent, Agata Szymczewska – skrzypce
25 czerwca Giuseppe Verdi, „Traviata" – opera w 3 aktach; Ruben Silva – dyrygent, w roli tytułowej Gabriela Silva – sopran, Chór Opery Nova w Bydgoszczy
24 lipca Carl Orff, „Carmina Burana"; Karol Borsuk – dyrygent, Olga Ksenicz – sopran, Piotr Łykowski – kontratenor, Leszek Skrla – baryton, Chorverband Berlin, Chór Ziemi Chełmskiej, Międzyszkolny Chór „Dominanta" Mścice
7 października inauguracja sezonu artystycznego 2010/2011; „Chopin 2010"; Ruben Silva – dyrygent, Edward Wolanin – fortepian
15 października koncert symfoniczny „Chopin 2010"; Wojciech Rodek – dyrygent, Beata Bilińska – fortepian
29 października inspiracje muzyczne Chopinem; Ewa Strusińska – dyrygent, Joanna Marcinkowska – fortepian
12 listopada koncert z okazji Dnia Niepodległości; Tomasz Bugaj – dyrygent, Hélène Tysman – fortepian
19 listopada „Z muzyką polską poprzez wieki"; Jan Miłosz Zarzycki – dyrygent, Zbigniew Raubo – fortepian
26 listopada koncert symfoniczny; Rafał Delekta – dyrygent, Łukasz Błaszczyk – skrzypce
10 grudnia „Wieczór muzyki angielskiej"; Paweł Kotla – dyrygent, Marcel Markowski – wiolonczela

44. Międzynarodowy Festiwal Organowy

2 lipca inauguracja; Frank Dittmer (Niemcy) – organy, Eugeniusz Kus – dyrygent, Marzena Michałowska – sopran, Antonina Witajewska – mezzosopran, Wojciech Maciejowski – tenor, Jarosław Bręk – bas, Chór „Camerata Nova", Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
9 lipca Marco Aurélio Lischt (Brazylia) – organy, Torbjörn Gustavsson (Szwecja) – dyrygent, Trefalddighetskyrkans Kör z Kristianstad (Szwecja), Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
16 lipca Alessandro Bianchi (Włochy) – organy, Hermann Kreutz (Niemcy) – dyrygent, Agnieszka Tomaszewska – sopran, Ewa Wardyńska-Wąsikiewicz – alt, Krzysztof Gasz – tenor, Ryszard Kalus – bas, Medea Berianidze i Joanna Bernagiewicz – fortepian, Bogdan Narloch – fisharmonia, Kammerchor Münster (Niemcy), Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
23 lipca Per Fridtjov Bonsaksen (Norwegia) – organy, Gregor Witt (Niemcy) – dyrygent, Mecklenburgische Bläserakademie (Niemcy)
30 lipca Ján Vladimír Michalko (Słowacja) – organy, Mariusz Monczak (Kanada) – dyrygent, skrzypce, Orkiestra Filharmonii Koszalińskiej
6 sierpnia Henryk Gwardak (Finlandia) – organy, Duet L'ame vocale (Francja): Lée Sarfati – sopran liryczny,

Illya Amar – perkusja
13 sierpnia Hana Bartošová (Czechy) – organy, Anna Firlus – klawesyn, Tomasz Ślusarczyk i Stanisław Majerski – clarino (trąbka naturalna)
20 sierpnia Józef Serafin – organy, Marta Czarkowska – dyrygent, Chór „Imprevisti"
27 sierpnia zakończenie; David di Fiore (USA) – organy, Patrycja Piekutowska – skrzypce, Tomasz Szczęsny – wiolonczela, Sławomir Wilk – fortepian

Polonijne Lato

10-23 lipca Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych
18-30 lipca Polonijne Warsztaty Chóralne

Inne

23 stycznia Gryfy i Riffy: Chopin Guitar Quartet. Kino „Kryterium"
28 stycznia Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital fortepianowy Łukasza Jankowskiego
28 stycznia koncert jazzowy: Tyler Hornby, Piotr Lemańczyk i Maciej Sikała. Teatr Variete Muza
14 lutego koncert zespołu Vox. Kino „Kryterium"
18 lutego Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital fortepianowy Barbary Karaśkiewicz
26 lutego recital Michała Bajora. BTD
16 marca „Dawnych wspomnień czar" – recital Krystyny Górki i Marka Dziedzica. Domek Kata
18 marca Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital gitarowy Adama Wocha
21 kwietnia koncert Anny Marii Jopek. Kino „Kryterium"
22 kwietnia recital Joanny Rawik „Kocham świat". STP „Dialog"
25 kwietnia „Kraina Operetki i Musicalu" w wykonaniu Renaty Kuczyńskiej. Teatr Variete Muza
12 maja koncert zespołu „Dżem". Amfiteatr
13 maja pieśni rosyjskie i żydowskie w wykonaniu Genadija Iskhakowa. STP „Dialog"
23 maja koncert Andrzeja „Piaska" Piasecznego. Amfiteatr
29 maja koncert Haliny Kunickiej. Teatr Variete Muza
29 maja 21. Festiwal Pieśni Religijnej im. Jana Pawła II „Cantate Domino"
11 czerwca Muza Jazz: koncert Ilony Damięckiej. Teatr Variete Muza
17 czerwca Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital fortepianowy Grzegorza Niemczuka
19-20 czerwca 35. Festiwal Ukraińskich Zespołów Dziecięcych. BTD
5 lipca koncert jubileuszowy Budki Suflera. Amfiteatr
16 lipca Muza Jazz: koncert Cezariusza Gadziny. Teatr Variete Muza
16 lipca koncert Agnieszki Chylińskiej. Amfiteatr
15 sierpnia koncert Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej. Amfiteatr
20-21 sierpnia 30. Festiwal Rockowy „Generacja 2010"
10 września koncert Beaty Kozidrak i zespołu Bajm. Amfiteatr
11 września „Rewia Variete" – Renata Kuczyńska, Studio Batuta Voices i Studio Tańca i Rewii „Mosso". Teatr Variete Muza
14 września recital Sławy Przybylskiej. Teatr Variete Muza
16 września recital Ewy Błaszczyk. Domek Kata
19 września koncert Basi Stępniak-Wilk. Radio Koszalin
23-26 września 10. Międzynarodowy Festiwal Zespołowej Muzyki Akordeonowej
25 września koncert piosenek żeglarskich i szant w wykonaniu zespołu „Kubryk". Teatr Variete Muza
1 października koncert Grażyny Łobaszewskiej z zespołem Ajagore. Kino „Kryterium"
9 października koncert akordeonisty Vlada Pligovki. Katedra NMP
20-23 października 6. Hanza Jazz Festiwal
24 października koncert duetu gitarowego Andreas Kapsalis i Goran Ivanovic. Teatr Variete Muza
28 października koncert Joanny Majewskiej-Steinberg. Radio Koszalin
29 października Muza Jazz: Zaduszki jazzowe. Sekcja Barow'a i przyjaciele. Teatr Variete Muza
12 listopada Janusz Józefowicz i Natasza Urbańska „Hity Buffo" – pierwsze urodziny Teatru Variete Muza
13 listopada koncert z okazji 20-lecia istnienia Orkiestry „Jarosław Barów Band". Teatr Variete Muza
20-21 listopada 16. Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej im. Mariana Hemara. Domek Kata
20-21 listopada 7. Ogólnopolski Festiwal Piosenki Aktorskiej „Reflektor 2010". Pałac Młodzieży/BTD
21 listopada koncert Stanisława Soyki. Kino „Kryterium"
25 listopada „Wieczór japoński: Nukata" – opera w dwóch aktach w wykonaniu Naomi Utamakura. Teatr Variete Muza
2 grudnia „Wszystko przed nami" recital Krzysztofa Cwynara. STP „Dialog"
4 grudnia 10. Przegląd Zespołów Śpiewaczych i Folklorystycznych „Złota Jesień 2010". Kino „Kryterium"
9 grudnia Salon Muzyczny Radia Koszalin: recital fortepianowy Wojciecha Świtały
9 grudnia koncert Yury'ego Shishkina i zespołu „Harmonium Duo". Kino „Kryterium"
17 grudnia koncert bluesowy zespołu Young&Zgreds. Radio Koszalin

TEATR

Bałtycki Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego

3 stycznia „Jesteśmy na wczasach, czyli polska miłość"; reż. Cezary Domagała
5 stycznia D. Auburn „Dowód"; reż. Andrzej Seweryn – gościnnie Teatr „Polonia" z Warszawy
7 stycznia „Królewski list" wg braci Grimm; reż. Zbigniew Kulwicki
13-14 stycznia I. Kusiak, C. Żołyński „Przebudzenie"; reż. Cezary Żołyński – gościnnie Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego
15 stycznia „Trzy razy Piaf"; reż. Artur Barciś – gościnnie Teatr im. Juliusza Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego
20-21 stycznia A. Long, D. Singer „Dzieła wszystkie Szekspira"; reż. Piotr Krótki
24 stycznia S. Aleichem „Skrzypek na dachu"; reż. Zbigniew Macias – gościnnie Nowy Teatr ze Słupska
25 stycznia M. Camoletti „Boeing, Boeing"; reż. Gabriel Gietzky – gościnnie Teatr Studio Buffo z Warszawy
29-30 stycznia Witkacy „Szewcy"; reż. Piotr Ratajczak
30-31 stycznia J.-P. Thérond „Dialogi penisa"; reż. Krzysztof Galos
4-5 lutego J. Rochowiak wg braci Grimm „O rybaku, złotej rybce i śpiącej królewnie"; Zbigniew Kulwicki – gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza
13 lutego R. Rolland „Colas Breugnon"; monodram Stanisława Górki; reż. Tadeusz Wiśniewski PREMIERA
15 lutego E. Jodłowska „Klimakterium... i już"; reż. Cezary Domagała – gościnnie Teatr Rampa na Targówku z Warszawy
18-19 lutego G. Urban „Niebieski piesek"; reż. Robert Czechowski – gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry
19-20 lutego P. Valentine „Przyjazne dusze"; reż. Robert Czechowski – gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry
21 lutego E. Vilar „Zazdrość"; reż. Zdzisław Derebecki
3-4 marca L. Kruczkowski „Niemcy"; reż. Zbigniew Kulwicki – gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza
13 marca R. Ulicki „Kambek" monodram Katarzyny Ulickiej-Pydy; reż. Gabriel Gietzky
27 marca A.N. Ostrowski „Bankrut"; reż. Michaił Aleksandrowicz Lewszyn PREMIERA
26 kwietnia Międzynarodowy Festiwal „Koszalińska Wiosna Baletowa"
5-7 maja „Jaś i Małgosia" wg braci Grimm; reż. Robert Dorosławski – gościnnie Teatr im. Adama Mickiewicza z Częstochowy
6-7 maja „Stachura" piosenki w wykonaniu Piotra Machalicy – gościnnie Teatr im. A. Mickiewicza z Częstochowy
15 maja „...syn" monodram Żanetty Gruszczyńskiej-Ogonowskiej; reż. Michał Siegoczyński
22 maja „Cafe Sax"; reż. Cezary Domagała
30 maja I. Degórska „Smoczek Hieronim"; reż. Zdzisław Derebecki PREMIERA
5 czerwca D. Masłowska „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku"; reż. Anna McCracken PREMIERA
8-13 czerwca Koszalińskie Konfrontacje Młodych „m-teatr"
20 czerwca Z. Pacura „Faceci to gady!" – gościnnie Śródmiejskie Forum Kultury z Łodzi
21 czerwca „Miłość ci wszystko wybaczy"; reż. Zbigniew Pacura – gościnnie Śródmiejskie Forum Kultury z Łodzi
28 czerwca P. Sauville „Miłość i polityka"; reż. Jerzy Bończak – gościnnie Teatr im. A. Mickiewicza z Częstochowy
18 września J. Chapman, D. Freeman „Prywatna klinika"; reż. Jerzy Bończak PREMIERA
26 września I. Degórska „Smoczek Hieronim"; reż. Zdzisław Derebecki
8 października „Odlot w czasie, czyli historia ostatniego tysiąclecia"; reż. Piotr Krótki PREMIERA
12-13 października K. Makuszyński „Przygody Koziołka Matołka"; reż. Marek Mokrowiecki – gościnnie Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego z Płocka
21-22 października D. Taraszkiewicz „Dża dżu dża: z życia dżdżownic"; reż. Dariusz Taraszkiewicz – gościnnie Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego z Zielonej Góry
5 listopada N. Simon „Bożyszcze kobiet"; reż. Cezary Morawski – gościnnie Teatr „Capitol" z Warszawy
14 listopada J.J. Należyty „Andropauza – męska rzecz"; reż. Dariusz Szada-Borzyszkowski – gościnnie Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgierki z Białegostoku
16-17 listopada S. Płonka-Fiszer wg braci Grimm „Kopciuszek"; reż. Zbigniew Kulwicki – gościnnie Centrum Kultury Teatr z Grudziądza
18 listopada M. Gavran „Wszystko o kobietach"; reż. Tomasz Obara – gościnnie Teatr „Capitol" z Warszawy
23 listopada V. Čtvrtek „Przygody rozbójnika Rumcajsa"; reż. Kazimierz Mazur
5-6 grudnia P. Gripari „Olbrzym w czerwonych skarpetkach" w wykonaniu dzieci i młodzieży; spektakl zrealizowany w ramach projektu „Lato w teatrze"

Stowarzyszenie Teatr Propozycji „Dialog" im. Henryki Rodkiewicz

14 stycznia J. Tuwim „Bal w operze"; reż. Maria Ulicka
28 stycznia „Tulla" wg powieści Güntera Grassa; reż.

i wyk. Ida Bocian
18 lutego Ryszard Ulicki „Zdrówko pana dyrektora"; reż. Maria Ulicka
11 marca A. Krym „Sekret żydowskiego szczęścia"; reż. Maria Ulicka PREMIERA
25 marca „Mrau-au-au. Rzecz o kocie"; reż. Krystyna Chudzikiewicz PREMIERA
30 marca „Łupaszka – święty czy grzeszny"; reż. Marzena Wysmyk – gościnnie Teatr „Na Bosaka"
27 maja „Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju" wg A. Mickiewicza; reż. K. Kolberger, wyk. Jerzy Zelnik
10 czerwca „Ordonka. Miłość Ci wszystko wybaczy"; reż. Jan Maciejowski – gościnnie Teatr „Ma Scala" Marii Meyer z Chorzowa
17 czerwca „Wieszanie" na podst. eseju J.M. Rymkiewicza – gościnnie Teatr „Rondo" ze Słupska
24 czerwca W. Broniewski „Płonę i krzyczę"; reż. Maria Ulicka PREMIERA
14 października M. Gauer „Diva"; reż. Stanisław Miedziewski, wyk. Wioletta Komar – gościnnie Teatr „Rondo" ze Słupska
21 października W. Broniewski „Płonę i krzyczę"; reż. Maria Ulicka
18 listopada E. Stachura „Msza wędrującego"; reż. Krzysztof Bukowski, wyk. Anna Chodakowska
2 grudnia spotkanie z aktorką Barbarą Wrzesińską
9 grudnia „Wielcy w twórczości Norwida"; reż. M. Ulicka

Teatr Variete Muza

14 stycznia I. Šebo „Pomału, a jeszcze raz!"; reż. Robert Talarczyk – gościnnie Teatr Capitol Club z Warszawy
26 lutego Z. Książek „Sztuka kochania, czyli sceny miłosne dla dorosłych"; reż. Albert Osik – gościnnie Nowy Teatr im. Witkacego ze Słupska
26 marca „Podwórko marzeń" – gościnnie Teatr Lalki „Tęcza" ze Słupska
18 czerwca J.-P. Thérond „Dialogi penisa"; reż. Krzysztof Galos
9 października A. Burzyńska „Akompaniator"; reż. Rafał Matusz – gościnnie Nowy Teatr ze Słupska
26 listopada Z. Mierzyńska „Wakacjuszka" – reż. Janusz Dymek, wyk. Emilia Krakowska;

Literatura

21 stycznia „Na początku było słowo" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
18 lutego „Pod walentynkowym urokiem" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
24 lutego promocja książki „Monopol na zbawienie" Szymona Hołowni. KBP
25 lutego spotkanie promocyjne ze współautorką książki „Nie było czasu na strach" Marzeną Kruk. COSSG
9 marca promocja książek „Gorzka słodycz Francji" oraz „Cyrk Skalskiego" Grzegorza Śliżewskiego. KBP
18 marca „Z wiosennym powiewem" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
18 marca promocja książki „Mniejszości narodowe w myśli politycznej opozycji polskiej w latach 1980-1989" Tomasza Szczepańskiego. KBP
25 marca spotkanie autorskie z Wandą Chotomską. KBP
28 marca promocja tomiku wierszy Grażyny Mulczyk-Skarżyńskiej „W cieniu za światłem". BTD
29 marca spotkanie autorskie z Izabellą Klebańską. KBP Filia nr 4 i 11
22 kwietnia „Bolesna pamięć" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
23 kwietnia spotkanie autorskie z Arturem Andrusem. KBP
27 kwietnia spotkanie autorskie z Małgorzatą Kalicińską. KBP
28 kwietnia spotkanie autorskie z Izabelą Sową. KBP Filia nr 8
28-29 kwietnia spotkanie autorskie z Roksaną Jędrzejewską-Wróbel. KBP Filia nr 6, 12
29 kwietnia spotkanie autorskie z Jerzym Żelaznym z okazji jubileuszu 25-lecia debiutu pisarskiego. STP „Dialog"
12 maja spotkanie autorskie z Michałem Ogórkiem. KBP
14 maja promocja książki „Kapelani Solidarności" Mateusza Wyrwicha. KBP
20 maja „Uderzył nam maj do głowy" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
28 maja finał Wojewódzkiego Konkursu „Literacki Start". KBP
31 maja finał 14. Miejskiego Konkursu Dziecięcej Twórczości Poezji i Prozy. Pałac Młodzieży
31 maja promocja książki Eugeniusza Żubera „Województwo Środkowopomorskie. Dlaczego być powinno?". KBP
1 czerwca finał 42. Regionalnego Konkursu Recytatorskiego „Ptaki, ptaszki i ptaszęta polne". KBP
11 czerwca promocja tomiku wierszy Reginy Adamowicz „Myśli dalekie i bliskie". Domek Kata
16 czerwca promocja publikacji „Kultura koszalińska. Almanach 2009". KBP
17 czerwca „Czerwcowe nuty" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
9 lipca promocja książki „Kim jest Barack Obama?" Longina Pastusiaka. KBP

12 lipca spotkanie autorskie z Grzegorzem Kasdepke. KBP
2 września promocja II tomu książki „Pionierzy Ziemi Koszalińskiej i ich wspomnienia". KBP
16 września „Echa lata" – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
27 września promocja książki „Generał brygady Ludwik Mieczysław Boruta-Spiechowicz (1894-1985)" Wojciecha Grobelskiego. KBP
5 października spotkanie z Małgorzatą Karoliną Piekarską. KBP
7 października spotkanie promocyjne ze współautorem książki „Ksiądz Jerzy Popiełuszko. Błogosławiony męczennik" Henrykiem Romanikiem. KBP
9-10 października 5. Turniej Recytatorski Twórczości Religijnej. Domek Kata
12 października spotkanie z Joanną Fabicką. KBP
19 października spotkanie z poezją Reginy Adamowicz, Krystyny Pileckiej, Ludmiły Raźniak i Jana Wiśniewskiego z Krajowego Bractwa Literackiego. KBP
19 października spotkanie z Pawłem Beręsewiczem. KBP
21 października„Złotym piórem jesieni..." – wieczór poezji Krajowego Bractwa Literackiego. Klub Garnizonowy
26 października promocja książki „Babcia w Afryce" Basi Meder. KBP
28 października spotkanie autorskie z Wojciechem Bonowiczem. KBP
5 listopada promocja tomiku wierszy „O świcie i o zmierzchu" Krystyny Pileckiej. KBP
17 listopada spotkanie autorskie z Michałem Rusinkiem. KBP
24 listopada spotkanie autorskie z Wiolettą Piasecką. KBP
26 listopada finał 15. Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Buczaka „Istota Człowieka". KBP
27 listopada Turniej Recytatorski im. Cypriana Kamila Norwida. Domek Kata
16 grudnia promocja książki „Fotografuję świat" Beaty Pawlikowskiej. Kino „Kryterium"

SZTUKA

Muzeum w Koszalinie

14 stycznia-28 lutego Kosmos. Wizja poety. Wizja malarza
9 marca-9 maja „Brillant" fotografie Krzysztofa Dąbrowskiego
31 marca-30 kwietnia Palmy i pisanki
7 maja-30 czerwca Diamenty z kosmosu. Wystawa meteorytów
13-25 maja wystawa rysunku i rzeźby studentów Politechniki Koszalińskiej
15 maja-15 czerwca wystawa pokonkursowa „Moja przygoda w muzeum"
27 maja-10 czerwca „Iloraz iloczynu" wystawa prac studentów Politechniki Koszalińskiej
17 czerwca-12 września „Portrety i autoportrety z różnych lat" z kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu
27 lipca-30 października Galeria Jednego Obrazu – Julian Fałat „Krajobraz z łosiami"
23 września-21 listopada wystawa pokonkursowa 10. Muzealne Spotkania z Fotografią
3 listopada-30 stycznia 2011 Galeria Jednego Obrazu – Jacek Malczewski „Moja dusza"
25 listopada-30 stycznia 2011 Świat toruńskiego piernika
27 listopada-27 lutego 2011 Moda kobieca i męska okresu biedermeier (1815-1848) w grafice

Bałtycka Galeria Sztuki

4-28 lutego „Fotografia dzikiej przyrody 2009"
9 lutego-8 marca malarstwo Henryka Maciejewskiego „Zabytkowy Koszalin". Hol kina
4 marca-4 kwietnia „Tworzyć i uczyć" wystawa Katedry Grafiki Warsztatowej ASP w Gdańsku
10-31 marca „W sztuce jesteśmy równi" – prace plastyczne młodzieży niepełnosprawnej intelektualnie. Hol kina
8 kwietnia-17 maja grafika duńska
12-30 kwietnia „Rak'n Roll" – fotografie Andrzeja Świetlika. Hol kina
13 maja-1 czerwca malarstwo Marii Modrzyńskiej „Mój Koszalin". Hol kina
27 maja-28 czerwca Piotr Maksymiuk „Spotkanie po latach"
1-15 czerwca „Vancouver 2010" – wystawa fotogramów. Hol kina
9 lipca-9 sierpnia Letnie Konfrontacje – prace Związku Polskich Artystów Plastyków okręgu Koszalin-Słupsk
16 lipca-30 sierpnia Bożena Lwowska „Anioły". Hol kina
12 sierpnia-5 września „Ks. Jan Bugenhagen – reformator Pomorza". Hol kina
12 sierpnia-6 września wystawa fotografii Edwarda Grzegorza Funke „Portret ze Świata"
13-30 września „Debiuty Roku" – wystawa grafiki studentów ASP w Gdańsku
8 października-7 listopada Group 4

3-14 listopada fotografie Marcina Sieńczyka „NIE-wykluczeni. Odcienie szarości". Hol kina
18 listopada „Kolekcjonerstwo, hobby dla każdego" – wystawa ze zbiorów Mariana Kostrzewy, Stanisława Lubiaka i Waldemara Sołka. Hol kina
19 listopada-3 stycznia 2011 wystawa interdyscyplinarna „Fala"
15 grudnia-3 stycznia 2011 fotografie Beaty Pawlikowskiej. Hol kina

Galeria „Na Piętrze"

styczeń-luty wystawa sztuki współczesnej „Malarstwo i grafika"
19 marca-13 kwietnia Anna Szklińska „Viva Indifference! – Wiwat obojętność!"
16 kwietnia Maciej Woltman „Rysunek mielopatyczny"
21 maja malarstwo E. Hajdun „Pejzaż medytacyjny"
25 czerwca Edward Rokosz „Rzeźba i płaskorzeźba"
24 września-22 października Andrzej Gieraga „Progresje i..."

Galeria „Ratusz"

19 stycznia-15 lutego malarstwo Henryka Blejcha, Marii Krawczyk i Dariusza Mola (I p.)
16 lutego-15 marca wystawa poplenerowa członków Zespołu Pracy Twórczej Plastyki: Darłówko „Róża Wiatrów" (I p.)
4-31 marca Ewa Miśkiewicz-Żebrowska „Kompozycje-Linie-Plamy" (II p.)
16 marca-12 kwietnia Borys Kysilewsky „Pragnę doskonałości..." (I p.)
23 maja-21 czerwca wystawa fotografii „Kardynał Jeż" (I p.)
22 czerwca-12 lipca „Mebel z drutu" – prace studentów Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej (I p.)
13 lipca-16 sierpnia wystawa poplenerowa „Floryn" Mielno-Unieście (I p.)
3-31 sierpnia „Osieki 2010" pokłosie XIII Międzynarodowego Pleneru „Czas i miejsce dla sztuki" (II p.)
17 sierpnia-30 października malarstwo Iwony Weczery (I p.)
19 października-31 grudnia wystawa członków Stowarzyszenia AKWE „Malarstwo bez granic" (II p.)

Galeria „Region"

17 stycznia-12 lutego „Konstanty Ildefons Gałczyński (1905-1953)"
17-26 lutego „Nasz przyjaciel kot"
1-28 marca „W hołdzie Chopinowi"
31 marca-20 kwietnia wystawa pokonkursowa „Wierszyki Jana Brzechwy w ilustracji"
22 kwietnia-15 maja „Salon ilustratorów książki dziecięcej"
26 maja-30 czerwca wystawa prac uczestników terapii zajęciowej organizowanej w KBP
25 sierpnia-3 września „Koszaliński karnawał Solidarności" wystawa fotografii z okazji 30. rocznicy powstania NSZZ „Solidarność"
7-11 września malarstwo Marka Krzysztofa Laseckiego „Portrety"
13-21 września „Sawka większy niż życie" – rysunki satyryczne Henryka Sawki
23 września-8 października Waldemar Jarosz „Notatki z podróży"
12-27 października tkaniny artystyczne Jadwigi Grobelnej
29 października-16 listopada „Wielcy nieobecni"
10 grudnia-10 stycznia 2011 „Mario Vargas Llosa. Literacka nagroda Nobla"

Galeria >Scena<

8-31 marca „Arte Femina z Koszalina" – wystawa Agnieszki Sieńkowskiej, Anny Sieńkowskiej, Katarzyny Sikory i Weroniki Teplickiej
9 kwietnia-30 czerwca „Galeria SCENA: 2005-2010. Historia, kolekcja, artyści"
15 maja Noc Muzeów w Galerii Scena – BarCamp „Czas na zmiany" z udziałem Tomasza Rogalińskiego, Roberta Knutha, Daniela Szlachtowskiego i Galla Podlaszewskiego
1 czerwca „COP15" – wystawa dokumentacji z protestów alterglobalistów i aktywistów podczas szczytu klimatycznego Kopenhadze
11 czerwca „Obsession" – wystawa prac studentów pracowni prof. Zbigniewa Taszyckiego z Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej
27 lipca-22 sierpnia „Transformersi" – wystawa z udziałem: Igi Chełmińskiej, Roberta Knutha, Tomasza Rogalińskiego, Pawła Kuli, Aleksandry Szmidy, Marii Stafyniak, Weroniki Teplickiej i Barbary Wysmyk
7-12 września Tomasz Rogaliński i Artur Żmijewski „Labirynt"
14-24 października 10 dni z neoawangardą – wystawa Aleksandry Ska, Danuty Dąbrowskiej i Jerzego Grzegorskiego; wystawa dokumentacji spotkań w Lubieszewie; fotografie Zygmunta Rytki, Zbigniewa Taszyckiego oraz Waldemara Wojciechowskiego
4-6 listopada Bartosz Szczepański „Płaszczyzna" – instalacja wideo

26-27 listopada „Miejsca, których nie ma..." – wystawa i prezentacja projektów kulturalnych Weroniki Teplickiej, Wojciecha Greli i Galla Podlaszewskiego
17-30 grudnia Anna Molska „Przestrzeń mówi" – instalacja dźwiękowo-malarska

Autorska Galeria Fotografii „Portret Świata"

16 stycznia-20 marca Magdalena Niernsee Durbacz i Sebastian Durbacz „Indie – u podnóża Himalajów".
26 marca-25 kwietnia Tomasz Pacan „Samoloty – moje spojrzenie"
14 maja Lydia Unsworth „Something like the view".
18-31 sierpnia wystawa pokonkursowa 12. Międzynarodowego Przeglądu Fotografii „Złota Muszla".
11-30 września Aleksander Łosmiński „Kanał Augustowski po stronie białoruskiej".
18 listopada-15 stycznia 2011 Ela Waszczuk „Morze Tajemnic".

Inne wystawy

15 stycznia-12 lutego Wojciech Ogrodowczyk „Dookoła Annapurny". Pałac Młodzieży
15 lutego-12 marca „Vocatio" fotografie Jakuba Ochnio. Pałac Młodzieży
2-31 marca „Nocna rewolta. Antysowieckie zamieszki w Szczecinie 10 grudnia 1956 r." IPN
7-14 marca wystawa fotografii „Wybierz życie". Rynek Staromiejski
6 kwietnia-31 maja „O świętą sprawę. Żołnierze Łupaszki". IPN
23 kwietnia-30 czerwca wystawa z okazji 5-lecia istnienia Galerii >Scena<. Radio Koszalin
14 maja-30 czerwca wystawa plenerowa "Solidarność Walcząca". Politechnika Koszalińska
30 maja wystawa Andrzeja Szoki "Śniadanie na trawie". Park Książąt Pomorskich
11 czerwca 9. Ogólnopolski Konkurs Fotografii Dzieci i Młodzieży „Człowiek, Świat, Przyroda". Pałac Młodzieży
3 września-15 października Ewelina Wochna-Witkowska „Portret dziecka". Pałac Młodzieży
20 września-21 października „Niech się święci. Obchody świąt i rocznic w Polsce Ludowej". IPN
20 września-31 grudnia „Koszaliński karnawał Solidarności". IPN
29 września-15 października „Katyń. Prawda, która nie dała się zgładzić" – wystawa fotografii i dokumentów. Archiwum Państwowe
23-30 października Galeria Bezdomna
3-19 listopada „Manga w kulturze Japonii". KBP Filia nr 9
5-30 listopada 10. Konkurs Ekologiczny Wakacje z naturą „Ja i moje środowisko". Pałac Młodzieży
18-30 listopada wystawa ilustracji „Koszalin na przyszłość" oraz „Moja pasja". CH „Forum"

FILM

27-29 stycznia przegląd filmów 18. Europejskiego Festiwalu Fabuły, Dokumentu i Reklamy Euroshorts 2009. Galeria >Scena<
30-31 stycznia 8. Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim „Pasje według świętego Włodzimierza"
21 kwietnia 2. Festiwal Polskich Filmów Krótkometrażowych Short Waves. Centrala Artystyczna
31 maja-3 czerwca 8. Objazdowy Festiwal Filmowy „Watch Docs". Prawa człowieka w filmie. Kino „Kryterium"
7-11 września 7. Europejski Festiwal Filmowy „Integracja Ty i Ja". KBP
14-18 września 29. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film"
26 listopada-2 grudnia 4. Festiwal Filmów Rosyjskich „Sputnik nad Polską". Kino „Kryterium"

INNE WYDARZENIA

25-26 lutego 15. Festiwal Francuskojęzycznych Teatrów Szkół Średnich. Domek Kata
12 marca 2. Gala Koszalińskiej Kultury
23 kwietnia 1. Noc w Bibliotece
26 kwietnia 1. PechaKucha
15 maja 4. Noc Muzeów
17 lipca 5. Spotkanie Czterech Kultur. Plac przed amfiteatrem
31 lipca 16. Festiwal Kabaretu „Kabaretowa Stacja Ko(s)miczna". Amfiteatr
14 sierpnia 8. Święto Wody. Rynek Staromiejski
3-24 października 18. Koszalińskie Dni Kultury Chrześcijańskiej

Opracowała: Anna Kowal

Kto jest kim?

Autorzy Almanachu od A do Z

Wojciech Ciesielski – historyk sztuki, Muzeum Narodowe w Szczecinie

Beata Górecka-Młyńczak – dziennikarka Radia Koszalin

Ryszard Hetnarowicz – poeta, krytyk literacki, publicysta ukazującego się w Słupsku miesięcznika „Zbiżenia"

Maria Idziak – artystka plastyk, prezes Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego

Paweł Jeleński – animator kultury, twórca kina niezależnego i portalu yourmovieteam

ks. Arkadiusz Jędrasik – recenzent muzyczny „Naszego Dziennika", sekretarz redakcji miesięcznika „Muzyka21"

dr Elżbieta Juszczak – poetka, dziennikarka, kierownik Zakładu Dziennikarstwa i Nowych Mediów Instytutu Neofilologii i Komunikacji Społecznej na Politechnice Koszalińskiej

Małgorzata Kołowska – dziennikarka, wykładowca w Instytucie Neofilologii i Komunikacji Społecznej Politechniki Koszalińskiej

Jadwiga Koprowska – dziennikarka Radia Koszalin

Anna Kowal – kustosz bibliotekarz w Dziale Informacyjno-Bibliograficznym Koszalińskiej Biblioteki Publicznej

dr Bożena Kowalska – historyk i krytyk sztuki

Ewa Julianna Kwidzińska – sekretarz literacki i rzeczniczka prasowa w Teatrze Lalek „Pleciuga" w Szczecinie; redaktor naczelna gazety teatralnej „Gabit". Współpracowała z Instytutem Teatralnym im. Z. Raszewskiego w Warszawie i portalem internetowym e-teatr jako recenzentka Nowej Siły Krytycznej

Anna Makochonik – dziennikarka Koszalińskiego Tygodnika „Miasto"

Anna Maria Marcinek-Drozdalska – specjalista do spraw wydawnictw w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej

dr Ewa Miśkiewicz-Żebrowska – artysta grafik, prezes Zarządu Okręgu Koszalińsko-Słupskiego ZPAP

dr Ryszard Nakonieczny – pracownik naukowy Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej w Katowicach

Izabela Nowak – dziennikarka, publicystka wydawanego w Koszalinie Pisma Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik"

Jupi Podlaszewski – mieszkający w Koszalinie twórca teatralny, publicysta

Grażyna Preder – dziennikarka Radia Koszalin

Kazimierz Rozbicki – mieszkający w Koszalinie kompozytor, dyrygent, pedagog, krytyk muzyczny

Jolanta Rudnik – dziennikarka Radia Koszalin

Anna Serdiukow – krytyk filmowy

Andrzej Słowik – mieszkający w Koszalinie artysta malarz

Maria Słowik-Tworke – dziennikarka Redakcji Muzycznej Radia Koszalin

Halina Szczepańska – dziennikarka, założycielka i redaktor naczelna tygodnika „Rzecz Kołobrzeska" (do 2007). Obecnie współpracuje z „Obserwatorem Morskim" i Radiem Koszalin

dr Antoni Szoska – teoretyk kultury, krytyk sztuki, artysta performer, wykładowca Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie

Paweł Sztarbowski – krytyk teatralny, współpracownik Instytutu Teatralnego w Warszawie i TVP Kultura, zastępca dyrektora artystycznego Teatru Polskiego w Bydgoszczy

Weronika Teplicka – absolwentka Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu, asystent w pracowni malarstwa w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej

Spis treści

I • MUZYKA
1. Kazimierz Rozbicki, Filharmonia u progu normalności. • **6**
2. Maria Słowik-Tworke, Na salonach i falach eteru. Rok Chopinowski w Radiu Koszalin • **19**
3. VI Hanza Jazz Festiwal w obiektywie Marka Jastrzębskiego. • **23**

II • TEATR
1. Paweł Sztarbowski, Nowa fala barbarzyńców. I Konfrontacje M-Teatr. • **26**
2. Ewa Julianna Kwidzińska, Ten teatr się dzieje. I Konfrontacje M-Teatr • **29**
3. Jadwiga Koprowska, Ubaw jak zły sen. Recenzja spektaklu „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku". • **33**
4. Małgorzata Kołowska, Koszalin w „Subiektywnym rankingu aktorów" Jacka Sieradzkiego • **36**
5. Grażyna Preder, „Muza" – po roku!!!! • **38**

III • LITERATURA
1. Elżbieta Juszczak, Odkłamanie rzeczywistości. O nowych wierszach Anatola Ulmana. • **42**
2. Ryszard Hetnarowicz, Summa wrażliwości. „Szron" Andrzeja Turczyńskiego. • **45**
3. Ryszard Hetnarowicz, Wracający alchemik. „Codex argentus" Andrzeja Turczyńskiego. • **48**
4. Nowe wiersze Elżbiety Juszczak. • **51**
5. Halina Szczepańska, „Przesypywanie ziaren piasku" Ludmiły Janusewicz • **53**
6. Ostatni generał. Książka Wojciecha Grobelskiego „Generał brygady Ludwik Mieczysław Boruta-Spiechowicz". • **55**
7. Anna Marcinek-Drozdalska, Noc w Bibliotece. • **57**
8. Anna Marcinek-Drozdalska, Piotruś Pan na literackim Parnasie. Michał Rusinek w KBP. • **62**
9. „Polska bez Barier" – „Biblioteka bez Barier". • **64**

IV • SZTUKA I ARCHITEKTURA
1. Bożena Kowalska, „Harmonia i pogoda". O malarstwie Andrzeja Gieragi. • **66**
2. Weronika Teplicka, Galeria Scena 2005-2010. Historia, kolekcja, artyści. • **69**
3. Anna Makochonik, To nie jest miasto dla młodych ludzi? • **72**
4. Ryszard Nakonieczny, Intrygująca fuga na 4004 okna, beton, drewno, szkło i czerwony piaskowiec, czyli Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka w Katowicach – projekt HS99. • **77**

V • FILM
1. Anna Serdiukow, Kino i młodość nigdy się nie... zestarzeją. 29 Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film". • **84**
2. Paweł Jeleński, Kiedy z dumą powiemy „zintegrowaliśmy się". VII Europejski Festiwal Filmowy Integracja „Ty i Ja". • **92**

3. Międzynarodowy Festiwal Filmów Dokumentalnych o Włodzimierzu Wysockim
„Pasje wg Świętego Włodzimierza" w obiektywie Ilony Łukjaniuk. • **96**

VI • MISCELLANEA
1. Nagrody Prezydenta – Gala Kultury 2010. • **100**
2. Jupi Podlaszewski, Clausius Tower. Własność narodów z Koszalina na światowy Panteon Nauki. • **104**
3. Izabela Nowak, Muzeum to nie twierdza. 10 lat Muzealnych Spotkań z Fotografią. • **106**
4. Maria Słowik-Tworke, **Beata Górecka-Młyńczak**, Młodych artystów trzeba wspierać,
rozmowa z Elżbietą Penderecką. • **110**

VII • JUBILEUSZE
1. Maria Słowik-Tworke, „Najbliższa w życiu jest mi opera". 50-lecie pracy artystycznej
i 75. urodziny Andrzeja Zborowskiego. • **114**
2. Kazimierz Rozbicki, Ta LUTNIA dźwięczy od 65 lat! • **117**
3. Małgorzata Kołowska, „Befor sixty four". 60. urodziny Jupiego Podlaszewskiego. • **119**
4. Ewa Miśkiewicz, 55 lat ZPAP na Pomorzu środkowym. • **122**
5. Izabela Nowak, Pomorska Ariadna. 40-lecie pracy twórczej Bożeny Giedych. • **125**
6. Maria Idziak, **Andrzej Słowik**, KTSK i 50 plenerów. • **128**
7. Wojciech Ciesielski, 10 lat „Lubieszewa". • **130**
8. Małgorzata Kołowska, Szlachetna a ryzykowna dekada. 10-lecie Miesięcznika
Społeczno-Kulturalnego „Miesięcznik". • **134**
9. Izabela Nowak, Oficyna ze znakiem jakości. 10-lecie Agencji Wydawniczej Millennium. • **136**

VIII • NASI W ŚWIECIE
1. ks. Arkadiusz Jędrasik, Arcymistrzostwo „nad strunami". Nowa płyta Agaty Szymczewskiej. • **140**
2. Maria Słowik-Tworke, **Beata Górecka-Młyńczak**, Uczyć się od największych.
Rozmowa z Agatą Szymczewską. • **145**
3. Małgorzata Kołowska, Koszalińska kultura na EXPO 2010. • **148**
4. Antoni Szoska, „Maluję – bo żyję". O malarstwie abstrakcyjnym Krzysztofa Rećko Rapsy. • **152**
5. Jolanta Rudnik, Radio – sposób na życie. O dziennikarstwie radiowym Grażyny Preder. • **156**
6. Wystawy Zdzisława Pacholskiego „Tutaj-Here-Hier", ciąg dalszy... • **160**
7. Małgorzata Kołowska, Pragnienia się nie starzeją? Ryszard Ulicki w Teatrze Polskiego Radia. • **162**

IX • POŻEGNANIA I WSPOMNIENIA
1. Katarzyna Sobczyk • **164**
2. Ryszard Major • **165**
3. Roman Wojcieszak • **166**
4. Henryka Rodkiewicz • **168**

X • **Anna Kowal**, KALENDARIUM 2010. • **171**

XI • **Kto jest kim?** Autorzy almanachu od A do Z. • **178**